

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 11/518

1990



• *« La Culture »* • *Revue mensuelle* •

W SPRAWIE WYBORÓW PREZYDENTA RP

M. BRANDYS: **KANAR**

SMECZ: **Z UKOSA**

K. WOLICKI: **LIST OD KIEPSKIEGO WYBORCY**

B. GSADCZUK: **PODRÓŻ DO KIJOWA**

SPIS RZECZY

Porozumienie Ponad Podziałami:	<i>W sprawie wyborów prezydenta i parla- mentu Rzeczypospolitej</i>	3
Redakcja „Kultury”: Stanisław Bienasz: Marian Brandys:	<i>Prezydent R.P.</i>	7
	<i>O autonomię dla Górnego Śląska</i>	9
	<i>Kanar</i>	21
	WIERSZE	
Marzena Broda:	<i>Grudniowe noce. — Max Ernst: oczy ciszy</i>	30
Adam Lizakowski:	<i>Opis kosmosu dzieciństwa</i>	31
	KRAJ	
Smezc:	<i>Z ukosa</i>	33
Krzysztof Wolicki:	<i>List od kiepskiego wyborcy</i>	42
Zofia Ziemięcka:	<i>Czytając prasę</i>	57
	SPRAWY I TROSKI	
Piotr Siemion:	<i>Ameryko, pomóż, bo ciężko</i>	62
	SĄSIEDZI	
Bohdan Osadczyk:	<i>Podróż do Kijowa</i>	73
Adam Kruczek:	<i>W sowieckiej prasie</i>	79
Berlińczyk:	<i>Narodziny nowych Niemiec</i>	85
Józef Darski:	<i>Kronika litewska, białoruska i ukraiń- ska</i>	89
Lech K. Powichrowski:	<i>List do Redakcji</i>	93
	O RELIGII BEZ NAMASZCZENIA	
Jan Czekajewski:	<i>Nauczanie religii w szkołach (amerykań- ski punkt widzenia)</i>	95
—	<i>Kościół i związki wyznaniowe w Polsce</i>	98
	KRONIKA KULTURALNA	
Witold Beres:	<i>Drugi obieg: historia, sława, zmierzch</i> .	100
Bogusław Bakula:	<i>Poezja jako przetrwanie</i>	107
Stefania Kossowska:	<i>Stulecie Zofii Kozarynowej</i>	115
—	<i>Centrum Kultury i Informacji Litwy</i> ...	118
—	<i>Fundacja Pomocy Bibliotekom Polskim</i> .	118
—	<i>Tydzień Kultury Chrześcijańskiej w Pa- ryżu</i>	119
	KSIĄŻKI	
Andrzej Dobosz:	<i>O kąpielach w Radzyminie</i>	121
Krzysztof Rutkowski:	<i>Księga Powtórzonego Przejścia</i>	128
Leon J. Grabowski:	<i>Polacy w Australii</i>	132
Grzegorz Sowula:	<i>Bigos bez kapusty</i>	135
—	<i>Nadstane nowości wydawnicze</i>	139
	WOLNA TRYBUNA	
Henryk Sporoń:	<i>Jeszcze o Górnym Śląsku</i>	141
Barbara Stanosz:	<i>Jeśli nie zdarzy się cud...</i>	145
	•	
Zofia Hertz (zebrała):	<i>Humor krajowy</i>	147
	•	
—	<i>Wydarzenia miesiąca oraz Kroniki ame- rykańska i kanadyjska</i>	149
	•	
J. Kachniarz, Dr Z.K. Łę- gieski, T. Mianowicz:	<i>Listy do Redakcji</i>	157

Warszawie W006

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ — Listopad — Novembre 1990


W sprawie wyborów prezydenta i parlamentu Rzeczypospolitej

Władysław Żeleński Paryż — an internet Liaison Ukrain-
skiego, zamierza w najbliższym czasie wyjechać do
Zona, Działek i Wniosk — 1.10.90

W sprawie wyborów prezydenta i parlamentu Rzeczypospolitej

Władysław Żeleński Paryż — an internet Liaison Ukrain-
skiego, zamierza w najbliższym czasie wyjechać do
Zona, Działek i Wniosk — 1.10.90

Warunki ugody zawartej z komunistami, kompromisowa
polityka grubej kreski” i „filozofia rządu Tadeusza Mazowiec-
kiego” mają nadal fatalne konsekwencje. Przeważająca część per-
sonelwskiej nomenklatury, zdemoralizowanej i nieudolnej, zacho-
wiła stanowiska w administracji centralnej i wojewódzkiej, w

INSTYTUT  **LITERACKI**

WPLĄTY NA FUNDUSZ «KULTURY»

Ilse Maybach, Heilbronn (Niemcy), po raz 27-my	F. 452,00
J. Minkiewicz-Targońska, Vlissingen (Holandia) — dla uczczenia pamięci dobrej, zasłużonej Polki Lucyny Konarskiej — Flh 100,00	F. 296,74
Pamięci Wacława Zyndram-Kościałkowskiego w Dzień Zaduszny — Żona (Laloubère, Francja)	F. 100,00
Edmund L. Salamoński, St. Petersburg, FL (USA), po raz 22-gi — Dol. US 20,00	F. 100,00
Maria i Wojciech Topperman, Toronto, ON (Kanada) — w rocznicę śmierci Przyjaciela, Andrzeja Semkowi — Dol. c. 50,00	F. 216,50
W bolesną pierwszą rocznicę śmierci Fryderyka Topolskiego — Żona, Dzieci i Zięć — Dol. c. 50,00	F. 216,50
W czwartą bolesną rocznicę śmierci dr. Maksymiliana Pszenickiego, zmarłego w Londynie 29 października 1986 r. — Żona, Dzieci i Wnuki — £ stg. 50,00	F. 500,00

DZIĘKUJEMY!

Władysław Żeleński, Paryż — na internat Liceum Ukraińskiego w Legnicy

F. 200,00

KRONIKA KULTURALNA

Władysław Żeleński: Drugi obieg: historia, słowa, zmiernik	108
Bolesław Białkowski: Poetka jako przetrwanie	112
Stanisław Kosowala: Sulejka Zofii Koszynowej	113
Centrum Kultury i Informacji Litwy	114
Pomocja Pomocy Bibliotekom Polakom	116
Tydzien Kultury Chrześcijańskiej w PRL	118
KSIAŻKI	
Andrzej Dulwan: O legendach w Bałtyku	121
Włodzisław Białkowski: Księga Powstania Przejścia	128
Leszek Górecki: Polacy w Ameryce	130
Grzegorz Kowala: Ilgosi bez kapeluszy	135
.....: Nadejście powieści hip-hopowej	139
WOLNA TRYBUNA	
Henryk Spornik: Jeszcze o Głównym	141
Barbara Stanczyk: Jeśli nie zjemy	145
Zofia Hertz (pamięć): Honor krajowy	147

LITERACKI INSTYTUT

J. Kachniarz, Dr Z.K. Łęski, T. Miszowicz, Długo do redakcji

137

POROZUMIENIE PONAD PODZIAŁAMI

Mokotowska 58/4
00-542 WARSZAWA
Tel. (48-22) 29 34 11

W sprawie wyborów prezydenta i parlamentu Rzeczypospolitej

Porozumienie Ponad Podziałami z satysfakcją przyjmuje decyzję o skróceniu kadencji obecnego, niedemokratycznie wybranego parlamentu RP i prezydenta, który przed rokiem wyzwał ten urząd z pogwałceniem dobrych obyczajów parlamentarnych. Decyzja ta zgodna jest z postulatami, które wysunęliśmy w pierwszej deklaracji PPP z lipca 1989 roku. Uznano wreszcie istnienie podziałów w opozycji antykomunistycznej, ignorowanych długo przez ten jej odłam, który przy okrągłym stole zawierał kompromis z władzami PRL, a następnie przystąpił do współzrządzenia krajem. Dziś stoimy przed szansą wyboru, ale nadal jest to dopiero początek tworzenia mechanizmów demokratycznych. Nie można systemu politycznego przykrawać do osobowości polityków. Wiemy dziś, kto pretenduje do urzędu prezydenckiego. W mniejszym stopniu — co chce zrobić, ale nadal nie wiemy — i to w przypadku obu głównych kandydatów: Mazowieckiego i Wałęsy — jak zamierza rządzić, a nawet jakie będzie miał uprawnienia.

Warunki ugody zawartej z komunistami, kompromisowa „polityka grubej kreski” i „filozofia rządu Tadeusza Mazowieckiego” mają nadal fatalne konsekwencje. Przeważająca część peerelowskiej nomenklatury, zdemoralizowanej i nieudolnej, zachowała stanowiska w administracji centralnej i terenowej, w dyplomacji, przemyśle, wojsku i we wszystkich instytucjach państwowych. Części z nich ułatwiło to grabież majątku narodowego w tzw. spółkach nomenklaturowych. Jeśli większość nomen-

klatury jest tak kompetentna, jak założył to rząd, to dlaczego Polska widziana z naszych okien jest ruiną? Nonsensem jest twierdzenie, że w 38-milionowym kraju nie można znaleźć w drodze otwartych konkursów kilkunastu tysięcy wykształconych ludzi, którzy byliby w stanie zastąpić nomenklaturę. Znaczna część stanowisk administracyjnych dotąd przez nią zajmowanych powinna być zresztą po prostu zlikwidowana.

Błędem elity rządzącej było także trzymanie się udzielonych przez poprzednie rządy koncesji politycznych i wojskowych na rzecz Związku Sowieckiego i niczym nie uzasadnione przedłużanie obecności wojsk ZSSR na terytorium państwa. Szkodzi to stosunkom Polski z innymi krajami i opóźnia włączenie do wspólnoty państw europejskich.

Rząd i parlament utworzono z tak wielkim udziałem Wałęsy, że dzisiejsze wzajemne dystansowanie się stron budzi zasadnicze wątpliwości. W kampanii prezydenckiej kandydaci powinni przedstawić sposób, w jaki zamierzają w przyszłości wykluczyć błędy zaniechania działań i niepodjęcia decyzji. Powinni zaproponować nowe zasady sprawowania władzy, skoro poprzednie się nie sprawdziły. Powinni jasno określić swój stosunek do rozdziału Kościoła od Państwa.

Obecna elita polityczna przyjęła wadliwą koncepcję prawnej przebudowy państwa, zakładającą potrzebę drobiazgowego poprawiania, w dość przypadkowej kolejności, wszystkich wcześniej ustanowionych praw. Koncepcja ta wykluczała zastąpienie znacznej części istniejących regulacji zbiorem czytelnych i spójnych praw, które wyzwoliłyby energię społeczną i usunęły podstawowe źródła ociążałości przemian gospodarczych. Opory przed zmianami radykalnymi spowodowały wzrost korupcji i przestępczości gospodarczej: sprzyjały takim zjawiskom, jak trwonienie mienia państwowego i komunalnego. Wszystko to, oraz poczucie zagrożenia bezpieczeństwa obywateli, doprowadziło społeczeństwo do zniechęcenia i apatii. Rządowi i parlamentowi udało się szybko dojść tylko do arogancji wobec głosów krytycznych.

Osią sporów politycznych w Polsce powinno być określenie przez ugrupowania i partie polityczne, jak zamierzają zbudować państwo: jak rozumieją rolę ustawodawczą parlamentu i jak chcą zorganizować władzę wykonawczą administracji centralnej i lokalnej. System polityczny powinien chronić inicjatywę, indywidualizm i umiłowanie wolności Polaków oraz bronić jednostki przed tyranią mniejszości lub większości, przed dyktaturą „intelektualistów” lub „prostych ludzi”.

Minimalny zbiór ustawowych regulacji tworzących ramy prawne państwa powinien objąć pięć sfer:

1. Uchylenie przepisów ograniczających działania obywateli w imię omnipotencji państwa. Stanowienie i stosowanie pra-

wa nie może być podporządkowane doraźnym interesom grupowym.

2. Tworzenie prawa administracyjnego w taki sposób, aby regulacje prawne pozwalały urzędowi wkraczać w życie obywatela dopiero wtedy, gdy naruszy on prawo. Konieczne jest przyjęcie zasady, że obywatel nie musi prosić o zezwolenie na jakąkolwiek działalność poza przypadkami objętymi szczególną reglamentacją: wystarczy, że zgłasza fakt jej podjęcia. Liberalizm zyskuje w ten sposób praktyczny sens.

3. Ustawodawstwo gospodarcze — o przedsiębiorstwach, własności, obrocie nieruchomościami, spółkach z udziałem kapitału zagranicznego itp. — musi cechować europejski poziom swobód dla indywidualnych inicjatyw. Nie kapitalizm należy ograniczać, lecz wszelką monopolizację rynku.

4. Wolności polityczne należy doprowadzić do formuły praktycznych, dających opozycji szansę kontrolowania władzy i ograniczających możliwość manipulowania rządzonymi przez rządzących. Szczególnie ważne jest budowanie pluralizmu politycznego i mechanizmów wymiany elit politycznych przez konkurencję. Ordynacje wyborcze powinny ułatwiać tonowanie postaw skrajnych przez szerokie i dojrzałe do rządzenia centrum.

5. Prawa człowieka i obywatela muszą współtworzyć wolność światopoglądu i wyboru stylu życia, chroniąc interesy mniejszości. Spraw tych nie wolno traktować instrumentalnie, jak miało to miejsce w przypadku zadekretowania nauki religii w szkole i przyjęcia przez senat w toku kampanii wyborczej projektu ustawy o ochronie życia poczętego.

Nowy prezydent, demokratycznie wybrany parlament i nowy rząd muszą być świadomi źródeł zawinionych niepowodzeń pierwszego roku nietotalitarnej władzy w Polsce i stworzyć społeczeństwu szansę, a nie tylko nadzieję.

Europejskość nie polega na głoszeniu wartości, chrześcijańskich czy ogólnoludzkich, lecz na ich rzeczywistej obronie i wcielaniu w życie. Niezależnie od tego, jaki obóz wygra obecną walkę polityczną, przyszłe władze Rzeczypospolitej powinny swoim programem i środkami jego realizacji zapewnić wolność, demokrację i niepodległość kraju: realne, zrozumiałe, widoczne na co dzień i dla każdego.

Warszawa 14 października 1990

Czesław BIELECKI, Małgorzata BOCHENSKA, Aleksandra DMOCHOWSKA, Marek DUDKIEWICZ, Lech DYMARSKI, Wanda FALKOWSKA, Maciej

FRANKIEWICZ, Jerzy GIEDROYC, Michał GŁOWIŃSKI, Mirosław HAMERA, Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI, Jerzy JACKL, Maria JANION, Witold JĘDRZEJEWSKI, Jakub KARPIŃSKI, Maria KIEPURSKA, Andrzej KIEPURSKI, Michał KLEIBER, Michał KOMAR, Joanna KRANC, Marek KRAWCZYK, Tomasz KRAWCZYK, Ewa KULESZA, Jacek KWIECIŃSKI, Jacek LASKOWSKI, Leopold LABĘDŹ, Katarzyna ŁANIEWSKA, Piotr MAJCHRZAK, Zbigniew MAKAREWICZ, Wojciech MYŚLECKI, Marek NOWAKOWSKI, Kazimierz ORŁOŚ, Zbigniew OSTASZEWSKI, Krzysztof PIESIEWICZ, Adam PLEŚNAR, Ewa PRUCHNIEWICZ, Zofia ROMASZEWSKA, Zbigniew ROMASZEWSKI, Adam RYSIEWICZ, Maciej SŁOMCZYŃSKI, Barbara STANOSZ, Zygmunt STĘPIŃSKI, Andrzej SZCZĘŚNIAK, Romuald SZEREMIE-TIEW, Teresa TORAŃSKA, Jacek TRZNADEL, Maria TWARDOWSKA, Jan WASZKIEWICZ, Wojciech WŁODARCZYK, Paweł WOHL, Bogdan WOJDOWSKI, Krzysztof ZBOIŃSKI, Barbara ZBROŻYNA, Marek ZIELIŃSKI, Roman ZIMAND.

Prezydent RP

15 października 1990 londyński *Dziennik Polski* zamieścił komunikat Kancelarii Prezydenta R.P. na emigracji następującej treści: „W Londynie 12 października 1990 roku odbyły się rozmowy między Prezydentem RP Ryszardem Kaczorowskim a przybyłym w tym celu z Warszawy przewodniczącym Komitetu Obywatelskiego przy Lechu Wałęsie — doktorem Zdzisławem Najderem.

Prezydent wyraził swą gotowość — po dokonaniu w głosowaniu powszechnym w Polsce wyboru prezydenta — udania się do Warszawy na zaproszenie nowo wybranego prezydenta, by przekazać insygnia prawowitej władzy prezydenckiej Drugiej Rzeczypospolitej.

W drugiej części spotkania wzięli udział Zygmunt Szadkowski, przewodniczący Rady Narodowej R.P. i Ryszard Zakrzewski w imieniu Rządu jako minister spraw krajowych. Został wysunięty postulat potrzeby jak najszybszego przeprowadzenia wolnych, demokratycznych wyborów do izb ustawodawczych”.

Powyższy komunikat został nadany przez Radio warszawskie natychmiast, 12 października.

Kultura miała zawsze krytyczny stosunek do Rządu na emigracji, uważając to za formułę utrudniającą działanie polityczne. Natomiast zawsze uważaliśmy rolę Prezydenta za niezwykle ważną, symbolizującą walkę emigracji politycznej o całkowitą niepodległość Polski — za rodzaj „pieczętki Rządu Narodowego” w czasie powstania 1863 roku i tę rolę urząd Prezydenta spełniał mimo rozbitcia emigracji, różnych dywersji i błędów. Wszyscy uważaliśmy, że rola emigracji politycznej skończy się w chwili wolnych wyborów do parlamentu, uchwalenia nowej konstytucji i wyboru Prezydenta. Jednak, głównie na skutek rozgrywek personalnych i wybujałych ambicji, rząd Tadeusza

Mazowieckiego i kadłubowy sejm zdecydowali, aby wybory Prezydenta odbyły się w pierwszej kolejności. Sprawę skomplikowała osoba gen. Jaruzelskiego. Chciano na nim wymusić zrzeczenie się prezydentury przed wyborami, aby uniknąć przejęcia władzy z jego rąk. Takie stanowisko reprezentował Lech Wałęsa zapominając, czy nie chcąc pamiętać, że gen. Jaruzelski został wybrany prezydentem na skutek machinacji samej Solidarności. Działacze Solidarności nie widzieli, że PZPR jest w stanie całkowitego rozkładu i przeceniali groźbę ewentualnej interwencji sowieckiej nie zdając sobie sprawy, że Imperium Sowieckie jest także w stanie rozpadania się. Chciano jedynie uzyskać możliwość raczej skromnego udziału we władzy w myśl głośnego sloganu Adama Michnika: „wasz prezydent, nasz premier”. Wałęsa, który w tym przełomowym momencie mógł zająć każde prestiżowe stanowisko, nie chciał ryzykować. Gdy rząd premiera Mazowieckiego zaczął funkcjonować, Wałęsa poczuł się wylimnowany z gry i rozpoczął kampanię za wyborem go na prezydenta. By uniknąć, w razie zwycięstwa, przejścia władzy z rąk gen. Jaruzelskiego — postanowił wykorzystać emigrację. Na szczęście akcja Zdzisława Najdera, agenta wyborczego Wałęsy, zmierzająca do wpłątania emigracji politycznej do rozgrywek wyborczych, nie udała się. Uchwała Rady Narodowej RP, która zebrała się w dniach 19 i 20 października, ustaliła, że przekazanie insygniów prezydenckich i zakończenie działalności Rządu na emigracji może nastąpić dopiero po wolnych wyborach do parlamentu. Prezydent Ryszard Kaczorowski na pewno uzna słuszność tej rezolucji.

Cały ten incydent świadczy, jak potrzebna jest ostrożność i zachowanie dystansu do namiętności wybuchających w Polsce w okresie kampanii wyborczej. Ta ostrożność musi być również zachowana wobec niektórych leaderów emigracyjnych, którzy także chcieliby nas do tych rozgrywek wciągnąć.

Emigracja powinna godnie zakończyć swoją działalność, swoją już pół wieku trwającą walkę o Niepodległość Polski.

REDAKCJA „KULTURY”

O autonomię dla Górnego Śląska

Górny Śląsk wrze, staje się to widoczne nawet dla tych, którzy zamykają oczy na rzeczywistość. Komunizm, rozkładając się, wydziela jady, które zatrują ludzi: skomplikowane podziały etniczne, dotychczas skrzętnie przemilczane, wybuchły z siłą, której nikt się nie spodziewał. Nagle okazało się, że istnieją różnorodne grupy ludności, które mają różne interesy, stojące w sprzeczności z interesami innych grup. Nadal jednak grupy te nie zostały zadowalająco zdefiniowane. Prasa ogranicza się na ogół do szerokiej prezentacji dychotomii polsko-niemieckiej, co nawet w przybliżeniu nie odpowiada rzeczywistym liniom podziałów: ani mniejszość niemiecka, czy to, co rozumie się potocznie pod tym pojęciem, ani też tym bardziej społeczność polska nie są jednolite. Co więcej, akces do jednej z tych grup często spełnia rolę wyboru zastępczego.

A więc z jednej strony w liczbie ponad trzystu tysięcy osób (niektórzy mówią o trzystu tysiącach na Opolszczyźnie i dalszych trzystu tysiącach w okręgu przemysłowym) deklarujących się jako Niemcy, obok rzeczywistych Niemców etnicznych są także ludzie, którzy potrafią wprawdzie udowodnić swoje pochodzenie niemieckie, nie posiadają jednak w gruncie rzeczy głębszych związków z wybranym przez siebie narodem i jego kulturą. Ustawodawstwo zachodnoniemieckie ostatnio zresztą ulega zmianie i potomkowie osób, które posiadały trzeci numer *Volkslisty*, nie będą uznawani za Niemców. Dotychczas pochodzenie niemieckie mogli udowodnić niemal wszyscy rodzimi mieszkańcy Górnego Śląska, niezależnie od tego, czy pochodzili z rodzin, które kultywowały przed i w czasie wojny tradycje polskie czy niemieckie. Podziały polityczne wewnątrz mniejszości są skrzętnie ukrywane — oficjalnie ruch ten jest apolityczny.

Część jego członków znajduje się jednak pod wpływem ideologicznym skrajnej prawicy zachodnoniemieckiej. Pewien pracownik instytucji związanej z Ziomkostwem Górnoślązaków powiedział mi, iż w niektórych miejscowościach na Opolszczyźnie odzywają się głosy przeciwnie ostatecznemu uznaniu przez Niemcy granicy na Odrze i Nysie. Jeśli jest tak istotnie, to przed przywódcami mniejszości stoi zadanie zneutralizowania tych nastrojów — z ich deklaracji wynika, iż zamierzają działać w tym kierunku.

Działalność „niemieckich kół przyjaźni” czy też „stowarzyszeń społeczno-kulturalnych mniejszości niemieckiej” (zmiana nazwy nastąpiła w wyniku rosnącej akceptacji, a właściwie — pogodzenia się polskiej opinii publicznej z istnieniem tego zjawiska) koncentruje się na pracy kulturalnej: organizowaniu kursów języka niemieckiego, kółek zainteresowań, wspólnego oglądania telewizji niemieckiej — np. pierwszy ośrodek kultury w Zabrzemikulczycach został wyposażony przez pewnego socjaldemokratycznego przemysłowca z Hamburga w antenę satelitarną. Nadal niepokojący jest fakt, że mniejszość niemiecka na ogół zamyka się w swoim gronie, co wzmacnia podejrzliwość w stosunku do niej. Dopiero w ostatnim czasie widoczne są — na razie nieśmiało — próby wychodzenia z izolacji. Działalność kulturalna adresowana do wszystkich mieszkańców Górnego Śląska pomoże odnaleźć punkty styku i powinna wpłynąć na oczyszczenie atmosfery.

O ile zróżnicowanie Niemców na Górnym Śląsku wydaje się stosunkowo proste, o tyle Polacy podzieleni są na co najmniej cztery lub pięć grup, przy czym podziały te przebiegają zarówno w płaszczyźnie etnicznej, jak i psychologicznej, wyrażającej się stosunkiem do współobywateli z innych grup.

Urodzeni Górnoślązacy polscy posiadają dwie organizacje o założeniach ruchów masowych oraz kilka klubów, skupiających elity, po części związane poprzednio z *establishment*’em komunistycznym. (Wymienić tu można np. Towarzystwo im. Różdzieńskiego.) Nie należy traktować tego rodowodu jako dyskwalifikującego: każdy, kto chce działać na rzecz podmiotowości regionu i jego odrębności kulturalnej, powinien znaleźć dla siebie pole działania.

Organizacją, aspirującą w największym stopniu do stania się ruchem masowym, jest Związek Górnośląski z siedzibą w Katowicach, zbliżony do kół kościelnych, posiadający w swych szeregach kilku posłów na sejm, lecz na razie niezdolny do generalnej rezygnacji z haseł o polskim charakterze narodowym, które nie nadają się na Górnym Śląsku do wykorzystania w celach integracyjnych.

Ludność napływowa, która obecnie ma już prawdopodobnie przewagę liczebną nad miejscową, posiada co najmniej trojaki rodowód. Na pierwszym miejscu należy wymienić osoby, które

zostały wysłane na Górny Śląsk przez komunistów po wojnie w celu pełnienia funkcji administracyjnych i policyjno-bezpieczniczkich. Większość z nich pochodzi z Zagłębia, przyłączonego do Górnego Śląska ze względu na podobną strukturę przemysłową, pomimo iż pomiędzy ziemiami tymi przebiega granica etniczna. Zagłębie, m.in. ojczyzna Gierka i Grudnia, było już w czasach przedwojennych silnym ośrodkiem ideologii komunistycznej, a więc powierzenie mu zadań policyjnych wobec niepewnego i pod względem klasowym i narodowościowym Górnego Śląska było dla PPR rozwiązaniem oczywistym. Pojawiające się ostatnio w Katowicach i w innych miastach okręgu przemysłowego hasła, wymierzone przeciw wszystkim Zagłębiakom, należy jednak ocenić jako przejaw szowinizmu, szkodliwego w równej mierze dla tych, przeciw którym są wymierzone, jak i dla tych, którzy je głoszą.

Następną grupą polską są repatrianci, których osiedlono na Górnym Śląsku po wypędzeniu ze Wschodu. Ludzie ci, na ogół spokojni i pozbawieni agresji, dość dobrze zdołali się zintegrować z miejscowymi, chociaż osadzenie ich na Górnym Śląsku często związane było z jaskrawą krzywdą ludności miejscowej: często Górnoślązacy stawali się parobkami nowych właścicieli na odebranych im gospodarstwach. Częstym źródłem problemów, a czasem nawet poważniejszych konfliktów, stały się różnice cywilizacyjne: Górny Śląsk należał do Europy Zachodniej, podczas gdy kresy wschodnie pozostawały daleko w tyle pod względem cywilizacyjnym, a okupacja sowiecka do 1939 r. cofnęła je jeszcze bardziej. Grupa ta przez długie lata traktowała Górny Śląsk jako miejsce pobytu czasowego i odpowiednio do tej postawy obchodziła się z powierzonymi jej dobrami, domami i gospodarstwami. W uczuciu niepewności utwierdzała ją postawa części miejscowych, oczekujących na powrót Niemców. Największe skupiska repatriantów znajdują się na Opolszczyźnie i w niektórych miastach okręgu przemysłowego, zwłaszcza w Bytomiu, nieco mniejsze w Gliwicach.

I wreszcie grupa bodaj najliczniejsza, związana z imigracją zarobkową na Górny Śląsk. Grupa ta jest najbardziej zróżnicowana zarówno etnicznie, jak i politycznie. Wśród imigrantów zarobkowych najliczniejsi byli ludzie, zwerbowani do pracy w kopalniach — roztaczano przed nimi mit Eldorado, oni zaś ulegali mu chętnie, chcąc uciec od beznadziejności egzystencji na wsi kieleckiej, rzeszowskiej czy mazowieckiej. Część owych setek tysięcy ludzi, przybyłych na Górny Śląsk do pracy niewykwalifikowanej, zdobyła wykształcenie zawodowe, część została przyuczona do pracy. Sprowadzono ich, by z jednej strony wyrównać skutki narastającego exodusu ludności miejscowej do Niemiec, z drugiej zaś — by sprostać rosnącym potrzebom rozbudowanego ponad wszelką miarę rozsadku przemysłu, głównie

ciężkiego. O ile w wymiarze indywidualnym integracja tych ludzi była stosunkowo prosta, to poprzez swoją masowość zjawisko to stało się groźne dla tożsamości górnośląskiej. Przybysze pochodzili przeważnie z zacofanych wsi, a ich chłonność cywilizacyjna okazała się niewystarczająca.

Do grupy tej należą także m.in. nauczyciele, którzy do pierwszych lat powojennych starali się wychowywać dzieci i młodzież górnośląską w duchu antyniemieckim, antyśląskim i polsko-nacjonalistycznym, zgodnie z założeniami „jedności ideowo-moralnej narodu”. Niektórzy ograniczali się do nakazywanej przez władzę indoktrynacji komunistycznej. Jedni i drudzy obiektywnie rzecz biorąc szkodzili przyciąganiu Górnośląska do polskości, które było oficjalnie zwerbalizowanym celem polityki kulturalnej. Nauczycieli zaliczyć należy właściwie do grupy pośredniej pomiędzy imigracją zarobkową a władzą napływową. Spełniali oni rolę ideologiczną, lecz szkodząc — często w dobrej wierze — sami byli ofiarami systemu.

Następną grupą są przedstawiciele władzy. Przyjezdni obejmowali na Górnym Śląsku wszelkie stanowiska, wymagające jakiegokolwiek odpowiedzialności — jedynie górnictwo pozostało dziedziną, w której awans społeczno-zawodowy miejscowych nie był z góry wykluczony. Z czasem proporcje statystyczne zaczęły się nieco zmieniać na korzyść zasiedziałych mieszkańców, co miało niewątpliwie związek z obiektywnym zmniejszaniem się ilości autochtonów w związku z emigracją do Niemiec oraz postępującym przemysłowieniem i sowietyzacją pozostałych. Najwyższe stanowiska w miejscowej hierarchii politycznej i zawodowej były dla Górnoślązaków i tak niedostępne.

W procesie „uśredniania” wartości zaczęły zanikać tradycyjne cechy górnośląskie: zamiłowanie do porządku, wysoki etos pracy, lojalność wobec społeczności miejscowej. Szczególnie w ostatnim okresie, charakteryzującym się wzrostem nastrojów nacjonalistycznych, megalomanii narodowej i ksenofobii w społeczeństwie polskim, narasta równocześnie na Górnym Śląsku przestępczość, mnożą się akty bezmyślnego wandalizmu, zaobserwować można coraz większą obojętność wobec negatywnych zjawisk społecznych. Na razie wygląda na to, że upadek komunizmu nie wyzwolił szerokiej inicjatywy społecznej, lecz nastąpiło pogłębienie apatii i ucieczka od odpowiedzialności. Widoczne jest to nawet w programach miejscowej telewizji, która nie uwzględniła w wystarczającym stopniu potrzeby przeciwstawienia się postępującej polaryzacji społecznej, licząc jakby na możliwość powrotu do „jedności ideowo-moralnej narodu polskiego” na swym obszarze nadawania.

Tymczasem skala problemów, nie tylko zresztą narodowościowych, lecz także społecznych, gospodarczych a przede wszyst-

kim ekologicznych, wymaga natychmiastowych działań. Województwo katowickie na dobrą sprawę można porównać jeśli nie z Czarnobylem, to z okolicą Wismuth w NRD, gdzie warunki także nie nadają się do życia. Skażenie powietrza, gleby i wód — zarówno powierzchniowych, jak i podskórnych — stawia tę ziemię na niechlubnym pierwszym miejscu na świecie. Nie ma na całej kuli ziemskiej drugiego tak rozległego regionu, zamieszkałego przez kilka milionów ludzi, który byłby tak zatruty. Tu nie pomogą już działania doraźne. Chcąc uratować życie biologiczne w okręgu przemysłowym Górnośląska, trzeba opracować i zacząć konsekwentnie realizować program ekologiczny równie zdecydowany, jak gospodarczy program Balcerowicza. Górny Śląsk jest obszarem katastrofy ekologicznej i nikt nie próbuje już temu zaprzeczać. Niestety, wszelkie przedsięwzięcia podejmowane w celu zapobieżenia dalszej degradacji środowiska naturalnego w tym regionie są połowiczne: inne potrzeby wciąż wygrywają z potrzebami tej ziemi, która włożyła do kasy centralnej wielokrotnie więcej, niż otrzymała z powrotem.

Górny Śląsk, stosunkowo najmniej zniszczony w czasie działań wojennych, odbudowywał Warszawę, wykonywał ustalone centralne plany produkcyjne i stał się ofiarą rozbudowywania przemysłu ciężkiego i szалу inwestycyjnego za Gierka. Żadna ekipa komunistyczna nie zwracała sobie głowy ochroną środowiska naturalnego, doprowadzając w konsekwencji do jego całkowitej degradacji. Nigdzie w Polsce pejzaż nie jest aż tak zdevastowany jak tu, nigdzie też nie ma tak wielu nieużytków. Właściwie ani kawałek ziemi w okręgu przemysłowym nie nadaje się do wykorzystania rolniczego i na dobrą sprawę osobami i przedsiębiorstwami, oferującymi żywność, wyprodukowaną na obszarze przemysłowym Górnośląska, powinna zainteresować się prokuratura, jako że rośliny wyhodowane tam zawierają niebezpieczne dla życia i zdrowia ilości substancji trujących z metalami ciężkimi na czele. Odbija się to na zdrowiu ludności. W miastach okręgu przemysłowego są dzielnice, w których rodzi się wielokrotnie więcej dzieci upośledzonych, niż gdziekolwiek w kraju. Dzieci na pozór zdrowe zapadają często na ciężkie choroby. Nadśmiertelność mężczyzn w wieku produkcyjnym na Górnym Śląsku jest wyższa od średniej krajowej, o której pisze się w alarmistycznym tonie. Przeciętna długość życia mieszkańców Górnośląska jest o kilka lat niższa od przeciętnej długości życia poza tym regionem. Choroby nowotworowe oraz układu krążenia, a więc tzw. choroby cywilizacyjne, zbierają tam najobfitsze żniwo. Osoby przyjeżdżające na Górny Śląsk po kilku dniach pobytu odczuwają dolegliwości oskrzelowe, zaś mieszkańcy okręgu przemysłowego po opuszczeniu tego regionu, zwłaszcza osoby po pięćdziesiątce, posiadające obniżoną odpor-

ność organizmu, ryzykują życiem: wiele z nich umiera w ciągu dwóch, trzech lat po wyjeździe z zatrutego regionu, czego dowodzą statystyki zachodnoniemieckie w odniesieniu do „wysiedleńców” z Górnego Śląska.

Górnoślązacy w Polsce stali się nie tylko „niepełnowartościowym materiałem biologicznym”, lecz na dodatek zdegradowani zostali do siły roboczej używanej do ciężkiej pracy fizycznej, a w najlepszym przypadku do średnio skomplikowanych prac manualno-technicznych. Jest to wynik kontynuacji polityki niemieckiej wobec ludności rodzimej. Posłużono się w tym celu polityką edukacyjną, wrogą wobec wartości miejscowych. Stąd też średni poziom wykształcenia ludności rodzimej na Górnym Śląsku jest niższy, niż w Polsce. Ma to swoje źródło także w odmiennej hierarchii wartości — wykształcenie nic nie mogło dać Górnoślązakom w Polsce w sensie statusu materialno-społecznego, który był dla tych ludzi ważniejszy od rozpowszechnianego w Polsce etosu (a może raczej syndromu) inteligentnego.

Obecnie w całym kraju konieczna jest restrukturyzacja przemysłu. Dla Górnego Śląska, który dla dobra Polski zamieniony został w kolosalny śmietnik i którego gospodarka, rozbudowana z myślą o autarkii gospodarczej Polski Ludowej, skazanej w dużym stopniu na współpracę jedynie z innymi krajami bloku wschodniego, opiera się w głównej mierze na przemyśle ciężkim oraz wydobywaniu i przeróbce węgla, obecna restrukturyzacja przemysłu oznacza malejące zapotrzebowanie na stal i węgiel. Tradycyjne podstawy przemysłu górnośląskiego tracą więc rację bytu. Nieuniknione — także z ekologicznego punktu widzenia — zamykanie hut, koksowni i kopalń narzuca konieczność zapewnienia zwolnionym pracownikom nowych miejsc pracy. Część zredukowanych może znaleźć zajęcie w usługach, ale ze względu na stosunkowo niski poziom wykształcenia ogólnego przekwalifikowanie nie osiągnie koniecznych rozmiarów. Należy więc liczyć się z tym, iż bezrobocie na Górnym Śląsku będzie najgłębsze i najtrudniejsze do przezwyciężenia ze względu na to, że będzie miało najgłębsze przyczyny strukturalne.

W ostatnich miesiącach opublikowano szereg liczb, dotyczących nakładów na różne dziedziny życia społecznego na Górnym Śląsku oraz w innych, wybranych rejonach kraju. Wynika z nich, że najgęściej zamieszkała ziemia w Polsce, ziemia która najwięcej produkuje i najwięcej (pomimo kryzysu) wnosi do skarbu państwa, jest głęboko upośledzona pod niemal każdym względem: na Śląsku jest mniej łóżek szpitalnych, mniej szkół i miejsc w przedszkolach, mniej przeznaczają się tu na ochronę zdrowia i szkolnictwo, na utrzymanie infrastruktury miejskiej, na wydatki komunalne i na wiele innych celów w przeliczeniu na

jednego mieszkańca. I to nie tylko mniej niż w stolicy, lecz także mniej niż w województwach, które przyczyniają się do wspólnego dorobku niewspółmiernie skromniej, niż Górny Śląsk. Jeśli przyjąć, że słuszne jest wyrównywanie dysproporcji pomiędzy poszczególnymi regionami, to równie słuszne jest pytanie, dlaczego akurat znajdujący się w stanie najgłębszej w kraju, permanentnej katastrofy Górny Śląsk ma łożyć najwięcej na podźwignięcie innych ziem? Podział środków powinien być proporcjonalny do wkładu. Z informacji, podanych przez *Gościa niedzielnego* z 6 maja br. wynika, że na potrzeby własne Górnego Śląska przeznaczają się dwa do trzech procent wypracowanych środków.

Problemy tego regionu obejmują więc zagadnienia społeczne, gospodarcze, ekologiczne i kulturalne. Rozwiązywanie ich nie leży w mocy centrali warszawskiej, znajdującej się daleko i żyjącej własnymi problemami, wymagającymi rozwiązania. Znalezienie konsensusu pomiędzy stanowiącymi kilka procent ludności Górnoślązakami niemieckimi a Górnoślązakami polskimi bądź indyferentnymi narodowościowo, a później — pomiędzy ludnością o miejscowych korzeniach a napływową, obejmującą repatriantów, imigrację zarobkową, była komunistyczną władzę napływową oraz potomków polskiej kadry przedwojennej, jest sprawą w której wszelkie ingerencje spoza Śląska mogą tylko zaszkodzić. Mam na myśli zarówno ingerencje Warszawy, jak i kół niemieckich „związków wypędzonych”, które prowadzą ostatnio akcję zbierania podpisów na rzecz przeprowadzenia na Górnym Śląsku plebiscytu, który miałyby zdecydować o pozostaniu tej ziemi w Polsce lub jej „europeizacji”.

Być może „wypędzeni” potrzebują ostatecznej przegranej, żeby przejść do polityki bardziej realistycznej. Uznanie granicy na Odrze i Nysie przez parlamenty obydwu państw niemieckich, które jest kwestią najbliższego czasu i warunkiem *sine qua non* zgody świata na zjednoczenie Niemiec, odbierze ich żądaniom rewindykacyjnym ostatnie pozory „podstaw prawnych”. Po rezygnacji z rewizjonistycznych celów politycznych Ziomkostwo Górnoślązaków mogłoby włączyć się do pielęgnowania wspólnego dziedzictwa kulturalnego i odegrać pozytywną rolę w przybliżaniu Górnego Śląska i Polski do Europy.

O wiele silniejsze tendencje nacjonalistyczne występują w NRD, lecz państwo to, jak wiemy, zostało pochłonięte przez Niemcy Zachodnie i nie powinno być wątpliwości, która strona w tym związku okaże się silniejsza — także pod względem intelektualnym. Nacjonałisci niemieccy mają nikłe szanse na utworzenie szczytkowego *landu* śląskiego na terenie NRD. A gdyby nawet tak się stało, to nie miałyby to znaczenia z punktu widzenia trwałości granicy polskiej, gwarantowanej przez niemieckie członkostwo w NATO i Wspólnocie Europejskiej.

Na razie wygląda na to, że w Polsce także komuś zależy na zaognianiu sprzeczności narodowościowych. Zaczęło się to natychmiast po podjęciu prób zarejestrowania mniejszości, kiedy to partyjne gazety zaczęły drukować wspomniane prowokacyjne antypolskie listy, pisane rzekomo przez Niemców z Opolszczyzny. W czasie kampanii wyborczej do senatu na miejsce po zmarłym senatorze Osmańczyku prowokacje osiągnęły apogeum: na murach pojawiły się napisy „Kroll do Bundestagu”, „Polacken raus” i podobne. Grupka nacjonalistów z Katowic spaliła w Opolu niemiecką flagę, nieznani sprawcy dwukrotnie wybili szyby w siedzibie mniejszości niemieckiej w Gliwicach, a nawet niektórzy rozsądni do tej pory Polacy zaczęli twierdzić, że „Niemcy sami sobie wybijają szyby”. Programy prof. Doroty Simonides — kandydującej z ramienia Solidarności, i Henryka Króla — reprezentanta mniejszości, były niemal identyczne. Na ulicach jednak toczyła się walka i nie mogę oprzeć się wrażeniu, że po jednej i drugiej stronie występowały te same bojówki. Być może zresztą się myślę — głupota i prymitywizm polityczny przejawiają się podobnie, niezależnie od ich źródła.

Jedynym wyjściem jest znalezienie punktów stycznych, podjęcie w tym celu rozmów i rozpoczęcie prawdziwej integracji, opartej na tolerancji, która zaczyna się dopiero tam, gdzie kończy się możliwość zrozumienia drugiej strony. Porozumienie można osiągnąć tylko własnymi siłami, bez odwoływania się do najbardziej nieciekawych kart w historii polskiej endecji i bez wprowadzania do gry rewizjonistycznych elementów skrajnej prawicy niemieckiej.

Tymczasem w Polsce zawiniona przez kanclerza Kohla wrzawa o polską granicę zachodnią wywołała prawdziwy wybuch hysterii antyniemieckiej. Nagle zaczęto mówić i pisać o Niemcach jak o Trzeciej Rzeszy, jakby *Bundeswehr* szykowała się do wkroczenia do Polski. Zapomniano z dnia na dzień o bezprzykładnej pomocy społeczeństwa zachodnioniemieckiego w czasie stanu wojennego, o więzach partnerskich, łączących od tego czasu wiele parafii, szkół i osób prywatnych w obydwu krajach. Jeśli Polska naprawdę musiała domagać się ponownego uznania tego, co na dobrą sprawę dawno zostało uznane w Zgorzelcu i w Warszawie, to na pewno błędem politycznym było nieprzeciwstawienie się rosnącym nastrojom antyniemieckim w społeczeństwie. Skoro nie można powstrzymać procesu zjednoczenia Niemiec, to należało zrobić wszystko, by na procesie tym zyskać, a nie pograżać się w bezmyślnym biadoleniu i szukać oparcia w Moskwie, która chciałaby zneutralizować Niemcy. Neutralne Niemcy byłyby śmiertelnym niebezpieczeństwem dla Europy i dla Polski, związane z Europą mogą stać się lokomotywą integracji kontynentu. W tym wypadku współczesna polska

myśl polityczna grzeszy zaściankowością. Błędem politycznym jest traktowanie demokratycznych Niemiec, które są najsilniejszym sojusznikiem USA w Europie, jako niebezpieczeństwa, przed którym trzeba szukać ochrony w nadal totalitarnym imperium sowieckim.

Na samym Górnym Śląsku pojawiają się oznaki zdrowienia: wspomniałem już o rosnącej gotowości miejscowych Niemców do otworzenia się dla środowisk, w których żyją. Z drugiej strony powstał w Opolu Związek Górnoszlązaków (nie mylić z katowickim Związkiem Górnoszląskim), który chce odegrać rolę integracyjną pomiędzy obydwoma odłami ludności rodzimej oraz ludnością napływową. Deklaracja programowa tego związku brzmi nowoczesnie i po europejsku.

Istnieje tylko jeden sposób na uporanie się z problemami Górnego Śląska, a równocześnie pozbycie się przerosłów nacjonalistycznych w Polsce: odejście od centralizmu, który zawsze rodzi nacjonalizm. Górny Śląsk powinien uzyskać własną reprezentację, własny rząd, zdolny wyegzekwować w Warszawie należne środki i samodzielność w podejmowaniu dotyczących go decyzji. Musi to być rząd, pochodzący z wyboru.

Rozwiązania proponowane przez sejm, senat i rząd premiera Mazowieckiego są z punktu widzenia interesów Górnego Śląska niezadowalające: wojewoda jako urzędnik mianowany przez premiera nie może liczyć na zaufanie ludności miejscowej, która ma za sobą niedobre doświadczenia z centralistycznym stylem sprawowania władzy przez wojewodę Grażyńskiego po przewrocie majowym w polskiej części kraju oraz ze zdalnym sterowaniem z Breslau w jego byłej części niemieckiej, historia powojenna zwiększyła nieufność do władz polskich i wojewoda mianowany przez centralę będzie traktowany jako namiestnik władzy niemal kolonialnej.

Istnieje wypróbowane rozwiązanie: już przed wojną istniał w Katowicach Sejm Śląski i region ten dysponował ograniczoną autonomią.

Z całą pewnością autonomia Górnego Śląska musi zostać starannie (lecz szybko) przygotowana. Należałoby zastanowić się, czy nie rozszerzyć prawa do posiadania miejscowego obywatelstwa na tych wszystkich, którzy tam się urodzili. Inicjatywa taka wytrąciłaby z rąk rewizjonistów największy argument rewindykacyjny. Z drugiej strony prawa wyborcze powinni posiadać tylko ci, którzy na Górnym Śląsku posiadają miejsce stałego zamieszkania, a więc pracują tam i płacą podatki. Należałoby także rozwiązać sprawę nabywania nieruchomości. Rozwiązania szczegółowe powinny zresztą zostać znalezione w wyniku dyskusji zainteresowanych. Może przy jakimś górnośląskim „okrągłym stole”? Jasne przepisy prawne powinny zdjąć z części

społeczeństwa polskiego wynikający z ksenofobii historycznych strach przed Niemcami i w ogóle przed obcymi.

Korzyści wynikające z uzyskania autonomii byłyby dla Górnego Śląska ewidentne:

— możliwość uzyskania w Rzeczypospolitej pozycji, odpowiadającej potencjałowi gospodarczemu i ludnościowemu tego regionu,

— pozbycie się roli kolonii wewnętrznej, wyzyskiwanej gospodarczo i ekologicznie od dziesięcioleci,

— możliwość rozwiązania problemów etnicznych oraz urządzenia oświaty i życia kulturalnego w sposób, odpowiadający miejscowym potrzebom,

— połączenie rozbitych między kilka województw ziem etnicznie górnośląskich w jeden sprawnie funkcjonujący organizm regionalny,

— odłączenie ziem „przyklejonych” do Górnego Śląska w charakterze policyjnym — mam tu na myśli obce etnicznie i pod względem mentalności Zagłębie Dąbrowskie,

— możliwość rozwoju gospodarczego zgodnego z własnymi możliwościami; zastępowanie przestarzałej struktury przemysłowej nowoczesnymi gałęziami przemysłu, także przy pomocy zainteresowanego kapitału zagranicznego; być może niemieckiego, lecz z pewnością nie tylko niemieckiego.

W tym miejscu konieczna jest dodatkowa uwaga: do tej pory Warszawa stara się ściągnąć kapitał zachodni, w tym także niemiecki, do siebie. Gdańsk także wykorzystuje szanse, jakie przed nim stoją w roli współczesnego Sulejówka. Zainteresowanie kapitału niemieckiego Górnym Śląskiem jest utracane przy pomocy zastrzeżeń o źle zaważanym charakterze nacjonalistycznym, mimo iż ten właśnie region znajduje się w najbardziej katastrofalnym stanie i najbardziej potrzebuje kapitału.

Rozwiązanie autonomiczne wymagałoby przewyciężenia przybierającego czasem rozmiary manii prześladowczy uczucia nieufności wobec Górnoślązaków; charakterystycznym przykładem jest wypowiedź pani Niezabitowskiej w marcu br. Zapytana o to, czy zostanie wprowadzona w Polsce możliwość oficjalnego posiadania podwójnego obywatelstwa, które na razie jest tylko tolerowane, odpowiedziała że nie wiadomo, ponieważ część osób, które wyjechały do Niemiec, może być manipulowana.

Czas pogrzebać urazy. Będzie to możliwe tylko pod warunkiem, że Górny Śląsk zostanie zwolniony ze swej roli kolonii wewnętrznej i że wszyscy jego mieszkańcy otrzymają takie same prawa, niezależnie od poczucia przynależności etnicznej. Nie można utrzymywać sytuacji, w której na Górnym Śląsku ludność miejscowa traktowana jest jako siła robocza, pogardzana przez nadzorców z Polski Centralnej albo tuż zza

Czarnej Przemyszy. Szansą na takie nowe ułożenie stosunków jest autonomia dla tej ziemi.

Cała Polska może zresztą odnieść spore korzyści, decydując się na przedstawione rozwiązanie.

Po pierwsze: może w ten sposób pozyskać dla siebie ludność regionu, który od czasów przedwojennych był bezwstydnie eksploatowany.

Po drugie: może wycofać się z nader drażliwych spraw etnicznych w tym regionie, zachowując przy tym pozycję ewentualnego mediatora i — poprzez ciała ustawodawcze: sejm oraz wybrany na nowych zasadach jako reprezentacja ziem senat — rolę ostatniej instancji.

Po trzecie: może pozbyć się głównej części kłopotów gospodarczych, które dopiero pojawiają się przed Górnym Śląskiem z powodu rozpoczynającej się recesji o głębokim podłożu strukturalnym, pozostawiając ich rozwiązanie władzy miejscowej.

Po czwarte: może na władze te złożyć odpowiedzialność za uporanie się ze skutkami katastrofy ekologicznej. Wiadomo przy tym, że zarówno kryzys gospodarczy jak i ekologiczny został spowodowany w głównej mierze przez centralistyczną politykę eksploatacji tego regionu.

Po piąte: reszta kraju mogłaby poprzez Górny Śląsk nawiązać łatwiejszy kontakt z Europą Zachodnią — prawdopodobnie resztki dyscypliny pracy, które zdołały się tam zachować, przyciągnęłyby nie tylko przemysł niemiecki — a zdobyte doświadczenia owocowałyby wkrótce z korzyścią dla całego kraju.

Po szóste: rozwijająca się autonomia górnośląska wpłacałaby do skarbu państwa coraz wyższe podatki, bez potrzeby uruchomienia coraz kosztowniejszych programów specjalnych na jej ratowanie. Zaznaczyć tu jednak trzeba, że środki specjalne na zainicjowanie programów ekologicznych i restrukturacyjnych i tak będą konieczne, i od tego nikt nie może zwolnić rządu centralnego.

Po siódme: własny rząd i silna reprezentacja w sejmie i senacie (nb. obecnie województwo katowickie reprezentuje trzech senatorów, podczas gdy — według liczby ludności — powinno ich być co najmniej dziewięciu) łagodziłyby problemy identyfikacyjne mieszkańców tej ziemi i neutralizowałyby ciężenie polityczne w kierunku Niemiec.

Po ósme: proniemieckie ciężenie kulturalne można by zaspokajać na miejscu poprzez np. dwujęzyczne wydania książek autorów górnośląskich (Eichendorff, Bienek, lecz także Morcinek), przez radiowe i telewizyjne programy po niemiecku, naukę języka niemieckiego zamiast rosyjskiego w szkołach itp.

Po dziewiąte: rozwiązanie to stałoby się w skali kraju przykładem rozwiązania samorządowego i zezwoliłoby na zebranie doś-

wiadczeń do wykorzystania podczas ewentualnego nowego podziału administracyjnego kraju na ziemie lub „mikroregiony”.

I wreszcie po dziesiąte: stanowiłoby to zadośćuczynienie dla Górnoszlązaków za dziesięciolecie poniżeń i wyzysku. Dla społeczeństwa polskiego, kierującego się w większości światopoglądem chrześcijańskim, argument ten powinien mieć swoją wagę.

Pierwszym krokiem na Górnym Śląsku musiałoby być doprowadzenie do porozumienia między Górnoszlązakami-Niemcami oraz Górnoszlązakami-Polakami oraz obojętnymi narodowo z jednej strony, a Zagłębiakami, Kresowiakami, „werbusami” i polską elitą postkomunistyczną oraz post-przedwojenną z drugiej. Równocześnie powinny rozpocząć się konsultacje wielostronne, mające na celu wypracowanie podstaw równości praw i szans życiowych. Powstały w Opolu Związek Górnoszlązaków — organizacja, która chce stać się czynnikiem integrującym różne grupy współczesnej ludności Opolszczyzny oraz doprowadzić do tego, by Górnoszlązacy „stali się włodarzami swej ziemi, a nie tylko dodatkiem do terytorium i powolną siłą roboczą” — mógłby odegrać w tych dążeniach wielką rolę. Jego deklaracja programowa mogłaby stać się zaczątkiem przyszłej platformy porozumienia. Jeżeli ono nie nastąpi, to coraz więcej ludzi na Górnym Śląsku zacznie podpisywać apel zachodniemieckiego Związku Wypędzonych o przeprowadzenie nowego plebiscytu. Nie jest to straszenie żelaznym wilkiem: moja diagnoza sprzed roku, w której przewidywałem rosnącą polaryzację narodową, sprawdziła się niestety w stu procentach, ponieważ nie podjęto żadnego rozsądnego przeciwdziałania zarysowującym się wówczas tendencjom dezintegracyjnym. Obecnie reszta kraju może mieć z każdym miesiącem coraz gorsze widoki na korzystne dla obydwu stron, prawdziwe, a nie tylko formalne związanie ze sobą Górnoszlązaków. Alternatywą jest zachęcanie pozostałych jeszcze w kraju do emigracji do Niemiec.

Uważam, że w pracach nad nową konstytucją warto przewidzieć „wariant górnośląski” nowego podziału administracyjnego kraju, a więc stworzenie możliwości dla rozwoju demokracji „ziemskiej” w całej Polsce. Wiele wskazuje na to, że Europa Narodów stopniowo będzie odchodzić do historii, zastępowana przez Europę Regionów. Badania demograficzne w krajach demokratycznych na całym świecie wskazują, że patriotyzm lokalny przeważa nad państwowym. Żle by było, gdyby Polska stała się wyjątkiem: patriotyzm „ogólnonarodowy” wspólnie z centralizmem prowadzą bowiem nieuchronnie do szowinizmu.

Stanisław BIENIASZ

Kanar*

Nazywano go Kanarem, bo przy każdej okazji chwalił się, że kiedyś służył w konnej żandarmerii. Podwładnym kazał się tytułować nie starszym sierżantem, lecz starszym wachmistrzem. I wcale się nie obrażał, gdy za plecami mrużano:

„... Zdechł kanarek,
Zdechł kanarek,
zdechł kanarek
zdechł...”

Uśmiechał się nawet pod rudym wąsem. Bo ta stara piosenka wojskowa wyśmiewająca żandarmów — kiedy śpiewano ją przeciwko niemu — nabierała nowego sensu: potwierdzała jego żandarmską przeszłość.

Najbardziej żandarmskie były w nim oczy. Kanarkowo żółte, dokładnie takiego samego koloru jak sznury na żandarmskim mundurze. Mówi się, że ludzi o żółtych oczach wypełnia żółć, wskutek czego mają niedobry charakter i są nienawistnikami. Kanar nie wylamywał się z reguły. Nadmiarem dobroci z pewnością nie grzeszył, a jako nienawistnik bił wszystkie rekordy. Szczególnie nienawidził tych, od których był w jakiś sposób zależny, a już najbardziej ze wszystkich nienawidził mnie — swego bezpośredniego przełożonego.

Do dziś niezupełnie rozumiem, dlaczego dowódca naszego „Samodzielnego Batalionu Bojowego”, major Michał Bartula, uznany później jak najśluszniej za bohatera wojny 1939 roku — człowiek rozumny, sprawiedliwy i nie żyjący do mnie żadnej szczególnej niechęci — właśnie Kanara wyznaczył mi na zastępcę w dowodzonym przeze mnie plutonie ciężkich karabinów maszyno-

* Z tomu „Moje przygody z wojskiem”

wych na taczankach. Przypuszczam, że kierowały nim te same względy, co moim dowódcą w Szkole Podchorążych kapitanem Jacewiczem, który dziesięć lat wcześniej — przygotowując pamiętną defiladę w dniu zaprzysiężenia rekrutów z cenzusem — właśnie mnie wyznaczył był na koniucha przy, bardzo ponoć zasłużonym w wojnie 1920 roku, ale słynnym ze złośliwości siwku „Kapralu”. Po skandalu defiladowym kapitan Jacewicz tłumaczył się, że przydzielając mnie do „Kaprala”, rozumował tak: koniuch słaby, a to koń mądry, doświadczony, jakoś sobie z koniuchem poradzi i wszystko pójdzie dobrze.

Podobnie musiał rozumować major Bartula, kojarząc mnie z Kanarem. Obawiał się, że w warunkach wojskowych młodziutki, niedoświadczony podporucznik rezerwy (to znaczy ja) może nie dać sobie rady z dowodzeniem ważnym plutonem broni towarzyszącej. Przydzielił mi więc do pomocy wyjątkowo doświadczonego zastępcę, który w razie potrzeby zdolny byłby poradzić sobie i z ciężką bronią i z ludźmi i z końmi i z taborem plutonu, a ponadto potrafiłby jeszcze wesprzeć w dowodzeniu niedoświadzonego dowódcę. Następstwa tego logicznego rozumowania okazały się w praktyce fatalne — o wiele gorsze niż tamten skandal defiladowy w podchorążówce. Bądź co bądź dokoła nas toczyła się prawdziwa wojna. W każdej chwili i z każdej strony zagrażały nam samoloty i czołgi wroga. Tymczasem od przybycia do nas Kanara, pluton CKM-ów na taczankach zdawał się o tych wszystkich niebezpieczeństwach wojennych zapominać. Był całkowicie pochłonięty swoją własną prywatną wojną, rozgrywającą się między dowódcą plutonu a jego zastępcą.

Kanar nie znosił mnie od pierwszej chwili. Nie mógł mi wybaczyć, że on — zasłużony podoficer sztabowy, uczestnik dwóch wojen, dwukrotnie odznaczony Krzyżem Walecznych, mistrz jazdy konnej — musi słuchać rozkazów „warszawskiego picusia” (tak mnie podobno nazywał), który ledwie potrafi utrzymać się w siodle, a o wojnie wie akurat tyle, co zdążył wyczytać z książek dla młodzieży. Ja ze swej strony tę jego nienawiść do mnie jeszcze podsyciałem, gdyż ilekroć słyszałem, że tytułują go nie sierżantem lecz wachmistrzem, nie mogłem się powstrzymać od ironicznego uśmiechu. Odplącał mi za te uśmiechy z nawiązką.

Szczególnym przedmiotem jego szyderstw i urągówisk była moja jazda konna. Rzeczywiście: jeźdźcem byłem nie najlepszym. Miałem za sobą jedynie kilkutygodniowy podchorążacki kurs szkoleniowy jazdy konnej dla dowódców plutonów CKM-ów na taczankach. Ale w kampanii wrześniowej 1939 roku, która była jednym niekończącym się marszem, nawet taka zaprawa jeździecka w zupełności wystarczała. Konia miałem łagodnego —

mocnego chłopskiego kasztanka. „Maciek” — bo tak mego wierzchowca nazwałem — szybko chyba się zorientował w moim słabym przygotowaniu kawaleryjskim, ale nie wyciągał z tego żadnych przykrych dla mnie konsekwencji. Co innego Kanar. Ten z każdego mego występu jeździeckiego, a zwłaszcza z mojego dosiadanego konia, starał się uczynić widowisko humorystyczne nie tylko dla naszego plutonu, ale dla całego batalionu, gdyż odbywało się to przeważnie na placu apelowym, kiedy batalion czekał na odprawę u swego dowódcy. Za każdym razem, kiedy mój „pocztowy” — kapral rezerwy Brzeziński — przyprowadzał mi osiodłanego Maćka, Kanar był już na miejscu i — otoczony grupką szeregowych — szykował się na dobrą zabawę. Drwiące spojrzenie jego żółtych oczu kompletnie mnie paraliżowało i wszystko, co w zwykłych warunkach robiłem znacznie lepiej, robiłem o wiele gorzej. Wrogość bijąca od Kanara musiała w jakiś sposób oddziaływać nawet na mego Maćka, gdyż zachowywał się bardziej nerwowo niż zazwyczaj, co nie ułatwiało mi mego zadania. W rezultacie dostarczałem niezłego teatru batalionowej publice, kiedy z jedną nogą w strzemieniu przez dłuższą chwilę podskakiwałem za moim zdenerwowanym wierzchowcem, zanim wreszcie udało mi się wgramolić na jego grzbiet. Widownia nie dawała się jednak sprowokować drwiącymi uśmiechami Kanara i na ogół zachowywała się przyzwoicie. Brało się to stąd, że mnie w batalionie ponoć lubiano, gdyż umiałem interesująco rozmawiać z żołnierzami, a Kanara totalnie nie cierpiano. Ale pewny jestem, że cały batalion przyglądając się moim popisom w duchu pękał ze śmiechu.

Moje udręki nie kończyły się jednak na tym. Po gruntownym ośmieszeniu moich kwalifikacji jeździeckich, Kanar pokazywał batalionowej widowni, jak sobie poczyną z koniem były starszy wachmistrz konnej żandarmerii. Jednym wspaniałym skokiem osadzał się w siodle podstawionego mu „luzaka”, po czym przez parę minut czarował nas takimi sztuczkami, jakie widuje się tylko na międzynarodowych zawodach hipicznych. Uciec od tych pokazów, mających mnie ostatecznie pogłębić w opinii podwładnych, nie mogłem, ponieważ czekaliśmy wszyscy na odprawę z majorem. Mogłem tylko udawać, że mnie te wszystkie woltyżerskie cuda nic a nic nie obchodzą. Ale on wiedział, że jest inaczej i w jego żółtych oczach, których ze mnie nie spuszczał, aż bulgotało od drwiny i pogardy.

Do jakiego stopnia mnie nienawdził, miałem możliwość się przekonać w owym pamiętnym dniu, który był dla nas jedynym radosnym dniem w całej tej smutnej kampanii — w dniu, w którym na krótko można było uwierzyć, że nasza beznadziejna wojna przybierze o wiele pomyślniejszy obrót.

Był to trzeci dzień po wymarszu z macierzystego Słonima

nad Szczarą, a więc 15 września 1939 roku. Zgodnie z rozkazem dowództwa zajmowaliśmy pozycje obronne wzdłuż Kanału Królewskiego. Miałem właśnie zarządzić kopanie stanowisk dla naszych CKM-ów, kiedy w powietrzu, wysoko nad nami, zawarzał samolot. Wszyscy na chwilę zamarliśmy, po czym wszczęło się gwałtowne zamieszanie. Gdyby nasz pluton był zwykłym plutonem strzeleckim, nie byłoby sprawy. Wystarczyłaby jedna krótka komenda: lotnik kryj się! — i całe bractwo rozpiętnęłoby się na boki, szukając — każdy dla siebie — najbezpieczniejszego schronienia. Ale to był pluton CKM-ów na taczankach. Stanowiliśmy niepodzielną całość. Nie mogliśmy uciec od naszej ciężkiej broni maszynowej, od naszych koni i taczanek. Żebyż to przynajmniej były prawdziwe taczanki; lekkie, zwrotne, na wysokich kołach, mogące w razie potrzeby posłużyć jako osłona przed ostrzałem z powietrza. Ale prawdziwe taczanki naszego pułku — 80-go pułku Strzelców Nowogrodzkich — wymaszerowały ze Słonima na linie obronne pod Mławą jeszcze wiosną, zaraz po ogłoszeniu częściowej mobilizacji. Kiedy więc przysła kolej naszego wymarszu na prawdziwą wojnę, prawdziwych taczanek już nie było. Zamiast nich dano nam pod CKM-y drabiniaste wozy chłopskie wymoszczone słomą. Miało to tę dobrą stronę, że w czasie męczącego marszu załogi CKM-ów mogły sobie na tych wozach trochę pospać (oczywiście jeżeli nie było w pobliżu Kanara, bo ten sobie sprawił specjalny kij do grzmocenia śpiących). Ale uciec takimi wozami przed lotnikiem było czystą niemożliwością. Na domiar złego zaprzężone do wozów płochliwe konie chłopskie — wystraszone narastającym nad nami warkotem — zaczęły szaleć. Wkrótce cały nasz pluton zmienił się w splątaną masę ludzi, wozów, koni, strachu i bezradności. Z tej sytuacji nie było dobrego wyjścia. Strzelanie nic by nie dało, bo za wysoko i jeszcze bardziej zwróciłoby na nas uwagę wroga. Można było tylko polecić się Bogu i czekać z rezygnacją, aż hitlerowski zbój powietrzny zetrze nas na miazgę.

Samolot krążył ciągle wysoko nad nami, zataczając szerokie koła jak jastrząb czyhający na zdobycz. W końcu musiał nas dostrzec, bo zaczął gwałtownie pikować w naszym kierunku. Skoczyliśmy do CKM-ów. Teraz nie ryzykowaliśmy już niczym. I tak nas widział. Był coraz bliżej, tuż nad naszymi głowami. Ale zanim zdążyliśmy przygotować karabiny do strzelania, ze splątanej masy ludzi, koni i wozów, stłoczonych na szosie, buchnął ogłuszający wrzask radości. Nadlatujący na nas samolot, zamiast czarnobiałych hitlerowskich krzyżów, miał na skrzydłach dwie czerwone gwiazdy.

Przypomniałem sobie, jak na krótko przed wojną — w okresie najzjadlejszych ataków Hitlera na Korytarz Gdański — krążyły po Warszawie uparte pogłoski, że spiker radia moskiew-

skiego miał powiedzieć: *Gaspadin Gitler, nie chaditje w koridor, bo tam tiemno i w mordu bijut!* — Nie wszyscy w te pogłoski wierzyli. Były zbyt piękne, jak na prawdziwe. Zwłaszcza po przeklętym pakcie Mołotow-Ribbentrop. Aż oto proszę: sprawdziły się. Wielki sąsiad jest z nami! Nie pozostawił nas na łasce Hitlera. A jeśli jest z nami, to wygramy tę wojnę!

I razem z moimi podwładnymi — przeważnie podoficerami rezerwy rodem z Pomorza, a więc nie obciążonymi w najmniejszym nawet stopniu kompleksami antyrosyjskimi — darłem się jak opętany: niech żyje Iwan! Charoszyj Iwan! W mordę Hitlera! W mordę!

Przez dłuższą chwilę samolot krążył nad naszymi głowami. Widzieliśmy dokładnie białe kożuszki i czerwone twarze pilotów, jeden z nich zamachał nam ręką.

W szczytowym momencie euforii zerknąłem kątem oka na Kanara. Nie uczestniczył w ogólnej radości. Głównym przedmiotem jego zainteresowania byłem jak zwykle ja. Omiałał mnie ciężkim nienawistnym spojrzeniem — jeszcze bardziej poźółkły niż zazwyczaj. Zrozumiałem, że on nie może się cieszyć tym, czym ja się cieszę.

W dwa dni później, historycznego 17 września 1939 roku — w domu osadnika wojskowego, inwalidy z wojny 1920 roku — słuchaliśmy ze ściśniętymi gardłami przemówienia radiowego ministra spraw zagranicznych Związku Sowieckiego Wiaczesława Mołotowa. Jednostajny głos szkalował po rosyjsku naszą ojczyznę.

Polska — bękart Traktatu Wersalskiego...

Państwo polskie przestało istnieć z chwilą ucieczki jego rządu za granicę...

Armia Czerwona wkracza do Polski, aby chronić mniejszość białoruską i ukraińską...

Słuchałem tego poruszony do głębi — przerażony i zrozpaczony. Ale — nie wważając na szydercze spojrzenia Kanara — próbowałem jeszcze przekonywać siebie i innych, że wszystko to razem, łącznie z wcześniejszym paktem o nieagresji, może być tylko grą polityczną — przesłaną dymną dla oszukania Hitlera i ukrycia rzeczywistych zamiarów, przecież zaledwie przed dwoma dniami...

Przerwałem te naiwne dziecinne wywody, w które sam nie wierzyłem, dopiero wtedy gdy ujrzałem twarz naszego gospodarza. Inwalida z wojny 1920 roku był siny z przerażenia, wyglądał jakby za chwilę miał wybuchnąć płaczem. Zaczął nas błagać, żebyśmy zabrali go ze sobą. Było to niemożliwe. Major Bartula miał niezłomną zasadę: nie zabierać ze sobą wojskowych rozbitków z innych jednostek ani ewakuujących się cywilów. Dzięki temu nasz batalion do końca wojny zachował niezmienny stan

osobowy i nienaruszoną dyscyplinę. Musieliśmy pozostawić naszego gospodarza sam na sam z jego przerażeniem i rozpaczą. Było nam trochę głupio, ale intencje majora w pełni rozumieliśmy.

Epizod pod Ratnem rozegrał się w jakiś tydzień później. Wtedy już nikt nie wątpił, że wojna Polski z ościennym mocarstwem przerodziła się w wojnę z dwoma ościennymi mocarstwami. Lotnicy z czerwonymi twarzami, w białych kożuszkach bombardowali nasze tabory.

Otrzymałem z moim plutonem rozkaz zajęcia luki między dwoma pułkami naszej dywizji. Rozstawiliśmy nasze CKM-y na białej piaszczystej łasze pod lasem. Śmiertelnie zmęczeni legliśmy przy nich pokotem. Było okropnie gorąco. Nikt nie miał ochoty na rozmowy. Co chwila zapadaliśmy w ciężką półdrzemkę. Wszystkim marzyło się jedno: czarne gęste chlupoczące błoto, w którym ugrzęzły nieprzyjacielskie czołgi. Ale majolikowo błękitne niebo nie zapowiadało, aby w najbliższym czasie mogła z niego spaść choćby kropla deszczu.

Około południa, kiedy było najgoręcej, podeszli do naszych stanowisk dwaj nieznajomi oficerowie z sąsiedniego pułku, kapitan i podporucznik. Wyrazili chęć rozmowy z dowódcą plutonu. Podniosłem się niechętnie i otrzępalem z piasku. Przedstawiliśmy się sobie według wszelkich zasad regulaminu służby wewnętrznej. — Panie poruczniku, czy możemy prosić o krótką rozmowę na osobności? Wprowadziłem ich do lasu, gdzie było trochę mniej gorąco, ale piekielnie cięły komary. Zagaił kapitan z Krzyżem Walecznych na piersi: — Panie kolego, czy panu wiadomo, że nasz zwiad ustalił, że jesteśmy otoczeni przez sowieckie czołgi? — Nie, nie było mi wiadomo. Zauważyłem tylko, że w ostatnich dniach było na ten temat kilka fałszywych alarmów. — Ten jest prawdziwy — uciał sucho kapitan — i właśnie w związku z tym większość młodszych oficerów dwóch sąsiadujących z nami pułków złożyła imiennie, potwierdzone podpisami, ślubowanie, że raczej popełni samobójstwo niż pójdzie do niewoli sowieckiej. Otóż przysłani do mnie oficerowie chcieliby wiedzieć, czy zgadzam się przyłączyć do tego ślubowania i akces swój potwierdzić podpisem?

To, co proponował kapitan z Krzyżem Walecznych, wydawało mi się tak niepoważne i dziecinne, że z trudem wierzyłem własnym uszom.

— Ależ panie kapitanie, jakże ja mogę zobowiązywać się do popełnienia samobójstwa, kiedy jeszcze w ogóle nie wiadomo, czy dojdzie do bitwy, a jeśli dojdzie, to przecież wcale nie wiadomo, czy to nie my ją wygramy? Cóż by powiedzieli na takie ślubowanie moi żołnierze?

Kapitan poczerwieniał i zmierzył mnie złym spojrzeniem.

Naraz w oku zapalił mu się błysk zrozumienia:

— A może pan porucznik sympatyzuje z sowieciarzami? — Poczulem, że ogarnia mnie wściekłość.

— Panie kapitanie, jeśli ma pan na to jakieś dowody albo żywi jakieś podejrzenia, to proszę zawiadomić odpowiednią komórkę w sztabie dywizji. A teraz czas już skończyć tę nie prowadzącą do niczego rozmowę! — Pożegnaliśmy się bez podawania rąk.

Kiedy wychodziłem z lasu, podbiegł do mnie Kanar. Był inny niż zazwyczaj: po ludzku ciekawy i podniecony. Jego oczy — mniej żółte niż zwykle — spoglądały na mnie niemal przyjaźnie. Przychylił mi się konfidencjonalnie do ucha: — Czego chcieli? — W odpowiedzi bluznąłem na niego całą wezbraną we mnie złością: — Nic takiego, sierżancie, co mogłoby pana zainteresować. Ot takie nasze oficerskie sprawy. — Odchylił się jak uderzony, po czym zaraz wyprężył się w postawie zasadniczej: — Tak jest, panie poruczniku, melduję swoje odejście! — I odszedł. Poczulem, że tym razem ja przegiąłem pałę. Chciałem go choć trochę udobruchać: — Panie wachmistrzu — zawołałem. — Jeszcze chwila! Panie wachmistrzu! — Szedł dalej, jakby nie słyszał. Ale słyszał, bo dostrzegłem, jak lekko wzruszył ramionami.

Do bitwy pod Ratnem ostatecznie nie doszło. Na moje szczęście. Bo śmiertelnie obrażony Kanar był zdolny do wszystkiego. Nie czułbym się bezpiecznie, mając go w boju za plecami.

„Sowieciarze” dopadli nas dopiero pod Milejowem — tam gdzie dzisiaj produkuje się dzemy i inne przetwory owocowe. W niewielkim rzadkim lasku kończyliśmy właśnie obiad — ten przekłety przypalony pęczak, którym od tygodnia raczyła nas nasza zepsuta kuchnia polowa — kiedy zaczęli strzelać z drzew. Major Bartula podjechał do mnie na swej ogromnej izabelowatej kobyle — chmurny, skupiony. — Oni tak zawsze zaczynają, kiedy czują się mocniejsi — powiedział. Tym razem nie uda się uniknąć bitwy. Poruczniku, ściągnie pan tu natychmiast kompanię odwodową porucznika Licińskiego. — Podał mi szkic sytuacyjny trasy. — Tylko niech pan uważa, bo wszędzie pełno Niemców.

Jechałem drogą leśną wśród niezmiernych czarnych borów hrabiów Hutten Czapskich. Nie myślałem o Niemcach, przed którymi ostrzegał mnie major. Myślałem jedynie o tym, że wkrótce będziemy się bić z Rosjanami. Myślałem o tym z rozpaczą. Bo jeszcze ciągle — pomimo tego strasznego przemówienia Mołotowa i bombardowania naszych taborów — nie mogłem się przyzwyczaić do uważania ich za wrogów. Jeszcze ciągle miałem w pamięci tę rozkoszną niespodziankę lotniczą, jaką nam zgo-

towali nad Kanalem Królewskim. Myśl o mającej nastąpić bitwie napełniała mnie przerażeniem. Czułem, że dzieje się coś strasznego, co nie powinno się dziać.

Poza tym wiele kłopotów w drodze sprawiał mi mój koń Maciek. Rozleniwiony do niemożliwości wolnym stępem naszych parotygodniowych marszów, w żaden sposób nie dawał się poderwać do klusa czy truchtu. Ilekroć zbyt mocno kłutem go ostrogą, odwracał łeb i z wyrzutem typał ku mnie okiem, jakby chciał powiedzieć: — Nie, panie poruczniku, tego w umowie między nami nie było.

Na szczęście moja samotna jazda trwała krócej niż przewidywałem. W połowie drogi spotkałem kompanię porucznika Licińskiego — tę właśnie, którą miałem sprowadzić — maszerującą już w kierunku Milejowa. Liciński dowiedział się od chłopów o nadciągnięciu dużej jednostki sowieckiej, więc nie czekając na rozkaz pomaszerował na pomoc swemu batalionowi. Dowódca drugiej kompanii, podobnie jak ja, nie miał serca do mającej nastąpić bitwy. Ale kiedy dotarliśmy do batalionu, okazało się, że wszystko załatwiono bez naszego udziału. Bitwa została rozegrana i zakończyła się naszym niewiarygodnym zwycięstwem. Batalion, otoczony przez trzykrotnie silniejszego nieprzyjaciela, wziął do niewoli kilkudziesięciu żołnierzy, kilkadziesiąt sztuk broni ręcznej i kilka biedek z ciężkimi karabinami maszynowymi. Z zeznań jeńców dowiedzieliśmy się, że zaatakował nas pułk obrony granic z obwodu Czernichowskiego. Wojsko to było marne, nędźnie odziane i nędźnie uzbrojone (jakże inne było ich wojsko, które oglądałem sześć lat później przy zdobyciu Berlina). Nasi koniuchowie najbardziej się cieszyli ze zdobycznych koni. Ale po zdjęciu z nich uprząży omal się nie popłakali; grzbiety i boki koni były tak poodcierane, że wyglądały jak jedna wielka rana.

O przebiegu bitwy dowiedziałem się dopiero w chacie chłopskiej, którą wyznaczono na kwaterę mnie oraz dwóm innym oficerom rezerwy, porucznikowi Skarbek-Kruszewskiemu i podporucznikowi Pillowi. Poza nami w ciemnej izbie znajdował się jeszcze ciężko ranny w brzuch, młodzieńki jeńiec sowiecki. Musiało go bardzo boleć, bo ciągle jęczał i na przemian wykrzykiwał dwa słowa: *mamasza* i *opiratsia*. Żaden z nas nie znał rosyjskiego, ale z pierwszym słowem nie było kłopotów: matka brzmi podobnie we wszystkich językach. Z drugim było gorzej. Sądziłem początkowo, że rannemu chodzi o zrobienie operacji, co w naszych warunkach było oczywiście niemożliwe. Dopiero przy pomocy gestów półprzytomny jeńiec zdołał nam wytłumaczyć, że chodzi tylko o opatrzenie jego rany. Ale nawet i to było niemożliwe, bo nie mieliśmy ani sanitariusza ani opatrunków.

Przy akompaniamencie jęków i krzyków rannego koledzy opowiadali mi o stoczonym bitwie. Mówili o niej niechętnie, powściągliwie, jakby się wstydzili odniesionego zwycięstwa. Ich dziwne zachowanie zrozumiałem dopiero po wysłuchaniu relacji do końca.

A więc początkowo zapowiadało się bardzo źle. Stosunek ich sił do naszych był jak trzy do jednego. Mieli także znacznie więcej niż my broni maszynowej. Major ustawił nas w szyku obronnym. Sam wysunął się na parę kroków przed front. Przy sobie miał jako ochronę jeden z moich karabinów maszynowych. Ze względu na ważną rolę tego karabinu, miejsce celowniczego zajął przy nim sam Kanar. Przez dłuższą chwilę dwa wojska stały naprzeciw siebie, jakby usiłując zgłębić swe zamiary. Potem od nich wyszła ku nam grupa kilkunastu osób. Chyba sami oficerowie. Ten, który szedł na czele, w sztywnej czapce z błękitnym otokiem, wywijał białą płachtą na kij. Idąc ku nam wołali, że jesteśmy otoczeni i wzywali nas do złożenia broni.

Wtedy właśnie to się zdarzyło. Kanar — nie spojrzawszy nawet na stojącego obok majora — puścił na idących ku nam długą serię z CKM-u. Skosił ich niemal wszystkich. Skarbek-Kruszewski widział, jak ten z białą płachtą parlamentariusza i z niebieskim otokiem na czapce, leżąc już na ziemi, zdołał jeszcze wyszarpnąć z kabury rewolwer i strzelił sobie w usta.

Po zlikwidowaniu ich dowództwa nasi przeciwnicy wpadli w taki popłoch, że dalsza bitwa była dla nas dziecinną igraszką. Ogarnięci paniką, nawiewali aż się za nimi kurzyło.

Mimo to moi koledzy nie mieli słów potępienia dla postępku Kanara. — Strzelił do parlamentariuszy — oburzał się Skarbek-Kruszewski — naruszył święte humanitarne prawo wojny, przestrzegane od wieków nawet przez barbarzyńców. Nie, takich zwycięstw nie chcę! Nie chcę!

Ta rozmowa w chłopskiej chacie pod Milejowem przypominała mi się niedawno, kiedy czytałem książkę o zbrodni katyńskiej. W pewnej chwili poraziła mnie myśl, że gdyby nie ten żołtooki, śmiertelnie mnie nienawidzący Kanar, to pewnie i ja znalazłbym się na liście ofiar Katynia czy innego gulagu śmierci.

O Boże, jakie to wszystko skomplikowane!

Marian BRANDYS

Nikogo tu nie ma,
dźwięki i głosy odpłynęły ku górze.
Na brzegu cień milczenia
przywarł do wapiennej skały.

Nie ma tutaj mijania miesięcy,
zastygłe na murach owady
ociekają światłem i złotem,
niebo odbija się w nieruchomym czasie.

Marzena BRODA

Adam LIZAKOWSKI

OPIS KOSMOSU DZIECIŃSTWA

Mur krzywy, stary z wąsem zielonego mchu, próbuje objąć cmentarz. Kregostup muru z polnych kamieni pamiętających ciepło dłoni murarzy zabitych w wojnach napoleońskich.

Lipy cmentarne kwitną i pachną dla muru, śmiertelnie zakochane w nim. Pieszczą go korzeniami palców wciskając je pomiędzy żebra kamienne.

Powietrze ciężkie i lepkie od zapachu kwitnących lip, dzikie muchy i osy nadużywające gościnności muru wędrują pomiędzy kwiatem lipy a szparą w murze.

Owady nic nie wiedzą o głodnym pająku (ukrytym w szparze) pewny swojej zdobyczy, przygląda im się z zimną obojętnością.

Słońce wie że starzec mur lubi ciepło — wykorzystują to zaskrońce i jaszczurki wygrzewające swe ciała na nim.

Czasem wiatr zażartuje, poruszy listkiem bluszczu wtedy czujna jaszczurka podniesie swój brzuszek, mocno wesprze się na przednich łapkach, uniesie głowę, jakby czekała na odpowiedź wiatru — czego chcesz — zniecierpliwiona zapyta.

Trawy i ziele dzielą swe królestwo przy murze z pokrzywą i krzakami jeżyn, szkłem butelek po alkoholu, zardzewiałą

Wiersze

Marzena BRODA

GRUDNIOWE NOCE

I

Cicho palą się w ogniu stare gazety,
na darmo serce walczyć zaczyna,
I tylko w dali, z nicości wywołana,
unosi się nad śniegiem: pamięć.

II

Wszystko jest inne, kraj mój daleki,
do nieba mocno przytulony.
I niepodobny do zimowej nocy,
która zniknęła za archipelagiem cienia.

MAX ERNST: OCZY CISZY

Wszystko ciche,
wtopione w srebrzysty kamień,
zasnute mgłą,
niknie w mrocznym jeziorze.

Zbłąkany promień światła
przebija się przez obłoki.

W ruinach mosiężnego pałacu
pamięć zwielokrotnia się echem.

puszką po sardynkach, damską rękawiczką, opakowaniem po papierosach. Śmiech, płacz, słowa tylko tam bywają. Pusty pancerz żuka, muszla ślimaka nogą myszy potrącane — są częścią tego królestwa.

Gołębia czarnobiałe piórka wiatr niedbale rozwiesza na czubkach traw, żółtym mleczu, kolecach jeżyn i ostów. Jastrząb jest już daleko, ale pamiętają go rumianek i dzika koniczyna. Resztki z gołębia skubią z największą dokładnością i obojętnością mrówki — grabarze kosmosu.

Adam LIZAKOWSKI

LIBELLA

12, Rue Saint-Louis-en-l'Île, 75004 Paris, France.
Métro: Pont Marie. Telefon: 43-26-51-09.

KSIAŻKI POLSKIE □ KSIAŻKI FRANCUSKIE
DOTYCZĄCE POLSKI I EUROPY WSCHODNIEJ □
PRZEKŁADY Z JEZYKA POLSKIEGO NA FRANCUSKI.
KATALOGI BEZPŁATNE WYSYŁAMY NA KAŻDE ŻĄDANIE.
KSIAŻKI WYSYŁAMY NA CAŁY ŚWIAT.

WSPÓŁCZESNE MALARSTWO POLSKIE I OBCE W SĄSIEDNIEJ

GALERIE LAMBERT

Zapraszamy wszystkich przejeżdżających przez Paryż, by odwiedzili najpiękniejszą polską księgarnię i polską galerię na historycznej Wyspie Świętego Ludwika.

Kraj

Z ukosa

Na moją zagraniczną wyspę nieustannie przybywają przybysze z Polski, co mi uświadamia, jak blisko i jak daleko jesteśmy od cywilizowanego świata. Wielu z nich przybywa z rozszeptanego siekierą pnia drzewa „Solidarności”. Jedni są gorącymi przeciwnikami Wałęsy i „Centrum”, inni gorącymi zwolennikami Mazowieckiego i ROAD. Są już domy, gdzie ta przepaść dzieli rodziny, jak to bywało za komunistów. Zdarzają się małżeństwa, które by zbliżyć się do siebie, stawiają w małżeńskich łóżach kładkę nad otchłanią. Kolega pisze do mojego syna, że Wałęsa i Kościół chcą teraz objąć władzę i ludzie są tak skłócenii w klasie, w rodzinie, wśród znajomych, że aż strach.

Ale to chyba nie większość? Większość już nie interesuje się polityką, a wróci do niej na chwilę w czasie wyborów prezydenckich jak do piłkarskiego meczu. To jeszcze jakiś czas temu byli zwolennicy „Solidarności”, którzy wzięli rozwód z polityką, gdy okazało się, że wolność nie rozwiązuje żadnego z problemów, które kępią im szyje i piersi. B. wziął ten rozwód dosyć dawno, dzisiaj ma swój mały biznesik, a jego wielki problem — jak uchronić swój samochód przed grabieżą. Alarm nie pomaga, bo na żądanie mieszkańców, zatrwożonych warszawską nocą, dozorca zamyka bramę. Złodzieje ograbiają wóz zanim dobiegnie. Kiedy rzucam żartem, że powinien sobie sprawić dubeltówkę, on łapie tę myśl z pełną powagą. Już o tym myślał. Kiedy próbuje z nim pomówić o polityce, odsuwa ten temat nogą, jak zdechłego szczura.

Dlatego szczerem naszej polityki zajmują się nieliczni. Jakby na karku zaprzątniętego szukaniem żeru mamuta ustawiono szklanę, która niezwykle dziarsko bąbelkuje. W jednym bąbelku jest rozkrzyczany sejm, w innych garstka partii politycznych, a tam wyprysnął nagle ksiądz jak ptak wachlując w powietrzu sutanną.

Kto uchroni nasze kobiety przed babą z szydelkiem? Od kiedy skrobanki stają się monetą przetargową wyborów, nasze panie nie mają szans. Wałęsa pytany o ten problem, nie mrugnął nawet powieką. Nie wolno. Tu akurat jest konsekwentny, co udowodnił przy pomocy własnej rodziny. Premier Mazowiecki też gotów stanąć na straży nienarodzonych. Jako, że o wszystkim znowu decydują mężczyźni, mogą tylko namawiać panie, by zaczęły współżyć ze sobą, zostawiając mężczyznom ustawę antyaborcyjną.

Kiedy rozmawiam z naszym mężem stanu o ustawie, mówi o tym czule, jakby ideały jego życia stały się ciałem. Potem wyjaśnia, że wszelkie problemy świata zachodniego, a i nasze, wypływają z osłabienia rodziny oraz z powodu zbyt małej dzietności. To Polak katolik, ale przecież ten światły, z wątpliej grupki odpornej na resentymenty, to zarazem jedna z czołowych postaci naszego życia politycznego. I tak właśnie jest, tak, a nie inaczej, nasz Senat, a więc *crème de la crème* narodu, w tej dziedzinie okazał się pocziwym zaściankiem. A poziom sporów na ten temat, pożałujcie Boże. Jesienny wiatr unosi nadmuchiwanie przerwatwy rzucane przez młodzież na dziedzińcu rezydencji Prymasa.

Kiedy dzwonię do bliskiego znajomego od wczoraj na wysokim stanowisku — to znajomy z mojego notosu z lat 70-tych — tłumaczy mi z bolesną ironią, że żadnej poważnej sprawy teraz nie można ruszyć, bo trwa właśnie debata na temat przerywania ciąży. — „Dawno nie byłeś widzę w kraju, skoro domagasz się decyzji zdroworozsądkowych”. O nie, to pamiętam, tego się nie zapomina, tej niemożności, jakby głowa utkwiała w murze, w który się nią biło.

Z wielkim hałasem przenoszone są kościelne meble do szkół. Trwają nieustanne powitania cudownych obrazów, święcienia sztandarów, krzyży do państwowych urzędów, słychać potężny tupot — to maszerują kolejni pielgrzymi. W ramiona Kościoła wmaszerowało już wojsko i milicja. Oto dosyć typowy komunikat z prasy. „Uroczystości zakończył przemarsz pododdziałów do Kaplicy Matki Bożej. Tam, przed Cudownym Obrazem, delegacja żołnierzy złożyła ryngraf w darze wotywnym”. Czuję ten sam, nieco zatęchły, ale słodkawy zapach, który unosił się z prasy polskiej lat 30-tych. Jako że mamy dzisiaj całą mozaikę orientacji politycznych, które są mniej lub bardziej wierną kopią ugrupowań przedwojennych, można śmiało mówić o tym, co w języku psychiatrii nazywa się remisją.

Listy od znajomych. Przybyły zmęczone i pogniecione z

całego kraju, ciężkie od znaczków, które już się nie mieszczą w kopertach, jak obrączkowane ptaki, którym udało się wywikłać z sieci naszej zdychającej poczty i wyfrunąć w świat. Ze wschodu ktoś pisze: „Tutaj suwalskie opowiadania, niesamowite, o bałaganie, polskich waśniach na prowincji, o panoszeniu się kościoła i księży. Jeden tutejszy proboszcz przegrał w karty swoją parafię do drugiego — żyją jak udzielnicy książęta... no tak. Ale jak się zdaje, oduczą ludzi chodzić do kościoła”.

Znajomy lekarz z małego miasteczka 100 km od Warszawy: „Wybory w B. przebiegały zupełnie inaczej niż wszędzie. Zwyciężyli byli działacze partyjni, a z „Solidarności” przeszło niespełna 40%. Ja nie przeszedłem. I chyba dlatego nic w naszym mieście się nie zmienia. Zresztą gdzie indziej podobno też zmian nie ma. Ja, i nasi znajomi, coraz bardziej niepokoiimy się o przyszłość kraju. Ta ciągła walka o władzę toczona bez żadnych parawanów zmniejsza bardzo zaufanie do osób, którym wszyscy powierzyliśmy już wolną Polskę. Ja mam nadzieję, że to wkrótce się ułoży”.

A co gada nasza wieś, nieduża wieś mazowiecka, bo i stamtąd przybył list, a w nim strzępki rozmów. Stary chłop: „Zobacz pan moje słowa, takie czasy przyjdą, że każdy będzie mógł wejść do urzędu, zabić urzędnika i nic mu za to nie będzie”. Inny rolnik: „A to dlatego, że w rządzie są sami Żydzi i oni tak rządzą i nie będzie przez nich lepiej”. — „Będzie z tego wojna — dogaduje sąsiadka — to nie przez 'Solidarność', to tak miało być od dawna, już od dawna Sybilla to wszystko przewidywała, że tak będzie, że syn nie będzie szanował ojca ani matki, kobiety będą w spodniach chodzić, a ludzie staną się sobie wrogami jak wilki”.

Wiadomość, że kolejny mój znajomy dostał zawału. Czuję się jak na polu minowym. Idę tym polem w wielkim tłumie i co chwila gdzieś dochodzi do nieszczęścia. Jednych to zabija, innych okalecza. Nowotwory są bronią mniej gwałtowną, ale bardziej podstępą. Widać w oddali skraj lasu. Jedno pewne, nikt tam jeszcze nigdy nie doszedł. Po co więc tak się pchać, czyż nie lepiej położyć się na trawie i posłuchać, jak pracują serca roślin? Gdyby tak bracia Kaczyńscy położyli się z Michnikiem, a Wałęsa obok Mazowieckiego i Geremka, a w ich nogach Moczulski z Bartoszcze, nasz polityczny krajobraz przestałby może na chwilę rzucić długie cienie w kierunku przyszłości.

O Jezu, dzisiaj w nocy Niemcy się jednoczą — rzekł nagle mój syn. A wtedy przeszedł mi dreszcz po plecach. Nie z lęku bynajmniej, a ze zdziwienia, że gdyby nie on, to bym zapomniał i nie zobaczył tego, co się zdarzyło teraz, chociaż miało się zda-

rzyć od biedy w przyszłym stuleciu. Pito piwo, puszczano świetlane race, zapalono trochę pochodni, co się nie najlepiej kojarzy. Miałem wrażenie, że jednoczący się Niemcy nie wiedzą, jak oświetlić to, co właściwie powinno się ukryć.

W Warszawie w moim rodzinnym domu było wiele poniemieckich mebli. Miały swoją solidność i zapach. W roku 1990 można kupić okazjnie poenerdowskie meble, bo ambasada przestała istnieć i wyprzedaje swój dobytek. Ktoś na obręczy koła historii coś zawiązał.

Prezydent Havel ma świetne pióro, więc chociaż słychać już głosy, że jak przystało na pisarza u steru władzy, popełnia liczne błędy, to nawet jego błędy mają szansę wejść do historii literatury. Opisując nasz stan psychiczny, stan umysłów ludzi Europy wschodniej, gdzie wydarzenia przegoniły wyobraźnię i marzenia, nakreślił taki oto obraz:

„Było wreszcie w tym wszystkim poczucie absurdu. Uczucie, jakiego mógłby doznać Syzyf, gdyby pewnego dnia jego głaz pozostał na szczycie góry i nie stoczył się na dół. Uczucie Syzyfa nieprzygotowanego psychicznie do tego, że jego wysiłki mogą przynieść sukces. Uczucie Syzyfa, który utracił dotychczasowy sens życia i nie znalazł jeszcze nowego”.

Tak pisał Havel kilka miesięcy temu. Nie wiem, co czuje dzisiaj, w końcu Praga radzi sobie całkiem nieźle. U nas w Polsce obawiam się, że ten obraz należy uzupełnić. Kamień zaczął się zsuwać na wymarzoną stronę, problem w tym, że i my już jesteśmy po drugiej stronie, a on taki ciężki, bo wykarminiony przez niemal dwa stulecia, przygniata nas i zsuwamy się tłamszeni w stronę wolności.

Lektura *Tygodnika Solidarność* napawa mnie smutkiem, a w ustach czuję niesmak. Nawet gdyby mieli rację, to jak brzydko ją wyłuskują. Nędza felietonów, reportaży, widać tylko palce, które próbują uszczypnąć, nogi, które chcą kopnąć. I ten Wałęsa, wszędzie, w dziesiątkach postaci, Wałęsa na gorąco, Wałęsa na zimno, Wałęsa panierowany, z kością, i nawet z rodzynkami po żydowsku.

Gazeta Wyborcza bardziej schludna, mała jak rasowy, ale zawzięty ratlerek. Ośmiesza Wałęsę, korzystając z jego potknięć. Żadnego kłamstwa, tylko odpowiedni dobór kwiatów w bukietach. Szkoda, że tak dobrze pamiętam czas, gdy z takich samych jego potknięć robiono perły.

Doszło do tego, że zyskuje *Polityka*, co ja na to poradzę, bardzo dobre pismo, i w sytuacji gdy dawna opozycja obrzuca się błotem, oni całkiem korzystnie się prezentują, pokryci już wyschniętą skorupą dawnych lat. A tak przeze mnie nielubiani

felietoniści też jakby pojaśniali na naszym nagle pociemniałym tle.

Wszystko zbrzydło, jak w mieszkaniu po weselu, gdy nagle o świcie wybuchła kłótnia. Nawet wolność w wazonie straciła kolor i zapach.

Kołyszącym się krokiem, niosąc przed sobą brzuch i wąsy, zmierza ku szeroko rozstawionym nogom prezydenckiego fotela. Nawet tu daleko-niedaleko nieustannie spotykam zbolale twarze inteligentów. Wyglądają, jakby ich rzuciła kobieta. Mało kto już teraz przyznaje się do uczuć, no ale stosunek były, i czasami tańczyło się nawet publicznie razem. Nie lubią, jak im o tym przypominać. „Zmienił się, był kiedyś inny, z takim byśmy nie mogli”. A mogli, mogli... tylko nie patrzyli.

Czasami jestem skłonny z przekory zaakceptować Wałęsę. Ale On mi na to nie pozwala. Już jestem bliski... gdy zaraz znowu coś chlapnie, włączam wycieraczkę, ale nie potrafią tego zetrzeć. Z programu na żywo w WE dowiedziałem się, że nasz przyszyły prezydent pojechał do Chile i tam rozwiązał wszystkie problemy tego biednego narodu. Albo takie żale: „Przecież wszystkich tych ludzi, którzy są dzisiaj na górze, ustawiłem! Zapomnieliście o tym?...” Czasami używa w tym samym kontekście pojęcia „delegowałem”. Zbliżamy się nieuchronnie do boskiego pojmowania własnej osoby. Tak oto głos ludu staje się ciałem i duszą wszystkich Polaków, a nawet więcej, o czym świadczą słowa: „Żeby zbudować rozwój, trzeba się ze mną pokłócić”.

Mój znajomy zza oceanu dostąpił kiedyś zaszczytu bycia tłumaczem Wałęsy. Jako, że raz nie dosłyszał, został obrugany tak brutalnie, że do dzisiaj nie może dojść do siebie. A potem zagniewany przewodniczący powstał i — relacjonuje znajomy — „przeszedł przez nas jakbyśmy byli z powietrza, jak przez zbiorowisko duchów”. I o dziwo, znajomy nabrał po tym do Wałęsy wielkiego szacunku. „Bo tak gigantyczny gbur musi być wielkim człowiekiem”.

Ale właściwie czyż nie wystarczy, co nam oferuje organ Wałęsy *TS*? Przychylność tego tygodnika Przewodniczącemu zbiłaby z nóg afrykańskiego bawoła. Oto czytamy sprawozdanie z gmachu telewizji, gdzie miało miejsce spotkanie Wałęsy z pracownikami. Trwa tam autentyczny konflikt starej nomenklatury z nowymi ludźmi, i jest z pewnością bezradność jakże bliskich memu sercu osób, które wpakowały się w nieprzebyte bagna tej instytucji. Wałęsa miał pogrozić: „Przyjdę tu z kampanią ochotników, zamkniemy się na całą noc, wybierzemy najlepsze wyjście. Do tych, co nam blokują inicjatywę, dobiore się. Paru takich

znam". I tu następuje komentarz zdolnego dziennikarza: „Ludzie bili brawo. Prezesi milczeli”. I dalej: „Powiedźcie jak to jest — pytał Wałęsa — że gdziekolwiek spotykam się z ludźmi, oni mnie rozumieją i ja to czuję, a potem te wasze sondaże mówią zupełnie coś innego?”. Komentarz: „Odpowiedziały mu brawa. Było jasne, że się porozumieli. Zło dzieje się ponad nimi. (...) W pierwszych rzędach, nie okazując żadnych emocji, siedzieli z kamiennymi twarzami prezesi Drawicz i Dworak”.

Ciekawe, do jakiej rozpacz doprowadziła niektórych inteligentów warszawsko-krakowska śmietanka, skoro stali się zwolennikami takiego stylu. Tłumaczą się — nie styl jest ważny, a efekty. Jakby styl nie miał wpływu na kształt i zapach efektu.

Doprawdy są ludzie, którzy z przekory potrafią popełnić samobójstwo. Znam nawet pewnego semitę, który żeby się głębiej usadowić kontra rządowi i ROAD, stał się antysemitą. Czytam mu taki oto pasztecik ulepiony przez Jarosława Kaczyńskiego: „My (w przeciwieństwie do ROAD) wywodzimy się z innej tradycji. Reprezentujemy tę część społeczeństwa polskiego, która nie poddała się komunizmowi, dla którego ta gra z systemem komunistycznym miała charakter powierzchowny, a istota związana z polską tradycją została nienaruszona”.

— No i co ty na to? — mówię, pewien, że mam go w saku.

— Ja się z tym zgadzam — rzecze godnie i unosi głowę, jakby chciał połknąć własny nos.

W tej sytuacji wstydliwie schowałem notatki, gdzie ośmieliłem się też zapisać głos chłopski popierający Wałęsę. To mówi trybun naszych rolników, Bartoszcze, który przez chwilę był zakażony lewicą, ale w porę przejrzał:

„Kiedy zobaczyłem, że ta jedność służy nie niszczeniu komuny, ale robieniu 'polityki' kosmopolitycznej, wtedy odszedłem”. Odszedł w ramiona polskie i chrześcijańskie, w ramiona Wałęsy. Cytat: „Wałęsa, o tym naszym polskim, naszym narodowym chrześcijańskim charakterze”.

Kilka miesięcy temu spotkałem X, jednego z bardziej gorących zwolenników Wałęsy, dziś człeka z dworu. Mówi:

— Wałęsa to mniejsze zło. Któż lepiej niż ja zna jego wady. Ale trzeba rozciąć supeł zawiązany przez lewicę.

— No, a jak zostanie wybrany i supeł już będzie przecięty? — pytam.

— Wtedy trzeba go będzie... — tu się rozejrzał — zastrzelić.

— Zabić? — przestraszylem się, gotowy własną szeroką piersią zasłonić przewodniczącego przed sztyletem Brutusa. Nie było to jednak łatwe, bo siedzieliśmy w małym fiacie. Na szczęście sztylet w oczach X został przykryty miękką powieką.

Wałęsa prezydentem. To niepokój. Ale Wałęsa, który nie wygra wyborów? Czyż nie jest to równie niepokojące? Na tym nie koniec niepokojów, bo Mazowiecki prezydentem, to też niepokój, chociaż wypełniony po brzegi statecznym spokojem. Wałęsa najpewniej wygra te wybory, szczególnie, że ROAD zabiera się do kampanii jakby przed chwilą wstali z łóżka i zaspani nie mogli do dziś odnaleźć okularów. A jeżeli Wałęsa wygra? Już widzę chmarę ludzi, którzy fruną spod jego skrzydeł na stanowiska. Całe to zbiorowisko martyrologicznych palantów, frustratów, którzy szukali tam narkotyku na swoje bóle, rozognionych ciotek rewolucji, ascetycznych braciszków zakonu byłych więźniów świętej sprawy...

Już kilku takich widziałem. Nie wydają się mądrzejsi od starej nomenklatury. I ta buta... Stara nomenklatura wita ich obnażając miękkie brzuchy. I w podskokach spełnia liczne żądania, które tamci rzucają spod wyniosłego czoła.

Na ulicach polskich miast obnażył głębię cham, zawsze ją nosił, ale przykrytą kołnierzem. I wypłynęła z głębi rzeka narodowo-katolicka. I pomyśleć, że niemal cały ten żywioł szuka gdzieś dla siebie pieca i legowiska.

„Porozumienie Centrum” i Wałęsa wydają się czystszy rasowo i bardziej polsko-katolicki, niż niepewny ROAD, więc tam wałą drzwiami i oknami. Ci jednak wiedzą, że ten mrok im nie zagraża, otrząsają się jak pies, ale niezbyt energicznie, bo przydadzą się te głosy w wyborach. I jak dobrać się do tych pcheł, skoro one sprytnie lokują się u nasady ogona.

Zaczyna się kampania wyborcza. I oto rzesze wyborczych kompanów będą popierać, jedni Wałęsę, drudzy Mazowieckiego. Ci najinteligentniejsi po obu stronach będą to czynić bardziej po to, by przeciwnik nie został prezydentem, niż z przekonania, że ich kandydat się nadaje.

Jedni mówią — Wałęsie brakuje klasy, brakuje wiedzy, ale tylko on rozbije nowy monopol.

Drudzy mówią — Mazowiecki jest senny jak ryba, depresyjny, nie potrafi podejmować decyzji. Ale tylko on zagrodi drogę bełkotowi Wałęsy.

Tak oto mówią najgorliwsi, najgorętsi, najbardziej sprawni zwolennicy obu kandydatów. Wiem, bo to słyszałem, ale rzecz jasna nie publicznie, tylko w salonach i korytarzach, na ucho i szeptem.

Zaś obaj pretendenci ociekają skromnością, im nie zależy na władzy. Wałęsa nie chce, ale „będzie musiał”. Mazowiecki wie, że „są zapewne inni, lepsi kandydaci”. Obaj więc poświęcą się dla sprawy.

Tak oto wybierzemy mniejsze zło i mniejsze zło zasiądzie na prezydenckim fotelu, by zacząć czynić to, co mniejsze zło robić najbardziej lubi — rosnąć.

Michnik powiedział w radiu o Wałęsie: przypuszczam, że Lech Wałęsa nie zostanie prezydentem z podobnych przyczyn, dla których ja nigdy nie będę spikerem radiowym.

A Wałęsa na to: „On tyle mlaska, że człowiek za nim nie nadąży. Ale tym razem przeprosiny będą znacznie trudniejsze niż poprzednio, kiedy to Adam przeproszał mnie na klęczkach”.

Oto dlaczego nie mają racji ci, którzy twierdzą, że spory na Zachodzie są o wiele brutalniejsze, a wszystko jednak gra. U nas będzie skrzypiec. Bo to spór w rodzinie (Wałęsa jest nawet ojcem chrzestnym michnikowego syna). To dotykane się ludzi pozbawionych skóry, a więc każde dotknięcie kaleczy. Tu spór nie ma żadnej tradycji i głęboko rani.

Całe nasze dyskusje, biadolenia, gniewy, rozpacze, złe krwie, naukowe rozprawy — to wszystko X. ujął w jednym zdaniu — „my teraz po prostu nic nie umiemy”. Można to rozwijać, ale ze szkodą dla dramatyizmu tego zdania wypowiedzianego z nieco sepleniącą melancholią. Wymyście profesjonalizmu z naszej gleby przez potop sowieckiego socjalizmu jest większe, niż spodziewali się najwięksi pesymiści. Oglądamy te spustoszenia w zależności kto gdzie siedzi lub leży. Np. pewien znany nasz ekonomista uważa, że największym dramatem jest brak sekretarek. Owszem, można i tak. W Polsce nie ma sekretarek, są młode lub starsze wiekiem niewiasty, które bez większego powodzenia próbują zaparzyć herbatę. Jak wiadomo, każda zachodnia instytucja przestaje istnieć bez sekretarek, jak więc budować sprawne instytucje bez nich. Można by tak się bawić, udowadniając, że brakuje nam tysięcy śrubek, by cokolwiek zaczęło funkcjonować. Rzecz w tym, że ich się nie da dorobić, one się muszą urodzić, a potem urobić.

I tu właśnie jest dramat ewentualnej zmiany władzy, która pociągnie za sobą wymianę ministrów itd. To jakby wyjąć kurze historii jajka, które od roku z trudem wysiaduje. Z jajek, to prawda, niewiele się wykluwa, ale mimo wszystko amatorzy się uczą. Teraz przyjdą nowi amatorzy i wszystko znacznie się od nowa. To właśnie jest demokracja, ale czas... czy my mamy czas, by od nowa się uczyć?

Mam poczucie siedzenia na falochronie w czasie wysokiej fali. Na tym falochronie, mokrzy i zziębnięci, siedzą liczni znajomi, ten minister, tamten doradca, inny dyrektor. I co chwila fala wyrzuca na falochron jakąś nową ofiarę. Na pewno zna-

jomy. Spotykam takiego tutaj, niespodzianie, bo wiedziałem, że ma przybyć ktoś ważny, ale nie skojarzyłem nazwiska. Patrzę, a z nazwiska wyłazi G.

— Co tu robisz, ty też na dyrektorskiej grzędzie, tyś też oszalał? — krzyczę zdziwiony, ale to moje krzykliwe zdziwienie go nie dziwi, bo on sam zdziwiony i co nieco zgorszony sobą.

— A oszalał, oszalał — biadoli — miałem spokojne, dobre życie, skusiło i jest bieda.

Zaczyna się teraz opowieść, którą słyszę w różnych wersjach od wielu. Ofiara, wyrzucona falą naszej pokojowej rewolucji na falochron władzy, jest wystawiona na niezliczone cierpienia. Każdy urząd w Polsce to góra zastygłego kału. Jak to usunąć, skoro siedzi się na czubku. Tłum nomenklaturowców podryguje jak przerażona galareta. Ta galareta jednak wie, że jest potrzebna. Tylko oni potrafią myszkować wśród zastygłych odpadów przeszłości, bo sami je z siebie wydalali. Nieliczni nowi, których mógł wprowadzić nowy dyrektor, są zagubieni na amen. Zupełnie nieprzygotowani do tej pracy, bo niby skąd, szczerzą bezradnie zęby do zastanej sytuacji, albo, co robią najczęściej, wchodzą w stan symbiotyczny z nomenklaturą, a jako że są delikatnej kompleksji, zarażają się od niej licznymi chorobami. A siedzący na czubku dyrektor ma przede wszystkim poczucie bezradności. Od czasu do czasu wykonuje gwałtowne ruchy jak mucha w sieci. To niegroźne, bo pajak jest martwy, ale sieć jest żywa.

Minister X. (intelektualista): „Mam poczucie, że statek, którym mam kierować, jest zrobiony z materiału, który nie chce się utrzymać na powierzchni. I oczywiście wszyscy mają do mnie o wszystko pretensję. Przychodzę skonany wieczorem do domu i szukam w telewizji sportu, ja, który nie byłem nigdy kibicem”.

Myślę: skąd ja to znam, tu przynajmniej łatwo o sport w telewizji.

Rozmowa z S., on sternikiem innego pijanego statku. Mówię:

„Mój największy dzisiaj problem... mam dosyć Polski, dosyć jako codzienności, dosyć jako sposobu myślenia, dosyć w tym co jest u nas przeciętne i co teraz wypływa na wierzch. Ale odkryłem, że nie jestem w tym sam, że wyczerpanie Polską staje się powszechne, ale głęboko ukryte, jak wielka sieć konspiracji złożona z konspiratorów, którzy o sobie nie wiedzą, ale czują tak samo”. Spojrzał na mnie czułym okiem, co zdarza się, gdy bratnia dusza dotknie ciepłą dłonią bratniej duszy.

„To Pan też...”

Czego nie powiedziano Polakom wczoraj, a dzisiaj się mówi, ale poprzez wątek: że to sprawa nie na miesiące, nie na lata, a na lat dziesiątki. Że słabi muszą wypaść z gry. Że gra będzie długa. Że w miejsce po wyrzuconych komunistach wpły nie rzeka błota. I że są podejrzenia, iż desant Balcerowicza był o jeden most za daleko...

Znowu polskie lęki, ale na poziomie wyższym niż lęk, że okradną samochód, a sąsiad robi pieniądze. To nasza dzisiejsza metafizyka, a więc... Mroczne Piwnice Magdalenki, schowki w nogach Okrągłego Stołu, potajemny powrót Onych, Chłód od Luki Technologicznej co nas dzieli od Zachodu, Hiperinflacja majstruje przy tylnych drzwiach. I jakby mało było nieszczęść — słysząc złowrogi skrzyp, to skradają się Zjednoczone Niemce.

Coraz częściej odbija mi się Polską, prawie zawsze szaro, czasami tylko zielono parkiem łązienkowskim. I napływają obrazy, przed którymi się bronię, ale one są silniejsze. Kolejka w warsztacie samochodowym i gwałtowne ssanie brakujących części zamiennych, mdły zapach braku benzyny na stacjach, przybita stemplem groza urzędu pocztowego i supeł ludzkich nieszczęść nie do rozwiązania w miejskim autobusie. I jak ciepłe kaganki miejsca, gdzie mieszkają bliscy mi ludzie. Boję się pochylić twarz, by się nie sparzyć.

SMECZ

List od klepskiego wyborcy

Wracam przez Niemcy. Stan pełnej gotowości. 3 października o północy rusza machina, która przemiele NRD szybciej, niż się spodziewa ktokolwiek z warszawskich niemcoznawców. Nie będzie żadnych Niemiec „B”, żadnej zatem zwłoki dla Polaków, zmuszonych wyjść na spotkanie zupełnie nowemu „niemieckiemu wyzwaniu”. Wyzwaniu bez jakiegokolwiek agresji, zapewne nawet stowarzyszonemu z autentyczną dobrą wolą. Co więcej, wyzwaniu, którego sami pragniemy, bo zmuszeni jesteśmy pragnąć, gdyż przecież tylko poprzez Niemcy i z pomocą Niemiec możemy dotrzeć do Europy. A jednak, mimo wszystko, wyzwaniu. Jakby je nazwać: gospodarczym, kulturalnym, cywilizacyjnym — będzie to zwłaszcza wyzwanie dla polskiej toż-

samości narodowej. Czy Polacy potrafią w tych warunkach stać się obywatelami Europy, nie zatracając siebie? Inaczej mówiąc: czy wobec Europy z odrodzonymi Niemcami tradycyjna polskość nie ześlizgnie się w zamknięcie, zaścianek, kompleksy niższości, żale do całego świata, szowinistyczną agresywność? A znów ta nowa, młoda, żywa polskość tych, którzy jeszcze mają coś do stracenia, czy nie odpowie po prostu ucieczką?

— Ach ty katastrofisto — poklepują mnie po ramieniu pierwsi warszawscy znajomkowie, Tomek Łubiński i jego kolega, profesor. Nie będzie tak źle, w Polsce nigdy nie jest tak ekstremalnie, po bolszewicku źle. Nawet za bolszewików.

O szyby deszcz dzwoni... Błoto, całe miasto w dziurach i w błocie, miękkim, ciepłym. Może mają rację, Łubiński z kolegą, warszawskie błoto nie jest ekstremalną materią. Może więc nie jest aż tak źle... Pocięta z ulicznych dziur.

1. Pomysł na rewolucję ustrojową ewolucyjnymi metodami, który przyświecał „okrągłostołowcom” (również tym, co dziś krzyczą o przyspieszaniu), wywodził się, w istocie, z doświadczeń 1980/1981 roku. Był niejako wyciągnięciem podwójnego wniosku; z tego, czego wtedy zaniechano, i z tego jak wtedy postępowano. Zaniechano, jak wiadomo, walki o państwo, pozostawiając w nim kierowniczą rolę PZPR (Bogdan Borusewicz w tegorocznych wspominkach przypomniał, że zgłaszał był wtedy, samotnie, „postulat nr 22” wolnych wyborów, natychmiast zapomniany). A postępowano w myśl zasady nacisku z zewnątrz: społeczeństwo naciskało na nie swoje państwo... Dziesięć lat później, przy okrągłym stole, obu — jak zaczęto sądzić kardynalnych — błędów chciano uniknąć. Tymczasem jednak zmieniły się warunki. „Solidarność”, która niegdyś mogła być istotnie identyfikować się z całością społeczeństwa, była przy okrągłym stole już tylko cieniem siebie, a potem im dalej w rządzie i w polityce, tym gorzej. Za to PZPR, która w 1980 roku miała za plecami i wsparcie, i pistolet sowieckiego mocarstwa, była teraz w praktyce sama. Innymi słowy, warunki umożliwiające polską rewolucję i zarazem wytyczające jej granice bezpieczeństwa uległy zupełnej zmianie, co można też powiedzieć najprościej: nie proporcje sił je teraz wyznaczały, lecz proporcje słabości. Paraliż sowiecki, zwątpienie i wyczerpanie rządzących — po jednej, słabość związku i nieprzygotowanie jego elit do przejęcia schedy — po drugiej stronie. Ale w takim razie odmienił się też sens „rewolucji ewolucyjnymi metodami”. Teraz miała to być wprawdzie ewolucja całą gębą, nie tylko rozkielznanie społeczeństwa, lecz budowa zupełnie nowego państwa. Za to ewolucyjność była nie tyle strategią wybraną w obliczu ciągle jeszcze potężnego przeciwnika, ile koniecznością narzuconą przez

własną niegotowość i obiektywne fakty ekonomiczne. Pisząc „przy okrągłym stole” mam oczywiście na myśli cały okres aż do wyborów parlamentarnych w czerwcu 1989 i elekcji prezydenta Jaruzelskiego. Jak wiadomo, zawdzięczał on ją Kościółowi, który czuł się niejako „gwarantem okrągłego stołu” i który doradził, w sposób nie do odrzucenia, odpowiednie zachowania grupie „okrągłostołowców” najsilniej związanych z hierarchią oraz grupie najbardziej krzykliwych „Polaków-katolików” z późniejszego ZChN. Niezależnie od słuszności tej decyzji, Kościół miał swoje racje stawiając na Jaruzelskiego raczej niż na jakiegoś czarnego Piotrusia. Warto pamiętać o tej elekcji, gdyż — po pierwsze — była ona najdobitniejszym przejawem owej ewolucyjności, po drugie zaś, nie „lewica” o niej decydowała.

Trzeba w ogóle stwierdzić, że w nowej sytuacji „lewica” nie tylko o niczym nie decydowała, lecz po prostu wyparowała. W roku 1980/81 mogło się wydawać, że ruch „Solidarność” rzeczywiście wyzwolił się z tradycyjnego podziału prawe-lewe. Było to głównie pochodną wspomnianego samoograniczenia się do „społeczeństwa”: program Rzeczypospolitej samorządnej uchwalony na I Zjeździe NSZZ „Solidarność” był najpełniejszym i zarazem ostatnim wyrazem tej tendencji. Dzisiaj zapomnieli o nim, za milczącą zgodą wszystkich, nawet autorzy. Ale po drodze prawicowi krytycy „Solidarności” z tamtych pierwszych lat zdążyli jednak zauważyć i powiedzieć głośno, że ów program spłodziła lewica, korowcy, kryptokomuniści, i wielce jest możliwe, że w ogniu zapowiadanych kampanii wyborczych powróci się do tego tematu.

Męcząca historia z tymi prawymi i lewymi. Są czy ich nie ma? Nie brak racji za jednym i za drugim. Michnik i jego przyjaciele krzyczą nieustannie: cóż z nas za lewica, jeśli jesteśmy za prywatyzacją i wolnym rynkiem (to przykład, bo takich argumentów mają więcej). Ale wystarczy zapytać odwrotnie: czy wobec tego Micewski i Korwin Mikke, którzy też są za prywatyzacją i wolnym rynkiem nie są prawicą? Cały problem jest zatem źle postawiony: to nie ludzie przestali się dzielić i różnić, lecz przesunęła się, w porównaniu z „klasyczną” sytuacją, cała siatka problemowa, wszystkie bez mała jej osie. Przy czym we wszystkich niemal wymiarach, które wydają się ważne na dziś i które dominują w wyobraźni politycznej polskich elit, jest to przesunięcie na prawo, co po prostu znaczy, że może być przekonująco dla szerokiej opinii opisane jako zwycięstwo różnych klasycznych programów prawicy — liberałów, konserwatystów, nacjonalistów, jak popadnie. Gdyby nie przemożne poczucie nagłości, nie byłoby to wrażenie aż tak bezsporne. Gdyby na przykład taki Balcerowicz (który wcale nie jest klasycznym człowiekiem prawicy) nie miał od razu na starcie do czynienia z

rozpoczynając się hiperinflacją, to on i jego ludzie nie szermowaliby może z takim przekonaniem sloganem, że „dość było eksperymentów, teraz trzeba tylko kopiować wzory wypróbowane”, a to jest oczywiście slogan, który raduje każdego konserwatystę i który skutecznie dławi myślenie polityczne. Krótko mówiąc, nagłość i brak czasu skraca do tego stopnia perspektywę, że świeżo kreowani politycy i politykierzy nie dostrzegają przesunąć problemowych bardziej dalekosiężnych, które już wcale nie są zwycięstwem prawicy. Na przykład problem: egzaltacja odzyskanego państwa narodowego a integracja europejska. Na przykład problem: powrót do nurtu cywilizacji zachodniej a nowa teokracja polskiego katolicyzmu... To wszakże trochę na potem. Na dziś i na kampanię wyborczą, która się rozpoczyna, wszystko wygląda tak, że prawica jest rada z siebie i bardzo chojracka, a lewica przemyka chyłkiem pod ścianami zniesmaczona i zgorzkniała. Prawie wszystko.

Dlaczego bowiem Porozumienie Centrum chce być koniecznie w środku?

2. Cofnijmy się myślą do kluczowego momentu: „zakończenia działalności”, czyli po prostu likwidacji PZPR. Tego właśnie — zarzuca Wałęsa ekipie Mazowieckiego — nie potrafiłście wykorzystywać. Wałęsa ma rację: był to moment rzeczywiście kluczowy i rzeczywiście niewykorzystany. Więcej nawet: jeden z przywódców ekipy u władzy, nazwiska nie wymienię, jako że zastrzegł sobie dyskrecję, oświadczył mi wprost: — „Przecież te skurwysyny z PZPR nie wytrzymały nawet roku. Wychrzcić im się zachciało! A nam zabrakło tego roku na przyzwoite przejście. No i mamy przyspieszenie...”. Zatem, rzeczywiście, komuniści potrzebni byli jako straszak, jako uzasadnienie ewolucyjności, ostrożności i porządku, jako — zgodnie z uprzednim stwierdzeniem — przesłona dla niegotowości i nieumiejętności zwycięzców. Tyle racji Wałęsy. Ale z kolei tę rację przekreśla demagogia „przypieszenia”. Jedyny bowiem konkret, jaki wydobyc można od rzeczników tego kursu, to eliminacja tzw. nomenklatury, przy czym ekipa Wałęsy traktuje ten termin z niebywałą dezynwolturą i całkiem instrumentalnie: kiedy szef fetuje w Gdańsku Mieczysława Jagielskiego, jego związkowy adiutant, Lech Kaczyński, deklaruje w TV, że byli posiadacze legitymacji PZPR — w ostatnim rzucie 3,2 miliona Polaków — mogą wprawdzie żyć i oddychać, ale niech lepiej nie podskakują, bo się ich rozliczy. Niebawale rozciągliwe pojęcie nomenklatury staje się w tzw. terenie narzędziem presji i szantażu, przy czym nierzadkie są sytuacje, w których koegzystują obok siebie dwie nomenklatury, stara i nowa, zwłaszcza że fatalne wybory samorządowe wyłoniły, zdaje się, bardzo kiepskie władze. Ale to jest

być może nieuchronna choroba dzieciństwa władzy. Prawdziwa bieda w tym, że problem nomenklatury nie jest przez przyspieszaczy rozpatrywany w jedynym właściwym kontekście: państwa z jednej i kontroli oraz inicjatywy społecznej z drugiej strony. Tymczasem posady w urzędach, zwłaszcza wobec milionowego wkrótce bezrobocia, są niezłą kielbasą wyborczą.

Jedyny wyobraźalny sens przyspieszonej „eliminacji” nomenklatury politycznie i moralnie godnej poparcia musiałby polegać na uzależnieniu ruchu kadrowego, zarówno dymisji jak nominacji, od autentycznej, systematycznej przebudowy prawa i struktur administracji w jasno określonym celu i kierunku, przy pełnej jawności decyzji i ich motywacji.

Otóż parlament na Wiejskiej i urząd Rady Ministrów pracują wprawdzie pilnie, ale w przebudowie nie widać ani planu, ani logiki, ani nawet elementarnego porządku, ustawy sypią się jak z reklamowego rogu obfitości, lecz często nie to okazuje się pilne, co jest najpilniejsze. Wszelako rzeczowej krytyki tego chaosu nie należy szukać w *Tygodniku „Solidarność”* ani w opozycyjnej wobec rządu części OKP. W tych naszych salonach i przedsiódkach politycznych najwięcej bowiem mówi się o posadach. Jak w gminach, tyle tylko że tutaj chodzi o „teki”, „nominacje” i „ambasady”. Trzeba stwierdzić, że w polityce kadrowej Tadeusza Mazowieckiego i jego prawej ręki w urzędzie Rady Ministrów, Jacka Ambroziaka, nie brak czasem konsekwencji. Złośliwi zauważyli już, że najłatwiej o nominacje dawnym internowanym — najlepiej z Jaworza i Darłówka, słabiej wypada Białoleka, oraz współpracownikom prasy katolickiej. Na tym można sobie poużywać, tym bardziej, że nie brak nominacji monstrualnie nietrafionych i z uporem podtrzymywanych. Ale, ostatecznie, który premier nie foruje swoich zaufanych? Tylko że, i to jest nieporównanie ważniejsze, protekcje, sympatie i ufności układają się w konstruowanie swoistego partyjnego zaplecza kadrowego, nim jeszcze powołano dla niego partię. I program. Byłoby więc zbyt pięknie, gdyby przerost ambicji i rozżarcie na posady można było zarzucić tylko drugiej stronie, „chłopcom z Tysola”. Nie będzie też zapewne zaskoczeniem, że „jawność decyzji i motywacji” w ruchu kadrowym jest najzupełniej formalna, za co zresztą główną winę ponoszą mass media i prasa. Dziennikarze w Polsce na ogół nie umieją być bezstronni, bezpartyjni i nie służyć lecz informować.

Jeżeli, co wcale jeszcze 20 września nie było pewne, w wyborach prezydenckich zetrze się Mazowiecki z Wałęsą, a Sojusz na Rzecz Demokracji skonstruowany wokół ROAD i tzw. demokratycznej prawicy Halla-Syryjczyka z Porozumieniem Centrum i kibicującą Wałęsę konstelacją partii katolickich i narodowych, wyborcy dostaną zapewne pogładową lekcję politycz-

nej nieodpowiedzialności postsolidarnościowej elity: w jaki sposób można się aż tak nie znosić wzajemnie i zarazem nie umieć (lub nie chcieć) wskazać istotnych różnic. ROAD i — choć w mniejszej mierze — jego alianci z Sojuszu z lubością odwołują się do „etosu 'Solidarność'”, ale zaiste, mimo karkołomnych wysiłków tak znacznych teoretyków jak ks. Józef Tischner, trudno byłoby wykazać, że np. program Balcerowicza z tego właśnie etosu się wywodzi i że robotnicy, którzy jednak NSZZ „Solidarność” stworzyli, powinni teraz zejść jak najszybciej ze sceny społecznej i ustąpić pola „klasie średniej” (hegliści i marksiści mawiali w takich razach o *Selbstaufhebung* — samozniesieniu dialektycznym). Bronią wyborczą Sojuszu będzie raczej blask władzy, ów, by strawestować Nałkowską, glanc, który się puszcza od rządzenia na partiach prorządowych, nie zaś przygasty etos czy też po prostu ideologia „Solidarność”. Porozumienie Centrum, poza bezspornym atutem Wałęsy, będzie zaś grało właśnie swoją deklarowaną środkowością, w zgodzie z geometryczną definicją: ze środka wszędzie blisko. Bowiem w tak pojmowanym centrum lub w sojuszu z nim mieści się wszystko: od dawnych aktywistów „Sieci”, w rodzaju Mietka Gila, którzy chcą wierzyć Wałęsę, że znów „wesprze się na wielkich zakładach” i którzy „kupili” akcjonariat pracowniczy i obywatelski w miejsce samorządów, aż do kuriozalnej prawicy wszelkich odcieni. Wprawdzie Jarek Kaczyński, założyciel i przewodniczący Porozumienia Centrum, zastrzegł się od razu na wstępie, że „skrajnej prawicy” nie przyjmie do swego ugrupowania, ale Wałęsa jako kandydat na prezydenta nie odrzuci — co już zresztą zapowiedział — żadnego poparcia. Wiadomo, że poprzez go i PAX i ZChN, chadecy i liberałowie zarówno z Centrum jak spoza niego, najprawdopodobniej też, ewentualnie w drugiej turze, przynajmniej część ludowców oraz koalicja związkowa nie odtrącająca ani „Solidarność 80”, ani OPZZ (tak, tak...).

Wałęsa nie ma żadnego interesu w zbytnim rozroście i sile Porozumienia Centrum, jak też zresztą jakiegokolwiek innego z popierających go ugrupowań. Niepotrzebna mu jest żadna mocna partia ani nawet żaden politycznie jednolity front, którego kierownictwo chciałoby potem wystawiać mu rachunki, rozliczać i dyktować zachowania. Poczynając od kwietnia, kiedy rozpoczął był swoją prezydencką kampanię, Wałęsa zdążył już obiecać awans na premiera (lub wiceprezydenta, bo w pewnym momencie zachciało mu się naśladować USA) sześciu politykom, a kampania jeszcze nie zakończona. Chorobliwie nieufny, świadomy własnych niekompetencji fachowych i zarazem zjeżony wobec każdej porady wygłoszonej zbyt pewnym głosem, Wałęsa niczego sobie tak nie ceni jak swobody w potrząsaniu ludzkimi karierami. Przy innej okazji opowiem może, jak to się stało, że

Andrzej Micewski, oczekujący na audiencję, dowiedział się o swej nominacji na szefa grupy doradców Przewodniczącego, zaś Zdzisław Najder, pewien, że właśnie tę funkcję piastuje, niespodzianie ją stracił.

Ponieważ koalicja prezydencka Wałęsy jest politycznie aż tak heterogeniczna, tym bardziej niezbędny jest jej jakiś pozapolityczny wyznacznik, wspólny znak czy wspólna inspiracja. „Solidarność”, jej literki i sztandar, wybór na pozór naturalny, już się do tej roli nie nadają. Przede wszystkim związek ma być tylko jednym z członków koalicji wokół Wałęsy, w przeciwnym razie Komisji Krajowej snadnie przewróciłoby się w głowie, zresztą inni aliansi wcale nie chcieliby się związkowi podporządkować. Pluralizm jest obowiązkowy. Po drugie, tzw. etos „Solidarności” został już „przechwycony” przez konkurentów: jeśli to rzeczywiście sukces, bo ów etos, jako się rzekło, gaśnie, to jest to, jak dotąd, jedyny sukces ROAD w rywalizacji z Porozumieniem Centrum i samym Wałęsą. Odebranie znaczka „S” *Gazecie Wyborczej* było, w tym kontekście, raczej próbą ograniczenia strat. W jeszcze większej mierze niż etos „Solidarności”, rywale Przewodniczącego mają w ręku etos odrodzonego Państwa Polskiego, i dowiedli już, że właśnie jako „państwowcy” zamierzają zwalczać „populistę” Wałęsę. Z trzech możliwych inspiracji Wałęsie pozostaje więc katolicyzm rozumiany zwłaszcza jako ideologia narodowa. Stąd właśnie tak uporczywe piętnowanie rywali jako lewicy, przy czym domniemanie, iż lewica jest bezbożna wydaje się tutaj równie ważne jak to, że jest ona kryptokomunistyczna; oba domniemania razem składają się zgrabnie na „antypolskość” lewicy. Obecność wśród przeciwników kandydatury Wałęsy zarówno grupy *Tygodnika Powszechnego* czy krakowskiego i warszawskiego KIK-u, jak Demokratycznego Forum Prawicy z Aleksandrem Hallem, nadweryża oczywiście to korzystne przeciwstawienie. Tym bardziej ważne było poddanie niedobrych katolików próbie ognia. To się stało wraz z wprowadzeniem religii do szkół, a podobną rolę spełniać ma ustawa antyaborcyjna. Z punktu widzenia strategii wyborczej Wałęsy i jego obozu gra jest bezpieczna, mimo że wiedzą oni, iż obie inicjatywy, zwłaszcza druga, antagonizują znaczne rzesze wyborców. Rzecz bowiem w tym, że obóz przewodniczącego Lecha wcale nie musi się specjalnie angażować w popieranie tych inicjatyw, w każdym razie nie bardziej niż... rząd Mazowieckiego czy senat Stelmachowskiego. Odium będzie więc rozdzielone po równi. Za to uda się próba ognia, która się przeciw liczy tylko wobec opinii katolickiej i praktykującej, zwłaszcza wobec hierarchii: niedobrzy katolicy będą „kręcić”. Jakoż nie zabrakło już kręctwa z instrukcją ministerialną jawnie sprzeczną z ustawą z 1961 r. o świeckości szkoły: „wyprzedziliśmy troszeczkę aktual-

ne tendencje legislacyjne”, oświadczył w dyskusji w warszawskiej TV dr Sławiński z Ministerstwa Edukacji, a solidarnościowy Senat pospieszył na ratunek min. Samsonowiczowi, wnosząc *ex post* o uchylenie ustawy, co oczywiście powinien był zrobić rząd, zamiast chować się za instrukcją swego ministra. Jeszcze bardziej karkołomne sztuczki szykują się z ustawą antyaborcyjną: niedobrzy i nie całkiem dobrzy katolicy będą zwłaszcza chcieli wykręcić się od penalizacji kobiety w proponowanej ustawie i od ewentualnego żądania referendum. Hierarchia kościelna, z papieżem Janem Pawłem II, nie mogła nie być świadoma tego politycznego uwikłania obu inicjatyw. Mimo to zaangażowała się bez reszty w ich forsowanie. Trzeba więc przyjąć, że świadomie zdecydowała się na osłabienie w ten sposób rządu Mazowieckiego. Andrzej Micewski zapytany niedawno, dlaczego w katolickiej Polsce nie może się jakoś przebić żadna partia chadecka, odpowiedział wywodem o tradycji endeckiej, socjalistycznej i ludowcowej i o tym, jak w 1922 r. chadecy też nie zdołali zdobyć nawet 10% głosów. Są jednak, jak myślę, przyczyny bliższe nam w czasie. Najpierw kompromitacja wyznaniowych organizacji typu PAX. Następnie i przede wszystkim swoista zachłanność hierarchii i kleru polskiego w ogólności, którzy widać nie życzą sobie zbytnej samodzielności niezależnej partii chadeckiej i którzy „grają o wszystko”, o całą polskość, nie zaś o jeden tylko odłam polityczny.

Tak rozumiane przyczyny nikłej popularności formacji chadeckiej mają zapewne coś wspólnego z niewielkimi względami, jakie dla interesów politycznych rządu Mazowieckiego okazała hierarchia kościelna. Ale nie można wykluczyć, że w grę wchodził inny jeszcze motyw, mianowicie chęć korekty sojuszy wewnątrz solidarnościowego obozu, izolowania „lewicy laickiej”, której wprawdzie, zdaniem Adama Michnika, wcale nie ma, ale której ksiądz prymas Glemp, czy ksiądz biskup Orszulik całkiem szczerze nie znoszą.

Dotychczasowe efekty Wielkich Manewrów w Warszawie nie przynoszą zaszczytu strategom „Solidarności”, których 18 września zgromadził na herbatce prymas Glemp, aby sprawdzić czy Wałęsa i Mazowiecki będą mogli ze sobą współpracować, gdy już się okaże, który jest zwycięzcą, a który pokonanym, i aby ewentualnie sprawić, by współpracować mogli. Wynik negatywny. W przededniu wielkich bitew rozłam w obozie „Solidarności” jest nieuleczalny, a protagoniści żywią względem siebie niedobre uczucia. Już nie tylko „lewica laicka”, lecz również Tadeusz Mazowiecki stał się przedmiotem ataków najzupełniej niedogodnych, które przyjaciela Lecha Wałęsy — chciałoby się mieć nadzieję, że nieproszeni — zamieszczają na łamach dziwnych pism i pisemek *Czas Najwyższy* lub *Konfrontacje*, gdzie

brać dziennikarska stanu wojennego uczy się, jak redagować sensacyjne kolumny i jak bez żenady zmieniać sponsorów.

3. Bądźmy poważni. Kampania wyborcza w Polsce nie zapowiada się, mimo wszystko, ani tak hałaśliwie, ani tak zaciekle jak to często bywa w krajach demokracji zasiedziałej. Nie ma więc potrzeby — patrz wstę — załamywać rąk? Niestety, jest to porównanie nieprawomocne. W krajach demokracji zasiedziałej wiadomo na ogół, kto jest kto i nikt w toku kampanii nie musi się dopiero przedstawiać publiczności: przedstawia swój stosunek do najzupełniej konkretnych spraw i odpowiada na pytania szczegółowe. Ilekroć zaś powstaje sytuacja kryzysowa, która wymaga wzniesienia się ponad kwestie szczegółowe i sięgnięcia do szerszych konstrukcji, do logiki programów i do dekalogu wartości, tylekroć również pojawia się niebezpieczeństwo demagogii, utopijności i populizmu, zwłaszcza zaś niebezpieczeństwo mężów opatrnościowych, postaci ojca, wodza, Pana Boga. Otóż, Polska dzisiejsza jest cała jednym wielkim kryzysem i wszystkie te niebezpieczeństwa są tutaj szczególnie aktualne. Powszechne wołanie o program jest więc nie tylko apelem o lepszą prezentację. Jest to nade wszystko wołanie o rygor intelektualny, o uczciwość wobec wyborców i o wzmożoną komunikatywność w polityce. Główni protagoniści rozpoczynającej się kampanii, ROAD i Porozumienie Centrum, prezentują w odpowiedzi na ten apel dwa modele dyskursu, które najpełniej wcielają „niezrzeszeni”, Leszek Balcerowicz i Lech Wałęsa. Przeciwwstawienie, zdawałoby się, diametralne, a przecież obu tych panów jedno łączy; pogarda dla słuchaczy. U jednego chłodna i grzeczna, u drugiego wrzaskliwa i pełna chętności. Profesor nie znosi ignorantów, elektryk natrzęsa się z tych, którzy nie mieli szczęścia i nagrody Nobla. A ponieważ są to przykłady skrajne, z obu końców skali, zachodzi podejrzenie, że elita polityczna nowego reżimu już się właśnie cała odrywa od swojej bazy. Czy może baza od elity, bądźmy bowiem sprawiedliwi, wina niekoniecznie jest kategorią indywidualną, a grzesznych jest przecież bez liku.

Tu trzeba wspomnieć o owym nieszczęsnym nieporozumieniu, którym stał się w Polsce bełkot o pluralizmie. Pluralizm przeniesie nas za jednym zamachem w sam środek Europy i demokracji. Ale pluralizm demokracji zasiedziałych wspiera się na grubej warstwie oczywistości, co do których panuje milcząca — i tym bardziej niezachwiana im bardziej milcząca — zgoda powszechna. W Polsce oczywistości jest bardzo niewiele, i tak przecież musi być w kraju, który tak wiele zmienia. Ale elita polityczna zdaje się nie pojmować, lub pojmować nie chce, że czym innym jest zgoda co do języka, czym innym zaś co do rze-

czywistości. Francuski robotnik, który akceptuje gospodarkę rynkową i kapitalizm, wie doskonale co akceptuje i za jaką cenę. Polski akceptuje głównie język, którym do niego mówi o kapitalizmie nowa ekipa. Właśnie dlatego tych, którzy mówią, obowiązuje zdwojona ostrożność, uczciwość, lojalność wobec faktów. Kiedy nastąpi, a już się odbywa, konfrontacja dyskursu z nowym doświadczeniem społecznym, pluralizm pozbawiony podłoża jedności przekształci się w wojnę wszystkim przeciw wszystkim.

Bądźmy poważni.

Rozpad „Solidarności” i związane z nim przegrupowania polityczne nie są jeszcze kataklizmem, choć dla tych, którzy, jak piszący te słowa, podkochiwali się trochę w pannie „S”, są smutnym końcem miłości. Jakikolwiek będzie wynik kampanii wyborczych, nie sądzę, by Polsce groziła w ich wyniku destabilizacja. W pewnym sensie nawet wprost przeciwnie. Grozić nam będzie właśnie swoista stabilizacja, taka, którą inaczej nazywa się marazmem czy zastojem, a która jest odczuwalna już teraz i którą pogłębić może w sposób zasadniczy rozkład jednej siły politycznej, potencjalnie zdolnej do jakiegoś dynamizmu: Solidarności. Ale będzie to zastój na bardzo niskim poziomie, blisko dna. Sterroryzowani biedą i rozczarowaniem będziemy przecież jakoś budowali nasz nowy-stary ustrój i porządek „w kierunku Europy” choć daleko, daleko w tyle. A młoda krew będzie wyciekać z tego kraju, nawet jeśli u każdego ginekologa będzie siedział kleryk z karabinem.

Kampania Wałęsy właśnie się rozkręca. U jego konkurentów nastroje są minorowe, wielu prominentów ROAD przypomina samobójców masochistów; przy życiu (politycznym) zdaje się ich utrzymywać głównie chęć doznawania cierpień i upokorzeń. Za to wokół braci Kaczyńskich ruch jak w ulu i radosne pomruki. Idą jak burza. Wałęsa zapowiada, że będzie jak „latający Holender” — wszędzie. I faktycznie. Jak ten mały zaczął krząć, to ten duży nie mógł zdążyć...

W istocie nic nie jest przesądzone. Tadeusz Mazowiecki zwlekając może równie dobrze stracić jak zyskać, zależnie od tego, co zechce w tej zwłoce odczytać wyborca: niepewność i nieumiejętność decydowania, czy też namysł, powagę i skromność. Kandydatury rezerwowe, jak np. Andrzeja Stelmachowskiego, również mogą przyczynić kłopotów jednemu bądź drugiemu z protagonistów, choć w przypadku marszałka Senatu poszkodowanym byłby raczej Wałęsa, gdyż na Stelmachowskiego głosować będą chłopcy, a nie są oni na pewno elektoratem premiera.

Nic zatem nie jest przesądzone. Poza, jak powiedziano, jednym: nie ma już panny „S”. Smutno. Ale, być może, racje

mają Tomek Łubieński i jego kolega profesor: nie będzie aż tak źle...

W radiu zamierają ostatnie takty przeboju Maryli Rodowicz. Refren o tym „jakie to szczęście urodzić się w tym momencie nad Wisłą”. Po pierwszej zwrotce radosny, niemal marszowy, brzmi teraz ironicznie, gorzko, na lekkim zawianiu. Czuję się, jak to mawia pewna znajoma, egzystencjalnie.

Warszawa, połowa września 1990

PAŹDZIERNIKOWE POST SCRIPTUM

Chciałbym zacząć ten tekst weselej niż skończyłem poprzedni. Niestety rozpoczynającej się kampanii wyborczej towarzyszy coraz więcej oznak powszechnej frustracji. O ile jednak nie dziwią one w obozie przeciwników Wałęsy, zwłaszcza świeckich („lewicy laickiej”), gdzie szerzy się defetyzm, o tyle zaskakuje nerwowość i niepokój wśród jego adherentów. Daremnie „Lechu” zapewnia, że wygra większością czterech piątych: jedni mu nie wierzą, inni zaś czują się nieswojo właśnie jeśli wierzą. Wałęsę jako osiemdziesięcioprocentowemu prezydentowi już do reszty przewróciłoby się w głowie.

1. Debata „skrobankowa” w Senacie była laboratoryjną próbą zachowań politycznych w niegdysiejszym obozie solidarnościowym, który — jak wiadomo — stanowi 99% stuosobowej izby, a senator Stokłosa, wyjątek, i tak się nie pofatygował.

Pierwszą cechą debaty była niebywała nerwowość i zastrachanie. Najpierw imiennego głosowania zażądali zwolennicy inicjatywy antyaborcyjnej, chcąc zadenujować w ten sposób „złych katolików”. Zaraz potem, przy głosowaniu nad poprawkami uchylającymi karalność kobiet i lekarzy, tym samym odwdzięczyli się przeciwnicy inicjatywy, świadomi jak bardzo niepopularna jest ona wśród wyborców — kobiet i młodzieży. Kiedy „prawdziwi katolicy” zaczęli kręcić, Andrzej Celiński aż załomotał pięściami po pulpicie i tak się rozwrzeszczał, że przewodniczący Stelmachowski pośpiesznie zarządził głosowanie imienne. Potem marszałek sam stracił głowę ze zdenerwowania i nie podpisał kartki, oddając głos nieważny. Usprawiedliwiał się, wtrącając mimochodem, że chciał „oczywiście” głosować przeciw karalności. Byli tacy, co mu nie uwierzyli: Stelmachowski uchodzi za specjalistę od zawitych rokowań i mediacji oraz tekstów,

jak babka wróżyła, a mógł nie chcieć urazić ani jednych, ani drugich, jako że ambicji prezydenckich mu nie brakuje.

Zwolennicy inicjatywy senackiej uskarżali się na „presję ulicy”, czyli kilkusetosobowej manifestacji, której najbardziej agresywnym hasłem było „jesień wasza, dupa nasza”. Presję czytawą na ustawodawców wywierał natomiast episkopat: Towarzystwo im. ks. Popiełuszki, które ośmieliło się postulować rezygnację z tej inicjatywy, zostało wykreślone z rejestru „stowarzyszeń katolickich”, o czym nie omieszkało przypomnieć senatorom w dniu debaty.

W toku dyskusji nie brakowało momentów wskazujących, jak głęboki jest rozłam myślowy i ideowy wśród członków ciągle jeszcze jednego OKP. Jest zwłaszcza w senacie, w parlamencie w ogóle, oryginalna grupa „prawników — prawych katolików”, adwokatów lub radców prawnych z głębokiej prowincji (Stępień z kieleckiego, W. Piotrowski z Sulechowa itd.), spragnionych popularności i krasomówczych jak na akademiach strażackich. Dogadywali się oni z zimną krwią do zupełnych horrorów. Tak np. ów Walerian Piotrowski z Sulechowa, przyciskany przez Jerzego Regulskiego, utrzymywał, że karalność kobiet, przewidziana w przedstawionym projekcie jest w istocie całkiem marginalna, ponieważ nie dotyczy wcale tych, u których skrobankę wykonuje ktoś inny, np. lekarz — wtedy tylko ów sprawca jest karany — natomiast kobietę będzie karać jeśli sama u siebie wywoła poronienie... Senatora Regulskiego wprost zamurowało.

Mimo bardzo wyraźnego rozejścia się wrażliwości ideowych czy też sposobów odczuwania, znaczna większość Senatu znalazła w końcu zgniły kompromis. Najpierw odstąpiono od karania kobiety — pozostawiając karalność lekarza, pomocnika i podlegacza (tym ostatnim może być, dla przykładu, mąż lub kochanek). Ustawa, jeśli by została ostatecznie przyjęta w tym kształcie, jest równoznaczna z gwałtownym wzrostem kosztu zabiegu lekarskiego (cena ryzyka), z upowszechnieniem procederu szantażu i z rozkwitem techniki na szprychę lub drut do szydełkowania. Mimo tych konsekwencji znaczna grupa przeciwników ustawy uznała w końcu za właściwe głosować „tak”, wśród nich tacy prominenci ROAD jak Andrzej Celiński, Andrzej Wajda, Edward Wende (pełny wykaz, kto jak głosował, zamieściła *Trybuna*). I w tym miejscu dochodzimy do kolejnego źródła frustracji: niepewności, chwiejności lub nijakości politycznej i programowej w obozie przeciwników kandydatury Lecha Wałęsy. Obóz Wałęsy, jak podkreśliłem w poprzednim artykule, jest koalicją najzupełniej heterogenicznych sił. Jeśli zwycięży, to na pewno się rozleci. Ale obóz przeciwny, choć nieporównanie bardziej jednolity, jest za to często ni taki ni siaki. Jeśli zwycię-

ży, to nie bardzo będzie wiedział co z tym zwycięstwem począć. Prawdziwym centrum jest bowiem właśnie ROAD.

Można mi, rzecz jasna, wytknąć, że wyciągam wnioski zbyt ogólne z jednostkowego faktu debaty „skrobankowej”. Jednakże, ze względu na ogromne zaangażowanie Kościoła, ów ponoć jednostkowy fakt jest raczej przejawem i zapowiedzią bardzo ważnej tendencji: bezpośredniej ingerencji politycznej Kościoła, który już otwarcie zmierza do nadania państwowości polskiej charakteru religijnego, bądź nawet wprost wyznaniowego. Tych działaczy ROAD i ugrupowań koalicyjnych, którzy poczuwają się do więzi z Kościołem, a takich jest większość, stanowisko episkopatu naraża nieraz na otwarty konflikt sumienia. Nie bez kozery zresztą owa kohorta prowincjonalnych adwokatów odsądzała w toku debaty od wiary katolickiej tych, którzy ośmielali się twierdzić, iż stosunek do projektu ustawy antyaborcyjnej jest sprawą sumienia właśnie. W przerwach miałem sposobność rozmawiać z kilku senatorami, m.in. z panią Anną Radziwiłł i z prof. Władysławem Findeisenem. Zachowałem wspomnienie ludzi dosłownie umęczonych moralnie. Oboje głosowali ostatecznie w zgodzie z sumieniem, nie zaś wygodą polityczną i instytucjonalną. Ale na ogół presja instytucji kościelnej była dość skuteczna.

Triumfujący poseł Łopuszański z ZChN projektuje teraz błyskawiczne przepchnięcie ustawy przez Sejm, choć to raczej tromtadacja. Niemniej najsmutniejszy dowcipem w kuluarach sejmowych wydała mi się taka oto wymiana zdań pomiędzy dwoma deputowanymi z OKP: — Dobrze chociaż, że mamy naszych komuchów, więc ten numer nie przejdzie... — Oj, nie mów hop, tacy jak Fiszbach jeszcze nam zagłosują... (Fiszbach poparł ostatnio kandydaturę Wałęsy).

Lecz oto, paradoksalne na pozór wobec tak gromkich zwycięstw obozu kościelno-narodowego — kolejne pytanie o... frustrację.

3 października Jan Paweł II wygłosił przemówienie do pielgrzymów z Polski, angażując się bezpośrednio w poparcie inicjatywy senackiej przeciw aborcjom. Zwracało uwagę, że papież zakwalifikował jako narzuconą przez totalitaryzm liberalną ustawę z kwietnia 1956, która w owym czasie podobnie podzieliła katolików jak obecnie jej odwołanie. W Warszawie interwencja papieska została natychmiast odczytana jako przyjęcie w sukurs episkopatowi. Po co, jeśli sprawa katolicyzacji Polski i tak postępuje naprzód? Sądzę, ale to tylko domniemanie komentatora, że Kościół mimo efektownych sukcesów czuje się w istocie dość niepewnie na forsownym kursie, i że zwłaszcza pod wpływem przezornych rad takich polityków jak Stelmachowski,

obawia się, by program katolicyzacji nie stał się jednym z głównych tematów kampanii wyborczej. Mogłoby to zepchnąć Kościół z wygodnej pozycji mediatora i uwikłać w sojusze antagonizujące zbyt poważne odłamy opinii również katolickiej. Aby tak się nie stało, trzeba odstraszyć polityków, zwłaszcza głównych protagonistów, od zabierania głosu w sprawie katolicyzacji, która powinna się wydawać bezsporna, oczywista i poza dyskusją. Stąd interwencja papieża i któż z katolików w Polsce ośmieli się po nim zabrać głos i kontestować? Łatwo dostrzec, że taka taktyka zmusza postsolidarnościową klasę polityczną do milczenia w sprawie, która wzbudza żywe reakcje społeczne. Czy któryś z obozów postsolidarnościowych ośmieli się okazać nieposłuszeństwo? Myślę, że w najlepszym razie dojdzie do indywidualnych protestów, nie oczekuję natomiast stanowisk programowych. Stanowiska takie zajmują już natomiast ugrupowania spoza solidarnościowej palety. A sami kandydaci będą problem wymijając: Wałęsa podkreślając, że naród polski jest katolicki, Mazowiecki zaś głosząc potrzebę tolerancji. Ale katolicki naród to nie to samo co katolickie państwo, a tolerancja nie oznacza wcale równości praw.

2. Czwartego października Tadeusz Mazowiecki ogłosił, iż decyduje się kandydować w kampanii prezydenckiej. Zrobił to w sposób maksymalnie odróżniający go w stylu i poetyce od Wałęsy: bardzo skromnie, bardzo poważnie, z niewątpliwą tremą, ale już bez wahań. Nie był prostakiem, ale nie był też intelektualistą. Nie eksponował swych zasług, ale nie ukrywał ciężaru doświadczeń. Na pewno nie był wodzem i nie starał się ojcować. Był po trosze bratem, opiekunem. Budził bez wątpienia sympatię. A tam, gdzie Wałęsa braki programowe skrywa przyspieszeniem, Mazowiecki zastąpił się raczej kontynuacją.

Na rynku sondaży ukazuje się nowa seria wyników z połowy września. Niewiele z nich można wyczytać poza dość generalną deprecjacją instytucji i stosunkowo stabilną pozycją osób. Według CBOS procent akceptujących działalność rządu zmalał w ciągu roku z 88 do 58, nie akceptujących zaś wzrósł z 4 do 29. Aprobata dla „Solidarności” zmalała z 84 do 48, nawet Kościołowi ubyło uznania (z 88 do 73). Z kolei OBOP znajduje, że sympatyków Mazowieckiego jest 70% (74% w czerwcu), Wałęsy 61% (51%). U następnych ośmiu polityków procenty sympatii zmieniły się niewiele, a kolejność zachowała się ta sama. W badaniach personalnych CBOS wyniki są nieco inne — bo też pytania były odmienne — a przewaga Mazowieckiego nad Wałęsą wyraźniejsza, natomiast kolejność także zachowuje się bez zmiany, a procenty są dość stabilne. Wszystko to zdaje się wskazywać, że kampania prezydencka będzie bardzo skompliko-

wana. Może się to przyczynić do polepszenia szans Mazowieckiego. Siłą Wałęsy jest przede wszystkim aparat wyborczy. Przewodniczący ma dziś w ręku NSZZ „Solidarność”, którego Komisja Krajowa daje mu praktycznie *carte blanche* i udziela poparcia w ciemno. Do Komitetu Obywatelskiego, pod przewodnictwem Najdera, doradców ze stajni Micewskiego i terenowych Komitetów Obywatelskich, jako atutów przewodniczącego Lecha, mniejszą przywiązywałbym wagę, aparat zaś propagandowy Wałęsy rozrasta się wprawdzie, ale jego jakość jest nadal kiepska. Tytuły rzeczywiście poczytne, jak krakowski *Czas*, należą do rzadkości. Ale Mazowiecki nie ma nawet tego, ROAD pozostaje tworem gabinetowo-intelektualnym, teoretycznie rządowa gazeta *Rzeczpospolita* i *Życie Warszawy*, obsadzone przez — znów teoretycznie — przyjaciół premiera, afiszują bezstronność, która obserwatorom tak podejrzliwym, jak niżej podpisany, wydaje się raczej asekuracją. Im zatem kampania prezydencka będzie bardziej spersonalizowana, tym łatwiej będzie premierowi wyrównać przewagę Przewodniczącego, dla którego pracują nieporównanie liczniejsi aktywiści. Wszystko będzie wyglądać zupełnie inaczej w wyborach parlamentarnych, zwłaszcza, że prawie na pewno ordynacja okaże się silnie proporcjonalna: jest to jedyny i ostatni już chyba punkt, co do którego partie dawnego układu okażą się pryncypialne, nie chodzi w nim przecież o pryncypia, lecz o mandaty. Czyli o przetrwanie aż do... przyszłości.

Na koniec bowiem zachowałem dla zwycięzców z 4 czerwca 1989 ostrzeżenie przed triumfalizmem. Ex-komunistyczne partie i ugrupowania nie mają *jeszcze* żadnych sukcesów i odnotowany spadek aprobaty dla instytucji nowego układu nie idzie na niczyje konto, pomnaża tylko szeregi sfrustrowanych i niewierzących. Ale *już* odnotowuje się sukcesy najlepszych tytułów dawnej prasy partyjnej, *Polityki* i *Trybuny*, a Jerzy Urban jest znowu rozchwytywanym autorem. Całkiem możliwe, że rynekowa ekonomika wymaga dziś w Polsce wzrostu nierówności społecznych. Całkiem pewne, że apoteoza nierówności, która tym procesom towarzyszy, snobizm na każdy pieniądz i atmosfera Restauracji godnej hrabiego Polignac — choć pięciopalkowe korony są głównie z tombaku, a ziemianie z folwarczku — alie-nują coraz większe rzesze zwykłych ludzi, tych, co niczego nie mogą rewindykować, a niewiele mogą zarobić. Młodzi chcą emigrować i presja wyjazdowa wcale nie maleje, a wizowy *cordon sanitaire* wokół Polski jest przez nią głównie spowodowany. A co z tymi, którzy wyjechać nie mogą i nawet nie mogą chcieć?

Jeśli prawdą jest, że wśród znacznej części zwolenników Wałęsy rośnie pokusa populizmu — m.in. hasła akcjonariatu pracowniczego i obywatelskiego przybierają taki właśnie charak-

ter — to wypada przyznać, iż jest to odpowiedź na wyraźne zapotrzebowanie społeczne. Natomiast trzy hinduskie małpki — nie widząca, nie słysząca i nie mówiąca — nie wygrały jeszcze żadnych wyborów. Przyrównanie to odstępuję gratis każdemu z ministrów, który zechce w nim siebie rozpoznać.

Krzysztof WOLICKI

Czytając prasę

„Pewnego razu — opowiada autor dziś mniej chętnie cytowany — przeczytaliśmy w gazetach, że w sąsiednim obwodzie tiumeńskim kulacy dokonali nikczemnej zbrodni — jednej z pierwszych, głośnych wówczas, w okresie masowej kolektywizacji, w całym kraju. Nocą zaczęli się na traktorzystę Piotra Diakowa, który spał w kabinie, obłali go naftą i podpalili. Ciężko przeżywaaliśmy straszną śmierć nie znanego nam, ale od razu bliskiego, współbojownika i kolegi. I jeszcze zdecydowanie (to nie ja dokonałam przekładu), śmieiej przypuściliśmy atak na znienawidzonych kulaków...”

Dopiero po latach, w jakie trzydzieści lat później, dowiedziałam się, że „Piotr Diakow cudem został przy życiu i jeszcze przeszedł całą wojnę”. Jakkolwiek ta wiadomość o nikczemnej zbrodni opowiedziana przez Leonida T. Breźniewa w jego „Wspomnieniach” nie mogłaby się dziś pojawić na łamach prasy w języku polskim, to jednak ściśle opisy rzeczywistych społecznych faktów i wydarzeń stanowią nadal jej słabą stronę. Zajmuje się ona głównie prezentowaniem opinii. Charakterystyczna w tej mierze wydała mi się strona siódma 35 nr. *Przeglądu Tygodniowego* z 2 września. Cztery pierwsze szpalty zajmuje rozmowa z senatorem Mieczysławem Ustasiakiem, członkiem Klubu Inteligencji Katolickiej ze Szczecina oraz zdania i uwagi Andrzeja Cybulskiego „Schizofreniczne rozbicie jako polski krajobraz duchowy”. Dopiero piąta szpalta jest poświęcona sprawie ważnej i ciekawej: możliwości eksploatacji metanu w Rybnickim Okręgu Węglowym. Amerykańska firma gotowa jest zainwestować natychmiast 10 milionów dolarów a w przyszłości 300 milionów za 47% udziału w przedsięwzięciu, natomiast strona polska zwleka z załatwieniem sprawy. Cała rzecz w gazecie jest opowiedziana tak, jakby to kuzynka szwagra spotkała przed pral-

nią znajomą z przychodni dowiadując się od niej, że jest interes tylko jeszcze nie zna szczegółów. Trudno się zorientować czy interes jest dobry, czy firma amerykańska jest poważna, czy powołność polskich urzędów wynika z zaniedbania. Wszystko to stanowić może trop dla dziennikarza ale jeszcze nie materiał do druku. Tak bywa z większością artykułów o spółkach nomenklaturowych. Spółka POLNIPPON działając w porozumieniu z SANBAR DEVELOPMENT CORPORATION SA zarejestrowaną w Panamie prowadzi w Londynie rozmowy na temat wydzierzawienia 500 ha polskiego nadbrzeża w Porcie Północnym by zająć się importem i składowaniem paliw. POLNIPPON LIMITED LIABILITY COMPANY zarejestrowali w Piasecznie panowie Sekuła Ireneusz, Wilczek Mieczysław, ich dwóch przyjaciół i jeden Japończyk. No i co? Na razie — czytelniczka gazet — wiem tyle. Wśród bezrobotnych zarejestrowanych w Warszawie jest 500 dziennikarzy.

„Schizofreniczne rozbicie jako polski krajobraz duchowy” łączy porcję komunałów ze sporą ilością głupstw. Antoniemu Słonimskiemu pokazano kiedyś wycinek z prasy prowincjonalnej z artykułem Putramenta piszącego „mój przyjaciel Antoni Słonimski nigdy w życiu nie był w lesie”. To jest pułapka — powiedział Słonimski — on chce żebym napisał, że byłem w lesie i wyjdzie na to, że jestem jego przyjacielem. Jeśli natomiast napiszę, że nie byłem i nie jestem przyjacielem Putramenta, czytelnicy będą zdziwieni, że wypisuję oczywistości. Tak więc większość opinii wygłaszanych w prasie zasługuje na zapomnienie.

Trudno jednak z zupełnym spokojem czytać na pierwszej stronie *Tygodnika Powszechnego* nr 39 z 30 września: „...rzeczywiście byłoby może wygodniej internować komunistów, rozpuścić parlament, usunąć z urzędu prezydenta. Byłoby to też zgodne z hasłem przyspieszenia rzuconym przez Lecha Wałęsę, jakoś wczesną wiosną”. Będąc od lat czytelniczką *Tygodnika* po raz pierwszy trafiam w nim na coś tak podobnego do nieprawdy i pomówienia. Nikt nie proponował w Polsce po 4 czerwca 1989 internowania komunistów ani potem rozpuścia parlamentu. Natomiast samorozwiązanie się sejmu z kontraktu byłoby przyjęte ze zrozumieniem. Roman Graczyk, obecny sekretarz redakcji a zarazem autor artykułu z pierwszej strony „Przyspieszenie — Państwo — Konstytucja” przedstawia się jako rzecznik państwa prawa. Dużą jednak rolę przywiązuje do koniunktury politycznej. Zauważa, że gdzieś w pół roku po powstaniu rządu Mazowieckiego (czyli po rozwiązaniu się PZPR) „układ mógłby zostać zmieniony, ale jego zmiana, czyli demokratyczne wybory, oznaczałaby rzucenie trudnego programu Balcerowicza na zer politycznych namiętności i demagogii, które stanowią nieodłączny element kampanii wyborczej — czy się nam to podoba czy

nie”. Mniejsza o to, że uważam opis sytuacji politycznej sprzed paru miesięcy za fałszywy — przypuszczenie, że ci sami ludzie, którzy spokojnie znosili wyrzeczenia narzucone przez Balcerowicza zbuntowaliby się mając na dodatek możliwość demokratycznego wyboru 100% reprezentacji, że nagle by się zbiesili, jest całkowicie dowolne. Prosiłabym nade wszystko by nie odłączać z taką swobodą procedur demokratycznych od państwa prawa. Pan Graczyk chciałby, żeby obecny sejm w spokoju mógł jeszcze uchwalić budżet, pakiet ważnych ustaw gospodarczych oraz konstytucję. Podobne poglądy wyraża zresztą przewodniczący OKP profesor Geremek. „Nie wydaje się — powiedział 14 września Geremek — żeby parlament, który uchwalił 100 ustaw zmieniających ustrój nie miał legitymacji do uchwalenia Konstytucji”.

Ten sam numer *Tygodnika Powszechnego* przynosi artykuł Andrzeja Romanowskiego, autora znakomitej pracy o Eugeniuszu Kwiatkowskim drukowanej przed paru laty w *Znaku*, współautora antologii cytatów „Skrzydlate słowa”. Romanowski opisując debatę sejmową z 20-21 września br. poświęconą kalendarzowi politycznemu i przyszłym wyborom zatytułował swój tekst: „Ten sejm jest chory!”. „Zaczął się od awantury wywołanej wystąpieniem posła Włodzimierza Cimoszewicza, wygłoszonym w imieniu Klubu Lewicy. Tupet i arogancja połączona z niezwykłą wręcz ciasnotą myślenia politycznego były w istocie nieprześcignione”. Gdyby *Tygodnik* wcześniej interesował się sejmem poseł Cimoszewicz czy posłanka Sierakowska już dawno byłiby w nim opisani. 65% posłów mianowanych nie ma najmniejszej ochoty opuszczać sejmu. Nie dość ważny wydaje się natomiast zarzut, że nie potrafią przemawiać. Z lektury sprawozdań sejmowych Bernarda Singera, wydanych w „Bibliotece Kultury” w r. 62, pod tytułem „Od Witosa do Sławka” i wartych dzisiaj przypomnienia wynika, że i przed wojną się to zdarzało. Ważniejsza wydaje się ocena owych stu ustaw. W marcu sejm uchwalił ustawę o prokuraturze. „Była ona rezultatem wielkiego kompromisu” — powiedział dziennikarce *Tygodnika Solidarność* pierwszy zastępca Prokuratora Generalnego Aleksander Herzog. W rezultacie tej ustawy spośród 3.164 prokuratorów odwołano 304 a w Prokuraturze Generalnej spośród 114 — 37. W Stalowej Woli urzęduje ten sam prokurator Skrzyński, który przez tubę wzywał robotników w 88 roku do przerwania strajku a potem ich przesłuchiwał. Trudno sobie wyobrazić, że mieszkańcy Stalowej Woli mają dziś najgłębsze przekonanie iż żyją w państwie prawa.

Ja sama mam najwięcej pretensji do tego parlamentu za uchwalenie, że żyjemy już oto w Rzeczypospolitej a nie w realnym PRL-u. Ten arbitralny manewr językowy dosyć utrudnia opi-

sywanie różnic między lepszym a gorszym. Z dnia na dzień przewodniczący Stowarzyszenia Dziennikarzy PRL stał się Przewodniczącym Stowarzyszenia Dziennikarzy RP. W redagowanym przez niego *Przeglądzie Tygodniowym*, jak w każdym piśmie, pojawia się solidna porcja materiałów o historii komunistycznej opresji — ostatnio były to ciekawe artykuły o sowieckich oficerach noszących polskie mundury. Opisując hochsztaplera z Łodzi, który założył dochodowy tygodnik, dokonujący wyłącznie pirackich przedruków z pozostałej prasy, nie omieszkało w *Przeglądzie* dodać, że ów p. Kuliś był poprzednio redaktorem działu partyjnego w miejscowej gazecie. Ponieważ puszczono w obieg przez zajadłego Piotra Wierzbickiego słowo lewicowiec jako obelga natychmiast się przyjęło, tyle że ma ono dziś oznaczać zarówno Jerzego Turowicza jak generała Kiszczaka, a nikt już nawet w najprzyzwoitszych pismach nie mówi o komunistach, nie sposób — biorąc pod uwagę tematy czy język — odróżnić czy pismo jest ich, czy nasze. Dopiero gdy chodzi o interesy widać gdzie są oni. Interesy bywają bardzo rozmaitego kalibru. Przykładem ścisłej lojalności wobec swoich może być jaskrawo stronnictwo zreferowanie w *Przeglądzie Tygodniowym* sprawy sądowej Andrzeja Skoczylasa, plastyka umiarkowanego talentu, którego szczyt kariery przypadł na okres stanu wojennego, przeciw krytykowi Andrzejowi Osęce. Jak zauważa Andrzej Romanowski, poseł Cimoszewicz chwalił za zbieżność stanowiska Andrzeja Micewskiego a posłowie PZKS — co oznacza chyba Polski Związek Katolicko-Społeczny, którego koncesja wygasła, prześcigali się w czołobitności wobec Lecha Wałęsy.

Nadal jest w użyciu słowo kluczowe dla opisu życia w PRL: na zapleczu. Zawsze szwankowała moja narracja ilekroć opowiadając cudzoziemcom o naszym życiu codziennym, chcąc być w zgodzie z prawdą, nie mogłam ominąć zdania: i wtedy pani kierowniczka udała się na zaplecze. Jak to oddać po angielsku? po francusku? Ostatnio — czytam w *Przeglądzie Tygodniowym* — gdy gość zagraniczny zamówił wino w lokalu Stowarzyszenia Architektów na Foksal przyniesiono mu kieliszek wina nalanego na zapleczu. Moja córka była na ślubie kościelnym koleżanki. W pewnej chwili pan młody, już w świątyni oświadczył rodzinie, że jeszcze musi na chwilę zająć na zapleczu i skierował się ku zakręsti.

W tym samym numerze *Tygodnika*, w którym piszą Graczyk i Romanowski jest też długa rozmowa z Ryszardem Bugajem. Poseł Bugaj przyznaje się do orientacji lewicowej. Nie jest to mój wybór ale budzi moją sympatię, gdy ktoś niepodejrzany o komunizm przyznaje się do lewicowości. Bugaj przedstawia całej formacji solidarnościowej poważną propozycję: „Być może należałoby uzgodnić, że nie wchodzimy w żadne sojusze

ze zorganizowanymi siłami postkomunistycznymi. Z żadną z nich. Podkreślam — z żadną, bo dotyczyć to powinno również dawnych aliantów PZPR”. Kraj w którym zamiast internować będzie się komunistów nazywać, używając jasnych słów, w którym będzie godna swych nazw prawica i lewica, przy czym na skrajnej lewicy znajdzie się senator Jan Józef Lipski, będzie — moim zdaniem — zasługiwał na nazwę Rzeczypospolitej. Jan Józef Lipski znajdzie się na skrajnej lewicy skoro pan Fiszbach deklaruje pełne poparcie dla kandydata Wałęsy, stając w ten sposób na prawo od Lipskiego. Nie mam zresztą nic przeciw udziałowi zacnego komunisty Fiszbacha w życiu publicznym. Zwrócił moją uwagę jeszcze przed wydarzeniami na wybrzeżu publikując w *Polityce* w czerwcu 1980 bardzo ładnie napisany artykuł na święto morza z dobrymi cytatami z Żeromskiego. To dobrze też, że będąc sekretarzem partii nie przeszkodził w szykanowaniu pani Walentynowicz ułatwiając w ten sposób rozwój przez sprzeczności.

Ostatnie nakazy prokuratorskie wydane w sprawach przestępców w randze generałów pozwalają sądzić, że przyspieszenie i państwo prawa nie muszą być wartościami konfliktowymi i że to co się pisze w gazetach może mieć znaczenie w polityce. Dlatego miałabym jeszcze ochotę przepisać gorzki artykuł Mirosława Chojeckiego na temat polskiej polityki zagranicznej „Murem do Europy” — *Tygodnik Solidarność* nr 39 z 28 września. Bardzo rzeczowe analizy, niemal studia na temat polityki zagranicznej, zawierające ostrą krytykę dalszego pozostawiania Polski w Układzie Warszawskim, ogłosili także: Jan Rylukowski w *Tygodniku Solidarność* nr nr 37 i 38 oraz Artur Hajnicz w *Po prostu* nr 31. Chociaż oba pisma nie darzą się wzajemną sympatią, w tej kluczowej sprawie ich stanowisko jest identyczne. Po tych artykułach mam ochotę nadal czytać tak irytującą polską prasę.

Zofia ZIEMIĘCKA

Stajemy się powoli narodem żebraków, którzy z polskich perypetii lat ostatnich wysnuli wniosek, że „należy się” nam od świata nie tylko szacunek, lecz przede wszystkim gotówka i używana odzież. Zebranina jest dziś stanem normalnym. Nie są to retoryczne oskarżenia, lecz ponure wnioski z lektury listów, których kilkadziesiąt miesięcznie (ostatnio ponad sto) trafia na biurko redaktora *Nowego Dziennika*, wydawanego w Nowym Jorku przez Bolesława Wierzbiańskiego. Listy od czytelników i przypadkowych osób, które zdobyły nowojorski adres, każą przewartościować oficjalne sądy o moralnych przewagach Polaków. Lepiej niż rozmowy i obserwacje, te intymne prośby i błagania oddają stan ducha narodu latem 1990 roku. Korespondencja przychodząca z kraju jest lekturą zbyt dojmującą, by dało się ją zbyć wzruszeniem ramion czy słowami, że „i tacy ludzie się trafiają”. Zbyt duża jest skala i powszechność zjawiska.

Zanim przejdziemy do przedstawienia fragmentów tej bogatej korespondencji (oczywiście cytowanej anonimowo), kilka słów wyjaśnienia. Otóż część listów do *Nowego Dziennika* i dziesiątków podobnych instytucji na Zachodzie dotyczy kwestii gardłowych: ratowania chorego dziecka, zbiórki na specjalistyczną operację etc., przy czym nadawcy załączają dokumentację, świadectwa lekarskie, opinie wiarygodnych osób czy urzędów. W takich wypadkach *Nowy Dziennik* reaguje, czasem — gdy inne metody zawodzą — publikując listę osób najbardziej potrzebujących, pod rozważę czytelników w USA, którzy postąpią według własnego uznania. Jednak ogromna większość to listy z rozmaitych względów odrzucane; te właśnie chciałbym tutaj przedstawić. Zachowałem pisownię oryginałów, wybierając najbardziej znaczące fragmenty, a często obywając się bez skrótów. Oto część dwumiesięcznej porcji listów do Ameryki z lata 1990 roku.

Sprawy i troski

Ameryko, pomóż, bo ciężko

Część pierwsza: rozpacz

Dzień dobry!

Mam 22 lata i dwoje małych dzieci (2 lata, 3 miesiące). Mieszkam w Polsce. Żyję na skraju nędzy. Błagam z całego serca o jakąkolwiek pomoc! Mój adres: [tu adres]

List przyszedł z małego miasteczka i w największym skrócie oddaje treść mnóstwa podobnych wezwań. Wiek nadawcy nie jest bez znaczenia. Można by się spodziewać, że wśród osób proszących o pomoc będą przeważali emeryci, tymczasem większość korespondencji pochodzi od ludzi młodych, w wieku od 20 do 40 lat. Najczęściej też, jak powyżej, uzasadnieniem prośby o datkę są po prostu słowa: „Mieszkam w Polsce”.

Listy takiej i podobnej treści są oznakami rozpaczliwych. Co jednak uderza w nich najbardziej, to naiwna (bo czym uzasadniona?) wiara, że wołanie nie przejdzie bez echa. Może to ślad działalności UNRRA, kiedy to paczki „z Ameryki” zjawiały się niczym dar dobrej wróżki, może echo „zrzutów” z lat stanu wojennego, gdy w niejednej parafii ksiądz proboszcz musiał rozdawać, prócz nauki moralnej, zachodni ser i używaną odzież. Faktem jest, że nadawcy listów uważają swoje prośby za oczywiste w swej słuszności:

Prosimy was o pomoc!

Prosimy przysłać nam ubrania:

dla męża na wzrost 1.80 (szczupły)

dla mnie (kobieta) na wzrost 1.60 (szczupła)

oraz dzieci (dziewczynki) 1 rok i 4 lata.

Prosimy was o płaszcze, kurtki, spodnie, sukienki, bluzki, swetry, buty zimowe i letnie nr 42 (męskie) i nr 37 (damskie).

Co ciekawe, drukowana wyżej prośba przyszła na kartce pocztowej. Nadawcy (w tym wypadku mieszkańcy wsi) wydają się przekonani, że Ameryka to rodzaj skrzynki życzeń. Proś o co chcesz, Ameryka przyśle, bo, po pierwsze, ma, a po drugie, polskie koleje losu są jej doskonale znane.

Do Rodaków z Polski

Zwracam się do was moi drodzy gdyż zmusiło mnie do pisania tego listu aż za Ocean do waszej Organizacji Polonijnej. Ponieważ mam dużą prośbę o wsparcie mnie finansowe albo jakiegokolwiek. Gdyż jestem w bardzo trudnej sytuacji, od dwóch lat nie starcza mi żeby kupić nawet bieliznę osobistą a nie mówiąc już o rzeczach ubraniowych. I właśnie w tym celu piszę żeby wasza organizacja pomogła mi jeśli istnieje. A jeśli nie istnieje, to mój list kto przeczyta z Polaków niech odda w takie ręce, która da mi pomoc.

Wiary wiejskiego nadawcy w skuteczność prośby nie zakłóca nawet jego sceptycyzm co do istnienia adresata. Adresy, wiadomo, zmieniają się, ale przecież tam, za oceanem, także są Polacy, którzy pomogą w potrzebie. Potrzeby są zaś najrozmaitsze, od butów dla męskiej części rodziny po cegły i zaprawę murarską:

Szanowni państwo.

Rozpowszechniony jest u nas w Kraju Wasz adres jako instytucji która udziela rodakom pomocy materialnej. Na tej podstawie ośmielałam się pisać do Was z gorącą prośbą o wsparcie w krytycznej sytuacji mojej rodziny. Z największym trudem zapewniam dzieciom wyżywienie ale nie stać mnie na buty. Dlatego bardzo proszę, jeżeli to możliwe o przysłanie moim chłopcom butów:

- 1) długość stopy 44 cm — szeroka,
- 2) długość stopy 43 cm — normalna,
- 3) długość stopy 45 cm — normalna.

Może jeszcze dla mnie znalazłaby się para butów na jesień. Mam stopę długości 40 cm, szeroka, i muszę nosić płaski lub bardzo mały obcas. Bardzo będę wdzięczna za pomoc.

Oto inny list:

Kochani!

Piszę do was z wielką prośbą o pomoc bez której się nie obejdę. Mam 27 lat jestem matką pięciorga dzieci i żoną. Mąż mój lubi zaglądać do kieliszka jesteśmy w trudnej sytuacji materialnej. 8 lat wystawialiśmy dom, ciężko to szło ale stoi w surowym stanie, nie ma za co wykończyć. Mieszkamy u rodziców, ja jestem wykończona nerwowo. Może przyślecie mi coś z odzieży, buty.

List przyszedł z małego miasteczka, w odróżnieniu od następnego, którego nadawczyni mieszka w centrum wielkiego miasta w zachodniej części kraju:

Bardzo proszę o pomoc.

Zwracam się z prośbą o pomożenie nam jesteśmy w ciężkiej sytuacji materialnej i finansowej. Brakuje nam prawie wszystkiego. Wszystko się wydziera, a u nas nie ma pieniędzy. Nie mamy pralki ani lodówki. Nawet telewizor miałam Ruskiej produkcji ale się popsuł i nie mogę go naprawić bo nie ma części do niego. Ja jestem inwalidką 1-szej grupy, jestem schorowaną kobietą, przeszłam 13 operacji jamy brzusznej spowodowanej niedrożnością jelit, jestem z córką, która się mną opiekuje.

Autorzy 80% listów jako uzasadnienie swojej prośby piszą po prostu, że „jest im ciężko”. Rzadko kiedy posuwają się poza to proste stwierdzenie.

Prosiłabym o zamieszczenie ogłoszenia w Waszej gazecie. Mam 20 lat, jestem sierotą i mieszkam z siostrami u babci. Warunki mieszkaniowe nasze są ciężkie. Zostałam zwolniona z pracy. Chciałabym się usamodzielnic i kupić sobie mieszkanie, ale nie mam pieniędzy. Proszę o odpowiednio sformułowanie mojego ogłoszenia. Rodacy pomóżcie sierocie z Polski — jeśli możecie. Z góry dziękuję!

A oto drugi list podobnej treści:

Szanowny Prezydencie!

Jesteśmy jedną z tych rodzin w Polsce, której ciężko jest żyć, ciężko związać koniec z końcem. Trudno za jedną skromną pensję cokolwiek kupić. Może znajdują się jacyś dobrzy ludzie, prawego serca, którzy będą mogli i chcieli pomóc.

Rekompensatą za ich pomoc dla nas będą nasze listy z podziękowaniem, serdeczne i pełne miłości bliźniego, który wierzy w człowieka, jego dobroć i szlachetny charakter.

W liście pierwszym sierota nie podaje bliższych okoliczności zaistnienia trudnej sytuacji. Mechanizm myślowy jest, podobnie jak w innych epistołach, bardzo prosty i daje się streścić słowami: jest ciężko — nie mam pieniędzy i nie potrafię sobie dać rady — pomóżcie, bo zginę. Dlaczego to „rodacy z Ameryki” mają dopomóc w potrzebie? Prawdopodobnie dlatego, że Polonia to ulepszony gatunek Polaków, posiada bowiem dolary, a zarazem nadal władza polszczyzną, a więc łatwiej przemówić jej do serca niż zwracając się do Amerykanów, którzy po polsku nie mówią wcale.

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus. Szanowna Polonia — rodacy serdecznie pozdrawiam was z wolnej Polski i chciałbym zamienić z wami parę słów oraz prosić was o pomoc jaką możecie mi okazać. Mam 31 lat, żona 27 lat, mieszkamy na wsi z trojgiem dzieci. Ja pracowałem w państwowym zakładzie, a obecnie jestem na urlopie bezpłatnym, gdyż zakład posłano do likwidacji i pomagam żonie na gospodarstwie, gdyż nie mogę znaleźć pracy.

List ten pochodzi z okolic, które zwano dawniej „głuchą wsią”, dopóki określenie to nie zaczęło pasować do wszystkich bez wyjątku części kraju. Oto podobna próbka z miasta:

Zwracam się z uprzejmą prośbą o udzielenie mi pomocy materialnej na zakup mebli i ogólnego sprzętu gospodarczego do domu mego, bo te które posiadam doszczętnie się rozpadły że w ogóle nie nadają się do remontu, jednocześnie pragnę prosić o pomoc materialną na zakup odzieży letniej i zimowej, oraz na skromne wyżywienie, lub przyjmę udzieloną mi pomoc odzieżową i żywnościową, pomoc odzieżową na rozmiar wzrostu 176 cm,

obwód klatki piersiowej 105 cm, buty letnie i zimowe na rozmiar 28. Proszę swą uzasadniać, że doznałem ciężkich obrażeń ciała i zmiążdżenia nogi po przejechaniu mnie samochodem w dniu 7.7.1985 roku. Pomocy z żadnej strony nimam w swoim Ojczystym Kraju.

Czasem więc trafia się list, w którym prośba wsparta jest mniej lub bardziej chwijną motywacją.

Jesteśmy z Polski, mieszkamy na wsi. Pracujemy wraz z mężem w Państwowym Gospodarstwie Rolnym. Zarobki nam nie wystarczają na utrzymanie domu. Dwóch synów uczy się w szkole zawodowej, jeden w podstawowej. Zmuszeni jesteśmy przeznaczać większą część zarobków na naukę. A na utrzymanie domu zostaje nam niewielka ilość pieniędzy. A zatem mamy prośbę, w miarę możliwości, o wspomóżenie nas.

Apele o żywność i obuwie, choć dramatyczne, nie dorównują jednak prośbom o pomoc w znalezieniu dachu nad głową. Mieszkanie to cel, który uświęca wszelkie środki, przynajmniej w odczuciu piszących, którzy uważają, że w tym wypadku pomoc z Ameryki jest czymś wręcz oczywistym. Bezdomni na ulicach miast USA to wymysł propagandy — a w Polsce tymczasem ciężkie czasy.

Bracia Polacy, piszę bo potrzebna mi wasza pomoc. Proszę, błagam, pomóżcie polskiej rodzinie uzbierać na mieszkanie. Jesteśmy biedną rodziną. Co zarobimy wystarcza na chleb. Mieszkamy w pokoju 21 metrów w 5 osób. Cały czas marzyliśmy i czekaliśmy 12 lat w kolejce na mieszkanie, myśleliśmy że w końcu kiedyś uzbieramy. Ale teraz już koniec. Mieszkania są prosto nie dla biednych rodzin. Z rozpaczą i łzami musimy ustąpić z kolejki bogaczom. Dla nas zostaje ten nasz pokój.

Podobne, choć spokojniejsze wezwanie przyszło na kartce pocztowej:

Proszę Was o pomoc o przysłanie nam 1.000 dolarów ponieważ chcemy kupić materiał na budowę. Bo to co mąż zarabia to nie wystarcza na jedzenie i chcemy się budować bo mamy 2 dzieci i z trzecim chodzę w ciąży. A drugie że jest bardzo dużo osób w domu. Serdecznie dziękujemy z góry.

Piszę do Was Kochani ponieważ pragnę nawiązać kontakt z Polonią. Być może z waszą pomocą będę mógł zaprzyjaźnić się z Polakiem, z Polką na obczyźnie. Dowiedzieć się jakie są tęsknoty za Krajem Ojczystym.

Jestem Polakiem z krwi i kości, niemłody, kraju nie opuszczam na długo, wiem że czasem się tęskni do miejsc ukochanych. Być może będzie ktoś, kto chciałby, aby mu przysłać

zdjęcia rodzinnych stron, lub przysłać grudkę Ziemi Ojczystej. Spełnię też inne życzenia. Kończąc żegnam Was serdecznie Kochani. Pamiętajcie, że jeszcze POLSKA nie zginęła...

List ten pisany jest na maszynie i stanowi argument przeciwko tezie, że korespondencyjna żebrania jest domeną ludzi ciemnych i niewykształconych. Fakty wskazują na coś wręcz przeciwnego: im wyższy poziom wykształcenia nadawcy (w czym można się zorientować po ilości błędów i stylistyce listu) tym większy upór i stanowczość prośb.

Część druga: cwaniacy

Szanowna Redakcjo!

Jestem człowiekiem bezdomnym, obecnie szaleje inflacja [pisane 9 lipca 1990], do kupna mieszkania brakuje mi 4.500 dolarów. Bardzo Was proszę o znalezienie ofiarodawców na ten cel, każdemu z nich wyślę upominek z Polski, lub zaproszenie do mieszkania, które przy ich pomocy kupię. [...] Bardzo proszę was i ludzi o dobrym sercu o udzielenie mi pomocy. Interesowałem się zawsze USA i wiem że ludzie ci nie są obojętni na czyjaś niedolę.

Kończąc ten krótki i wstydlivy dla mnie list przesyłam Wam i wszystkim ludziom dobrej woli chrześcijańskie pozdrowienie, z Bogiem bracia i siostry, będę się za Was modlił.

P.S. Jestem gwarancją uczciwości.

List ten nadany został z dużego miasta. Brak w nim oczywiście argumentów tłumaczących, dlaczego właściwie amerykański adresat miałby ofiarować 4.500 dolarów młodemu człowiekowi, który nie jest inwalidą. Zasada „należy się” ma jednak wiele postaci, z których nie ostatnią jest domaganie się świadczeń w zamian za dobre uczynki:

Jestem współorganizatorem „KLUBU CHRZEŚCIJAŃSKO-SPOŁECZNEGO” w związku z powyższym jestem zainteresowany otrzymaniem gratis:

- jednego lub kilku egz. Waszego pisma,
- ewentualnie pomocy materialnej,
- nawiązaniem bliższej korespondencji z Polonią Amerykańską.

Oczekuję na odpowiedź oraz ewentualnie pomoc j.w. przesyłam serdeczne pozdrowienia.

Nadawcy wszystkich tych listów nie są oszustami. Nie liczą na to, że uda im się wykorzystać ludzką naiwność. Przyswieca im natomiast zasada równej dystrybucji dóbr i dochodów. Ci, którzy mają więcej, powinni dzielić się z tymi, którzy mają mniej.

Panie Redaktorze!

Proszę o zamieszczenie w swoim dzienniku poniższego ogłoszenia.

„Jeżeli chcesz pomóc mi w wyjściu z kłopotów finansowych oraz postawić moją rodzinę na nogi to przyslij 5 dolarów na adres: [tu adres w małej miejscowości pod Warszawą].

Mam kłopoty finansowe związane z pożyczką jaką zaciągnąłem przed powołaniem do wojska. Obecnie kończę służbę wojskową i będę musiał spłacić moich wierzycieli. Jednakże przez dwa lata długi moje wzrosły. Przyczyną tego był wzrost cen oraz postępująca inflacja. Obecnie potrzeba mi około 100.000.000 złotych tj. około 10.000 \$. Jeżeli nie spłacę długu do końca roku mogę mieć kłopoty prawne, a tego jednak chciałbym uniknąć. Z poważaniem, [podpis]”.

Szczęśliwy to kraj, w którym poborowy może beztrudno zadłużyć się na setki milionów. Datek, o który prosi nadawca to 5 dolarów, czyli tyle co nic. Nie powinien więc przeszkadzać ofiarodawcom fakt, że proszący nic w zamian nie obiecuje.

Apel o dolara

Jestem katolickim dziennikarzem od lat opiekującym się Domem Pomocy Społecznej dla Dziewcząt Upośledzonych Fizycznie i Umysłowo w N. Zakład ten od 40 lat prowadzą Siostry Zakonne Samarytanki Krzyża Chrystusowego, których poświęcenie i heroizm był podziwiany nawet przez komunistów. Ta placówka opiekuńcza boryka się z różnymi kłopotami, które przy pomocy Bożej zakonnicę rozwiązują. Blisko 100 dziewcząt upośledzonych, jak również opiekujące się nimi zakonnicę marzą o kolorowym telewizorze i magnetowidzie, które to aparaty rozweseliłyby życie tak doświadczonych dziewcząt. Mogłyby przecież oglądać filmy religijne, bajki i inne, pozwalające im rewalidować. [...] Stąd moja serdeczna prośba do Państwa, zechciejcie na ten piękny humanitarny cel ofiarować choćby jednego dolara. Jeśli ofiarność będzie większa, oprócz telewizora i magnetowidu kupimy urządzenia rehabilitacyjne, słodczyce i owoce cytrusowe. Dolara można przesłać w kopercie zaadresowanej na mój adres, zaś większe sumy można wpłacić na moje konto dolarowe (Siostry zakonne nie mają konta dolarowego, dlatego ja im na ten Boży cel udostępniam).

Może się zdarzyć, że zakład, o którym mowa, naprawdę istnieje. Dlaczego jednak „katolicki dziennikarz” nie dokumentuje tego zaświadczeniem z Kurii czy choćby wycinkiem swojego artykułu na ten temat? Skąd przekonanie, że upośledzonym dziewczętom pomoże właśnie video, ważniejsze niż zepchnięte na margines „urządzenia rehabilitacyjne”?

Uprzejmie prosimy o umieszczenie naszego ogłoszenia w waszej gazecie: „Katolickie małżeństwo czterdziestolatków (pedagogy) zapewnia (notarialnie) osobom starszym pragnącym wrócić do ojczyzny za jednorazową wpłatę 250 tys. USD do końca życia wszystko za darmo. M.in. komfort — mieszkanie, pełna utrzymanie (ważne dla osób bez renty) oferta dotyczy max. 2 osób.

Z serca — opieka i traktowanie jak członków rodziny, raj na jesień życia. Jesteśmy uczciwi — reszta w liście. Zapraszamy.

Jak widać, prośby osiągają rozmaity zakres: od suplik o parę butów zimowych po ofertę podzielenia się sumą ćwierć miliona dolarów w zamian za dożywocie u katolickiej rodziny w wielkopolskim miasteczku.

Część trzecia: coś za coś

Dzień dobry! Niedawno od jednego inwalidy w Polsce otrzymaliśmy adres Waszej redakcji. Jesteśmy trzysobową polską rodziną, która znalazła się w kłopotach finansowych z powodu zamknięcia zakładu w którym razem pracowaliśmy. Z zadowoleniem przyjmujemy zmiany zachodzące w naszym kraju ale najbliższy okres jest dla nas i dla innych rodzin w Polsce pełen obaw. Prosimy o zamieszczenie ogłoszenia w celu otrzymania używanej maszyny do szycia typu overlock: odwdzięczymy się sercem i umiejętnościami.

List przyszedł z dużego miasta. Wprawdzie brak w nim konkretnej wizji „odwdziżenia się umiejętnościami”, lecz dobre chęci to już coś. Innym rozwiązaniem problemów życiowych, choć stosowanym wśród nadawców nader rzadko, jest oferta podjęcia pracy na Zachodzie. Oto dwa typowe listy do redakcji w tej sprawie:

Zwracam się z ogromną prośbą do Waszej organizacji o przysłanie mi formularza w celu podjęcia pracy zorganizowanej przez Wasze firmy. Mam 33 lata. Ukończyłem kursy: kurs zwrotniczego i kurs pilarza. Mogę też wykonywać wszystkie inne prace zlecone przez Waszą firmę.

Listy takie jak nadesłany przez trzydziestotrzyletniego pilarza przywodzą na myśl pionierskie lata polskiego osadnictwa w Ameryce, kiedy lądujący na Ellis Island wyrobnicy mieli do zaferowania jedynie swoje dłonie zdadne do „wszystkich prac”. Ta sama jest też, co przed stu laty, nieznamość realiów świata. W kolejnym liście nadawca posuwa się dalej, powołując się mianowicie —

jako na tytuł do zatrudnienia — na swoją „kombatancką” przeszłość.

Szanowni Państwo.

Zwracam się z uprzejmą prośbą o zatrudnienie mnie do jakiegokolwiek pracy. Obecnie pracuję na stanowisku dyżurnego ruchu na kolejach Państwowych. Mam także kwalifikacje murarza. W latach 1977 do roku 1980 pracowałem w Hucie Katowice ale przez stan wojenny zostałem za działalność związkową zwolniony. Od tego czasu odczuwamy skutki tamtych czasów. Serdecznie proszę o pomoc.

Oczywiście o wiele większą szansę sukcesu mają ci, którzy zamiast wyruszać w nieznane do Ameryki, zapraszają Amerykę do siebie. Znajomość własnego terenu jest przecież atutem o wymiernej wartości przetargowej:

Dowiedziałem się, że drukujecie w swojej gazecie bezpłatne ogłoszenia dla Polaków. Otóż najpierw powiem coś o sobie. Mam 50 lat, wyższe wykształcenie. Lekarze orzekli, że muszę być w ciągłym ruchu. Pracować nie mogę, bo według naszych przepisów rencista na II grupie inwalidzkiej pracować nie może. W oczy zagląda więc bieda. Pomyślałem, iż mógłbym załatwić dla Polaków zamieszkujących poza granicami kraju różne sprawy za niewielką, symboliczną opłatą. Ogłoszenie: Wytnij, zachowaj! Rencista, uczciwy, dyskretny załatwi ci sprawy w N. i okolicy bez Twojego przyjazdu. Zaoszczędzisz cenny czas i pieniądze.

Rencista nie pisze wprawdzie, co rozumie przez „symboliczną opłatę” ani też jakie sprawy „potrafi załatwić”, lecz należą mu się brawa za konkretną inicjatywę. Nie wiadomo tylko, co sądzić o zapewnieniach na temat „dyskrecji”.

Najrzadsza w tych listach do redakcji okazuje się konkretna inicjatywa. Oto nieszczyśny rodzynek w postaci oferty ze strony początkującego biznesmena:

Piszę z Polski. Nie mając nic do stracenia a dużo do zyskania postanowiłem zaryzykować i napisać. Jeśli to nie sprawiłoby kłopotu to mam prośbę o zamieszczenie bezpłatnego ogłoszenia:

Jak przyrządzić pyszne drożdżówki bez kropli tłuszczu?

Jak przygotować blok kakaowy?

Jak czyścić pierze?

Chemiczne sposoby odzysku srebra i złota.

Jak sporządzić żywą i martwą wodę, która leczy różne schorzenia?

Jak spać aby dobrze wypocząć?

Skuteczna i bezpieczna utylizacja substancji toksycznych i promieniotwórczych.

Jak czerpać energię z bezpłatnego reaktora?

Myśli wybitnych ludzi, dzięki którym można odzyskać pogodę ducha.

Naturalne odruchy organizmu, które poprawiają samopoczucie.

Jak sporządzić eliksir piękności Królowej Jadwigi?

Jak utrzymać kobietę przy sobie?

Jak wykonać pułapkę na 10 myszy naraz?

Jak wykonać pułapkę na kreta?

Nowy sposób rozkoszy mężczyzn.

Podaj imię, powiem jakie jest jego znaczenie.

Chcesz poznać? Napisz. Jeden sposób 2 \$. Całość 30 \$, w kopercie, na adres: [tu adres]

Można jednak mieć obawy, że jedyną osobą, która naprawdę skorzysta na serii porad, będzie nieuczciwy listonosz, rozpruwający bez skrpułów koperty z amerykańskim znaczkiem w poszukiwaniu cennych dolarów. Szkoda, bo przy całej fantastyczności pomysłu autor ostatniego z listów najbardziej zbliżył się do zachodniego sposobu myślenia. W zamian za konkretną kwotę oferuje on konkretny towar (informacja jest, jak wiadomo, takim samym towarem jak inne) i zamiast pisać, że „jest ciężko”, proponuje nam atrakcyjną transakcję. Ten styl myślenia należy do przyszłości, która spełni się dopiero w chwili, kiedy dorosną i zaczną działać dzieci, obecnie znające na pamięć (w pierwszych klasach szkoły podstawowej) ceny „resoraków” (blaszanych modeli samochodzików) w Hongkongu, Dubaju, Hamburgu i na Bazarze Różycykiego. Dzieci wiedzą już, jak tanio kupić i drogo odsprzedać. Do nich należy królestwo polskiego kapitalizmu, które, być może, nadejdzie. Jednak dla typowego polskiego *homo economicus* właściwa jest inna postawa, wprost z melancholijnego listu zamykającego niniejszą prezentację:

Bardzo przepraszam za śmiałość w liście. Mieszkam w centrum Polski, małe miasteczko. Jestem żonaty, mam dwie 15-letnie córki. Mamy nadzieję, że kiedyś tutaj zmienią się na lepsze lecz teraz jest bardzo ciężko żyć. Mamy jedynie wolność słowa. To i tak dużo. Bardzo bym prosił o ile istnieją możliwości pomocy w postaci odzieży lub żywności.

Amerykańskie przysłowie mówi: „Jeżeli ktoś się potknie, należy go podnieść, ale nie należy przez resztę życia nosić go na rękach”. Nie zanoszą się na to, by świat miał nosić Polskę na rękach, mimo jej niezaprzeczalnych zasług w obecnych przemianach Europy. Czy Polacy nauczą się chodzić sami, przy wszystkich trudnościach życia i niedostatkach infrastruktury, czy też przeważą nad Wisłą i Odrą

skomunizowana mentalność, nakazująca śmiało wyciągać dłoń po okruch z bogatego stołu? Tego nie wiadomo. Wiadomo tylko, że dzisiaj, 10 września 1990 roku, do *Nowego Dziennika* przyszła kolejna paczka krajowych listów z prośbami. Wiadomo, jest ciężko...

Piotr SIEMION

WAWEL

PIERWSZA POLSKA KSIĘGARNIA
w Niemczech Zachodnich

Wszystko na temat Europy Wschodniej:

- Literatura piękna i fachowa,
- Albumy, plakaty, pamiątki,
- Książki antykwaryczne.

Wydawnictwa antykwaryczne krajowe i emigracyjne
oraz książki w językach obcych.

Stephanstrasse 11, 5000 Köln, 1.

Tel.: 0221/24-61-60.

Również sprzedaż wysyłkowa.

Godziny otwarcia od 10.00 do 18.30.

Polnische Buchhandlung

KSIĘGARNIA POLSKA

Burggasse 22, A-1070 Wien, Austria

Dojazd: 13A, 48A, 49, metro U2 i U3 stacja Volkstheater

Tel. i fax: (1) 52 63 114

Konta pocztowe

Frankfurt/M. 300340 605, Wien 7227.556

Książki w języku polskim, polonica w językach obcych.

Bezpłatne katalogi na żądanie

Podróż do Kijowa

„Witam państwa serdecznie na pokładzie samolotu ukraińskiego zarządu cywilnej komunikacji lotniczej. Lecimy do stolicy Ukrainy, Kijowa. Odległość z Berlina do Kijowa 1600 kilometrów. Czas kijowski różni się o godzinę od czasu środkowoeuropejskiego i o godzinę od czasu moskiewskiego. Proszę przesunąć zegarki o godzinę naprzód”.

Takimi słowami powitała pasażerów na regularnej linii „Aeroflotu” między wschodnim Berlinem i Kijowem dość zażywna blondynka z ekipy odrzutowca typu Tupolew. Stałiśmy się więc świadkami nowego epizodu postępującej żywo ukraińskizacji. Tym razem w powietrzu. To wszystko musiało jeszcze wydawać się dziewczynie niezwykle, bo wypowiadała słowa informacji jakby sztucznie. Za to jej kolega steward w tej historycznej premierze czuł się w swoim żywiole. Mówił swobodnie, chętnie. Z szeroko uśmiechniętej twarzy widać było, że „nowe” sprawia mu przyjemność. Nam, to znaczy mnie, koledze Sysynowi z Kanady, Polakowi Andrzejowi Vincenzowi i niemieckiemu historykowi Torke z zachodniego Berlina, takie wprowadzenie do Kijowa bardzo pasowało.

Po ukraińskim komunikacie przyszła kolej na niemiecki. Do Kijowa jechało akurat wielu Niemców z wciąż jeszcze — choć już niedługo — istniejącej NRD. Rosyjskiej zapowiedzi nie było. Widocznie liczba Rosjan na pokładzie samolotu była znikoma. Trasa lotu prowadziła ponad Poznaniem, chyba Przemyślem i pomiędzy Lwowem i Iwano-Frankowskim czyli dawnym Stanisławowem, albo — jak jakiś dowiecpiś powiedział w Kijowie — „naszym San Francisco”. Śladów starej granicy na Zbruczu w postaci innych struktur przestrzennych czy osadniczych lub agrarnych nie ma, a Dniepr z jego odnogami i tak zwanym „morzem kijowskim” wygląda z perspektywy samolotu jak wiel-

Sąsiedzi

kie rozlewisko. Jego ogrom i piękno zaprezentuje się nazajutrz z Włodzimierzowskiego Wzgórza.

Ale najpierw na horyzoncie smukły łuk kijowskiego lotniska Boryspol, przypominający nieco słynne konkawy naszego rzeźbiarza Aleksandra Archipenki. Wewnątrz tłok i ścisk jak w Warszawie na Okęciu. Tylko z tą różnicą, że tu mniej kanciarzy i oszustów. Poza tym Boryspol pęka w szwach. Najwyższy czas dla stolicy Ukrainy wybudować przyzwoity, nowoczesny port lotniczy, na miarę szybko rosnącego ruchu międzynarodowego.

Kijów stale rośnie. Między Boryspolem i Darnicą powstaje nowa dzielnica mieszkaniowa. Tu na lewobrzeżnej stepowej nizinie jest jeszcze wiele miejsca. I w ten sposób potencjał stolicy przesuwają się z prawego na lewy brzeg Dniepru. Już przekroczono dwu i pół milionową poprzeczkę ludności i mimo wciąż jeszcze — w porównaniu z zachodnioeuropejską ciasnotą — imponującego rozmachu bulwarów i ulic zaczyna być ludno, zaś dalszy rozwój metra pożera olbrzymie sumy. Ze względu na specyficzne warunki gleby, ale chyba też na skutek ówczesnych poglądów na temat groźby wojny atomowej, kijowska kolejka podziemna jest chyba najgłębsza na świecie. Kiedy się zjeżdża pierwsze sto pięćdziesiąt metrów i potem drugie tyle na stacji Złotych Wrót, przybyszowi przyzwyczajonemu do półtorametrowej głębokości w Berlinie czy w Paryżu w głowie się kręci ze strachu. Do tego taśmy transportowe biegną w jakimś szalonym tempie. Kijowianie kpią sobie z naszych lęków i wchodzą na te potwory lekkim, spacerowym krokiem, nie przerywając rozmowy.

Od strony Dranicy i z mostu im. Patona Kijów wita przybysza zielenią pagórków i złotym blaskiem cerkiewnych kopuł. Nawet teraz, kiedy z owych legendarnych czterystu cerkwi pozostało tylko niewiele, można w pełni zrozumieć podziw i zachwyt podróżników arabskich, urzeczonych niezwykłą perspektywą grodu „złotych dachów”. Ale tę harmonię obrazu psuje paskudztwo z czasów Breżniewa i Szczerbickiego: potworna figura stalowej matrony z mieczem, mająca być i pomnikiem wdzięczności i symbolem groźby. Stoi to monstrum na stoku Wzgórz Peczerskich i w pierwotnym zamiśle miało być wysokie na osiemdziesiąt metrów, aby przewyższyć wieże i krzyże Peczerskiej Ławry. Zostało pięćdziesiąt metrów. Jedni mówią, że Kościół prawosławny przekupił Wuczeticza, autora tej okropności, który w epoce stalinowskiej i breżniewowskiej ponastawiał wiele takich straszdeł, między innymi również w Berlinie wschodnim, w dzielnicy Treptow. Według jednej wersji za milion rubli do własnej kieszeni rzeźbiarz obniżył swe „dzieło”. Według innej coś było nie tak jak należało i bogini miecza zaczęła się chwiać, więc musiano ją skrócić. Stoi ten pomnik nadal i straszy swoich i turystów.

Jeśli Lwów odegrał we wstępnej fazie współczesnego narodowego i społeczno-politycznego odrodzenia Ukrainy rolę swego Piemontu, to obecnie Kijów jest bezsprzecznie prawdziwą stolicą i ośrodkiem integracyjnym wszystkich ruchów i tendencji tego renesansu. We Lwowie dzieje się nadal bardzo wiele, ale mimo wszystko wpływ tej zachodniej metropolii, jeśli chodzi o promieniowanie na inne połacie kraju, jest ograniczony. Mimo ogromnych zmian, które nastąpiły w ciągu ostatniego półwiecza, dużego stosunkowo przemieszania ludności i napływu Ukraińców z centralnych i wschodnich ziem republiki, dominujący pozostał regionalno-prowincjonalny charakter tego miasta i jego zaplecza. W pewnym sensie nasuwa się porównanie z rolą i znaczeniem Krakowa w przedwojennej a może nawet i w dzisiejszej Polsce. Moim galicyjskim rodakom brakuje wciąż jeszcze owej szczypty, soli w postaci fantazji i wielkoduszności, bez której w tak dużym geograficznie i tak skomplikowanym etnicznie państwie, jak dzisiejsza Ukraina, nie sposób wytworzyć wielkich ruchów, zdalnych do przyciągania często bardzo różnorodnych sił. Rolę czynnika lwowsko-halickiego osłabia też zacieklność połączona z drobiazgowością w walce religijnej pomiędzy grekokatolikami i prawosławnymi. Elita kijowska pragnie, aby Ukraina była państwem prawosławnym, tolerującym inne wyznania, w tym również grekokatolicką mniejszość na zachodzie kraju.

Jednak kwestia odrodzenia religijnego nie jest dla stolicy Ukrainy zagadnieniem priorytetowym. Na pierwszym miejscu jest sprawa państwowości wraz z przywróceniem pamięci narodowej, następnie kwestia narodowościowa, to znaczy *modus vivendi* pomiędzy narodem ukraińskim i innymi mniejszościami zamieszkującymi te ziemie z dawien dawna. A z tym centralnym problemem wiąże się przede wszystkim kwestia przyszłych stosunków z Rosją.

Wielką zasługą Ruchu Ludowego Ukrainy było to, że jego teoretycy od razu sformułowali zasadę otwarcia wobec mniejszości narodowych, odrzucając koncepcje ukraińskiego nacjonalizmu integralnego. Już samo pojęcie „ludowego ruchu Ukrainy” a nie „ukraińskiego ruchu ludowego” stworzyło fundament pod politykę partnerstwa i równouprawnienia w stosunku do innych narodowości. Dzięki temu uniknięto konfliktu z Rosjanami, jaki stał się udziałem krajów bałtyckich. Na Ukrainie nie ma ani *Interfrontów*, ani *Interdwiżenij*, jak w trzech republikach nadbałtyckich, zaś w łonie ruchu działa wielu utalentowanych działaczy rosyjskich na rzecz demokracji i niezawisłości Ukrainy. Byłoby jednak uproszczeniem, gdybym twierdził, że nie ma żadnych kłopotów na tym polu. Z pobieżnych obserwacji przy pierwszej wizycie niepodobna było dojść do niepodważalnych konkluzji. Wydaje mi się, że sprawa stosunków rosyjsko-ukraińskich układa

się korzystniej z samą Rosją, a nawet z ogółem mniejszości rosyjskiej na Ukrainie, niż z przedstawicielami rosyjskiej kasty urzędniczej, partyjnej i wojskowej. Podczas kiedy parlamentarzyści ukraińscy pod koniec sierpnia podpisywali ze swymi rosyjskimi kolegami w Moskwie deklarację o współpracy na warunkach równouprawnienia i w duchu dwóch niezawisłych, samodzielnych republik, rosyjscy funkcjonariusze na Krymie żądali oderwania półwyspu od Ukrainy i przyłączenia do Rosji, a w Odessie działacze tego samego pokroju wystąpili z planem utworzenia odrębnej republiki „Południowych Rosjan”.

Sam Kijów jest rozpolitykowany po brzegi. Nie ma dnia, aby nie było jakiejś manifestacji, zebrań, publicznych dyskusji. Plac Rewolucji Październikowej przemienił się w stałe forum dyskusyjne. Plac ten, przylegający do głównego bulwaru stolicy Chreszczatyku i leżący *vis à vis* pagórka z ogromną figurą Lenina, i jeszcze wyżej potwornego hotelu-wieżowca „Moskwa”, gromadzi tłumy rozgadanych ludzi wszelkich zawodów i generacji. Trochę atmosfery Hyde Parku, trochę włoskich czy też greckich sporów i pogawędek. W każdym razie przybysz czuje się jak na południu Europy.

Miasto na oczach zmienia swe oblicze. Zrzuca z siebie starą powłokę sowieckiej szarości i jednostajności. Nabiera własnego kolorytu. Choć w świadomości kijowian tkwi mocno syndrom Czarnobyli, starają się tej niezabliźnionej rany strachu i niemocy wobec niewidzialnej śmierci nie ujawniać na zewnątrz. Zresztą burzliwe czasy wymagają napięcia, aktywności i ofiarności obywatelskiej. Polityka dominuje wszędzie. To, za co wczoraj prześladowano i karano, stało się chlebem powszednim. Nawet na publicznych gmachach powiewają żółto-błękitne flagi narodowe. Pod tymi sztandarami ciągną przez miasto publiczne manifestacje. Teraz chodzi o wojsko. Coraz więcej głosów matek i rodzin żąda powrotu żołnierzy ukraińskich na ojczystą ziemię. Na wiecach brzmi hasło tworzenia własnych sił zbrojnych. A pośród manifestantów coraz więcej oficerów w mundurach.

Z dala od Kijowa, na starych ziemiach kozackich, przetoczyła się ogromna fala obchodów pięćsetlecia Siczy Zaporoskiej. Pochód współczesnych pokoleń śladami swych bojowych przodków przyczynił się walnie do narodowego odrodzenia wschodnich ziem republiki.

Na długoletnich ugorach politycznych wyrastają coraz to nowe partie. Pierwsza ukonstytuowała się Partia Republikańska, wywodząca się z Ruchu Helsińskiego. Jest to ugrupowanie centrowe. Trochę na lewo od niej rozwija się Stronnictwo Demokratyczne. Istnieje socjaldemokracja, podzielona na dwa kierunki, powstała Partia Chłopska. Poważne wpływy w Kijowie i okolicach ma Partia Zielonych. Natomiast na zachodnich rubieżach

kraju powstało kilka grup — jak się zdaje — orientacji zachowawczo-nacjonalistycznej. W ogóle stosunek do ruchu nacjonalistycznego w przeszłości, do spuścizny ideologicznej OUN, jest w środowiskach młodzieżowych, zwłaszcza na zachodzie republiki, często bezkrytycznie apologetyczny. Na razie jest w tym jeszcze sporo naiwności. Ale jeśli ruchy demokratyczne nie wyjaśnią totalitarnych pierwiastków tej ideologii, może nastąpić dużo niepotrzebnego zamieszania.

Podobnie jak w krajach ościennych, przeżywających w różnych stopniach nasilenia cykl reform demokratycznych, tak też na Ukrainie brak chęci do odradzania stronnictw historycznych. Nawet we Lwowie nie przywrócono do życia partii UNDO, pomimo całego dorobku i wielkich zasług w historii i kulturze politycznej tego regionu. To samo można zaobserwować na Wołyniu. Komuniści z sukcesem wykarczowali korzenie dawnych partii politycznych, wytrzebili biblioteki ze źródeł, a na pustkowiach tworzą się nowe autentyczne układy sił politycznych, wynikające z niedawnych doświadczeń i współczesnych potrzeb.

Choć zegary Ukrainy chodzą inaczej niż w Moskwie, to jednak spod pokrywy zgody narodowej słychać już groźne pomruki społecznego buntu. To prawda, że zaopatrzenie w chleb, masło, mąkę, nabiał i tłuszcze, ziemniaki, jarzyny i owoce jest bez porównania lepsze niż w Rosji. Ludzie nie głodują, ale ceny rosną, a towarów w sklepach coraz mniej. Tymczasem reforma gospodarcza znajduje się wciąż jeszcze w powijakach, zaś centralizm moskiewskich ministerstw dusi w zarodku każdą niezależną inicjatywę ukraińską.

Sytuacja społeczna jest napięta. Niezłatwione sprawy narodowe mogą jeszcze przez pewien czas hamować grożącą eksplozję społecznych buntów. Ale niezależni politycy ukraińscy muszą bacznie uważać, aby grożąca pożoga nie wtrąciła ich i całego kraju w otchłań chaosu i anarchii. I z tej strony czas nagli do ogłoszenia niepodległości.

Tu, w Kijowie, wszystko koncentruje się na wcieleniu w życie proklamacji parlamentu z dnia 16 lipca 1990 roku o suwerenności Ukrainy. Jest to postanowienie wymiaru historycznego i jako takie stanowi obecnie fundament dla bieżących i przyszłych aktów prawnych. Proklamacja suwerenności jest postanowieniem ramowym. Wymaga wypełnienia go konkretną treścią we wszystkich dziedzinach życia państwowego. Na tle strasznego upośledzenia i nierówności w moskiewskim systemie kolonialnym odrobienie wszystkich zaległości dziejowych jest zadaniem na miarę kilku pokoleń. Niektóre, jak realizacja suwerenności ekonomicznej czy nawiązanie stosunków dyplomatycznych z zagranicą, wymagają podjęcia niezwłocznych kroków, zarządzeń i praktycznych decyzji.

Jednym z przejawów powstającej niezawisłości był kongres ukrajinistów w Kijowie. Zebrał on kilkuset intelektualistów z Ukrainy i z całego świata. W ten sposób powołana przed rokiem w Herculanium koło Neapolu Międzynarodowa Asocjacja Ukrajinistów stała się ważnym elementem przywrócenia przez długie lata zabranianych więzów nauki ukraińskiej z zagranicą. Z drugiej strony kongres kijowski stanowi ważny instrument dla tutejszych pionierów walki o pełną ukrajinizację duchową tego kraju. W ten sposób zespolono wzajemne wysiłki Kijowa i Lwowa z ośrodkami niezależnej nauki ukraińskiej na Zachodzie, głównie w Harvardzie w Stanach Zjednoczonych i w kanadyjskim Edmontonie. Fakt przyjazdu do Kijowa ukraińskich uczonych tej miary co Omelan Prycak, Jurij Szewelow i Ihor Szewczenko podniósł wydatnie znaczenie tej nowej osmozy. Drugim elementem przywracania jedności w dziedzinie nauki i kultury może się stać przywrócone do życia na Ukrainie Naukowe Towarzystwo im. Szewczenki, współdziałające z istniejącymi już od dawna instytucjami na emigracji, które przez długi czas kontynuowały tradycje tej zasłużonej placówki.

Niektórzy ziomkowie w Kijowie przeceniają znaczenie i możliwości emigracji. Odcięci przez wiele lat od normalnych związków wyrosli w mniemaniu, że jest to taka potęga, jak ją w swych groteskowych przejawach przedstawiała propaganda komunistyczna. W istocie poza wymienionymi ośrodkami naukowymi i kilkoma niezależnymi jednostkami, które indywidualnie utrzymują kontakty z elitą w poszczególnych krajach, emigracja może co najwyżej pomóc Ukrainie materialnie, i to oczywiście w skromnym zasięgu. W sensie idei politycznych emigracja ukraińska wyczerpała już od dawna swe zasoby duchowe, a to, co jej krańcowe skrzydło prawicowe — potocznie nazwane „banderowcami” — usiłuje przekazywać w fałszywym opakowaniu dla omamiania poszukujących nowych orientacji młodych ludzi, jest martwą papką, przeżutą i odrzuconą przez historię na równi ze stalinizmem-leninizmem.

Możliwe, że dla wielu weteranów niespełnionych snów o potędze i władzy, współczesny renesans Ukrainy jest czymś w rodzaju powrotu w krainę młodzieńczych porywów i zmarnowanych, nieziszczonych marzeń. Ale w tej dziedzinie na Ukrainie i w samym Kijowie panuje niestety powszechna niewiedza. Jedną z wielu przyczyn nieświadomości — ale w danym wypadku poważną — jest brak niezależnej prasy i publicystyki. Dopóki się ten stan nie zmieni, niebezpieczeństwo przenikania wszelkich mitów i legend emigracyjnych na Ukrainę pozostaje realne.

Refleksje dobiegają końca. Zbliży się chwila pożegnania. Kończy się ostatni wieczór w Kijowie. Jutro nastąpi odlot z

Boryspola w gronie smutnych, młodych kobiet, obarczonych dzieciarnią. Jadą do swych mężów pozostających w Niemczech wschodnich. Przed nimi niezbadane losy. A pod nami złocistozielony fragment stolicy Ukrainy. Lecimy na zachód. Czym jest Kijów? „Na pewno Europą” — mówi mój sąsiad, historyk niemiecki, Hans Torke. Andrzej Vincenz trochę się zastanawia, a potem potakuje.

Bohdan OSADCZUK

W sowieckiej prasie

Odliczenie 500 dni miało się zacząć 1 października, jak przy starcie rakiety kosmicznej: 500, 499, 498... 0 — i już jesteśmy w kosmosie! Program reformy ekonomicznej, zwany potocznie „planem Szatalina”, nie wszedł jednak w życie przewidzianego dnia 1 października. Podobno ma zostać wdrożony 1 listopada. Być może. Opóźnienie ma tysiące przyczyn. Na razie żadna z nich nie przestała istnieć. W przewidzianym pierwszym dniu reformy wiceprezodniczący Rady Ministrów Rosji, G. Kulik, powiedział deputowanemu do Rady Najwyższej republiki rosyjskiej, że „gospodarka w ogóle nie nadaje się dziś do kierowania”. Po takim oświadczeniu wypadałoby złożyć wszystkie pełnomocnictwa i podać się do dymisji. Wszyscy jednak zostali na swoich stanowiskach, oświadczenie zabrzmiało jak jeszcze jeden dowód, że przy *glasnosti* naprawdę wszystko można powiedzieć. Zresztą, w im czarniejszych barwach człowiek przedstawia sytuację (ekonomiczną, polityczną, społeczną, moralną), tym większy zaskarbia sobie autorytet, a przy okazji też głosy wyborców. W praktyce nie zależy to wcale od tego, co ten sam człowiek mówił wczoraj. Antykomunizm zrobił się taki modny, że komuniści stanęli na czele wszystkich akcji antykomunistycznych w ZSSR. Jest to jeden z najbardziej zdumiewających paradoksów *pieriestrojki*.

W ojczywistej *glasnosti* można dziś powiedzieć wszystko i przeciwieństwo wszystkiego. Paryski tygodnik *Russkaja mysl*, który w ostatnich latach był najlepszym źródłem informacji o perypetiach *pieriestrojki*, ogłosił 12.X. wywiad z ekonomistą Wasyliem Sieljuninem. Jeden z najbardziej konsekwentnych krytyków polityki Gorbaczowa i najpopularniejszych dziś publicystów niespodziewanie oświadczył, że wierzy w „plan Szatalina”. Jego argumenty są dziwne. „Nie możemy nie zwyciężyć — stwierdza. — Nie możemy nie wpro-

wadzić tego programu w życie, po prostu nie mamy wyboru. W przeciwnym razie po prostu znikniemy my, zniknie kraj; musimy zwyciężyć". Śmiertelnie chory człowiek może i milion razy powtarzać, że umrze, jeśli nie przezwycięży choroby, a i tak umrze, jeśli nie ma na nią lekarstwa. Czy Szatalin je ma? Sieljunin uważa, że takim zbawiennym lekiem jest prywatyzacja — niezbędny warunek gospodarki rynkowej. Uważa też, że jeżeli własność (poczynając od ziemi) zostanie sprywatyzowana, cała reszta ułoży się sama. Sieljunin zna oczywiście wszystkie argumenty, które przemawiają przeciwko jego przekonaniu: nikt nie zna ceny prywatyzowanej własności, pieniędzmi dysponują tylko tuzy gospodarki podziemnej i nomenklatura, pieniądź, który obecnie kursuje, to „drewniana moneta”, nie zaś prawdziwy pieniądź (ten może się pojawić dopiero po reformie finansów, odkładanej na później) itd., itp. Sieljunin wie być może, że zdenacjonalizowanie niewielkiej części przemysłu brytyjskiego zajęło Margaret Thatcher kilka dziesiątków lat, a Wielka Brytania nie musiała przecież tworzyć rynku.

Wasilij Sieljunin wychodzi z prostego założenia: rynek albo śmierć. Uważa, że 500 dni to „maksymalny termin, przy którym ekipa Jelcyna może liczyć na zaufanie narodu. Jeśli po pięciuset dniach ludzie nie poczują, że coś się poprawia, kredyt Jelcyna będzie wyczerpany”. Sieljunin mówi przede wszystkim o Jelcynie i RSFSR, ponieważ rosyjska Rada Najwyższa uchwaliła — nie oglądając się na Radę Najwyższą ZSSR, w której Gorbaczow nie przestaje lawirować — że plan Szatalina wchodzi w życie 1 października. Mimo uchwały Rady Najwyższej reformy jednak nie zaczęto wdrażać. Ale zegara historii zatrzymać nie sposób: dawno już zaczął tykać...

Michaił Gorbaczow, wszechwładny pan Rady Najwyższej ZSSR (którą zachodni komentatorzy bez żenady nazywają parlamentem) zdołał zapobiec przyjęciu projektu Szatalina. Amerykański ekonomista Robert Heilbroner (*Time* z 24.9) uważa, że „ostrożność” Gorbaczowa to ostrożność wytrawnego działacza politycznego, który wie, że będzie musiał się rozliczyć z wyników reformy, podczas gdy ekonomiści (Heilbroner wie co mówi, bo sam nim jest!) zawsze są gotowi zaryzykować, bo za nic nie ponoszą odpowiedzialności. Byłoby to przekonujące, gdyby Gorbaczow nie był zawsze ostrożny tam, gdzie chodzi o zmianę czegośkolwiek w sowieckich strukturach, a zarazem gotów do wszystkiego, co pozwala mu zwiększyć zakres własnej władzy. 25 września Rada Najwyższa ZSSR odłożyła na później uchwalenie reformy ekonomicznej, udzieliła natomiast prezydentowi Gorbaczowowi pełnomocnictw nadzwyczajnych.

Wydawało się, że nikt jeszcze nie miał w Związku sowieckim tak rozległej władzy formalnej, jak Gorbaczow, który jest zarazem sekretarzem, prezydentem, itd., itp. Tymczasem okazuje się, że to wszystko mało: Gorbaczow zażądał i uzyskał do marca 1992 dodatkowe uprawnienia. Oto kolejny paradoks *pierstrojki*: Gorbaczow może robić, co zechce — prawo pozwała! — ale nie wie, co

ma robić. Ma w rękę totalną władzę, z którą nie wie, co począć. *Wall Street Journal*, komentując 26.9 przekształcenie Gorbaczowa w samowładcę, zapytywał, jakie nadzwyczajne dekrety może teraz podpisać wszechmocny sekretarz: „Czy na jego rozkaz zniknie czarny rynek? Czy Władystok zrezygnuje z projektu przekształcenia tego rejonu w strefę wolnej przedsiębiorczości? Czy na rozkaz Gorbaczowa zboże samo się zbierze, zamiast zgnić na polach? Czy robotnicy zaczną naprawę pracować dla dobra ojczyzny?” *Wall Street Journal* wie, że odpowiedź na wszystkie te pytania jest negatywna. Pierwszy „nadzwyczajny dekret” Gorbaczowa zażądał, aby wszystkie przedsiębiorstwa ZSSR natychmiast wykonały zamówienia innych przedsiębiorstw. Łatwo sobie wyobrazić, jaki śmiech dekret ten wzbudził w kraju, gdzie główną więzią ekonomiczną jest wymiana w naturze: ty mnie dasz śrubkę, jak ci dam materkę, ty mnie dasz traktor, ja tobie dam mięso, itd. Wiele lat temu Bułat Okudźawa napisał wiersz, który zaczynał się od słów: „W naszym domu hula przeciąg, dach ugina się pod wiatrem...” Poeta zwracał się do majstra Griszy, symbolu klasy robotniczej „o dwu mocnych, niezawodnych dłoniach”, i prosił, żeby wyjął ręce z kieszeni. Poeta wierzył, że „on nadejdzie, wszystko naprawi...” Wielu jest dziś kandydatów do państwowej posady „majstra Griszy”. Po pierwsze ci, którzy chcą, po drugie ci, o których poeta pisał: „W kimże nadzieja jeśli nie...” W duszach ludzi sowieckich zawsze żyła nadzieja, że ktoś nadejdzie i wszystko naprawi. Niedawno *Literaturnaja gazeta* całkiem serio rozważała, czy przybysze z kosmosu nie mogłyby pomóc w *pierstrojce*. Przybysze z kosmosu to oczywiście zapasowy majster Grisza, rezerwy wewnętrzne nie zostały jeszcze wyczerpane. Ruch robotniczy zaczyna się rozwijać. Szczególnie aktywni są górnicy z zachodniej Syberii. W Kuzbasie powstał Związek Robotników Kuzbasu, działa też Rada Komitetów Robotniczych Kuzbasu (przewodniczy jej ślusarz elektryk Wiaczesław Golikow). W październiku Rada Najwyższa RSFSR przyznała Kuzbasowi status strefy wolnej przedsiębiorczości. Jest to być może początek prawdziwej nowej ery w dziejach ZSSR. Na razie jednak zjawisko ma charakter lokalny. Do roli „majstra Griszy” aktywnie pretenduje też armia, a ściślej mówiąc czynnie się ją do tego zachęca. Jak lubił mawiać towarzysz Stalin, „nie przypadkiem” Moskwa i prowincja od tygodni nie mówią o niczym innym tylko o puczu wojskowym. Wiadomości o niepojętych ruchach doborowych oddziałów wojskowych wokół Moskwy pojawiły się we wszystkich gazetach. Minister obrony, marszałek Jazow, kategorycznie zaprzeczał „interpretacjom wynikłym ze złej woli”, tłumacząc wszystko manewrami, wysłaniem żołnierzy do zbioru kartofli i przygotowaniami do parady na Placu Czerwonym z okazji 7 listopada. Im bardziej zaprzeczano pogłoskom, tym bardziej ludzie w nie wierzyli. Paniczne nastroje stały się ważnym argumentem za udzieleniem Gorbaczowowi specjalnych pełnomocnictw. On przecież jest głównym pretendentem do roli majstra Griszy. Mówiąc o pretendentach, nie

należy rzecz jasna zapomnieć o KGB. Nie przeceniając sprawności „organów”, wypada przyznać, że pracują one dziś lepiej niż ktokolwiek inny. Widać to szczególnie dobrze na Zachodzie, gdzie mimo końca zimnej wojny, który ogłosili zarówno sowieccy jak zachodni politycy, sowiecki wywiad prosperuje doskonale. A jak się czuje u siebie, wskazuje oświadczenie przewodniczącego komitetu obrony narodowej Litwy, Audriusa Butkiewicziusa, że w republice litewskiej pracuje w KGB 350 tys. ludzi — 10% ludności. Jest bardzo prawdopodobne, że w innych republikach procent ten jest wyższy. Armia i „organy” nigdy w dziejach ZSSR nie odgrywały samodzielnej roli, zawsze były głównym instrumentem wodza partii. Sytuacja nie zmieniła się i dziś.

Przemówienia Gorbaczowa, płaczące wystąpienia premiera Ryzkowa w telewizji, demaskowanie grzechów przeszłości — porządnie już zbrzydły obywatelom sowieckim, którzy na własnej skórze odczuwają nieustannie — i chyba nieuchronnie — pogarszającą się sytuację i coraz trudniejsze warunki życia. Tym większe zainteresowanie wzbudził głos w Vermontu. We wrześniu *Komsomolskaja prawda* (nakład powyżej 20 milionów) a za nią *Literaturnaja gazeta* ogłosiły artykuł Aleksandra Sołżenicyna pt. „Jak urządzić Rosję?”

Aleksander Sołżenicyn przysłał mi w lipcu pierwotny tekst artykułu z prośbą o uwagi. Nie wiem, kto jeszcze czytał pierwszy wariant, mogą jednak stwierdzić, że autor wniósł doń poprawki, niekiedy drobne, niekiedy zasadnicze. Przyszli biografowie pisarza zajmą się porównaniem obu wersji. Wspominam o tym, aby obalić powszechny mit o pysze wielkiego pisarza, święcie pono przekonanego o swej nieomyślności. Mity o Sołżenicynie i jego poglądach wpłynęły na interpretację jego artykułu. Świat czekał na słowo vermonckiego pustelnika. Nic w tym dziwnego: w jednej z najtrudniejszych chwil swojej historii Związek Sowiecki znalazł się — po śmierci Andrieja Sacharowa — bez autorytetu moralnego. Zresztą znaczenie Sacharowa też zrozumiano naprawdę dopiero w ostatnich miesiącach jego życia i po jego śmierci. Pozostał Sołżenicyn. Ale on od 1983 roku milczał. Milczenie to wykorzystywali i jego przeciwnicy, i jego zwolennicy. Nawiasem mówiąc i przeciwnicy i zwolennicy opierali się na tym, co autor *Gulagu* mówił przed nadejściem *pieriestrojki*.

Pierwsze echa na jego artykuł świadczyły o tym, że ludzie nie umieją albo nie chcą przeczytać tego, co Sołżenicyn naprawdę napisał, ani nie chcą zrozumieć, co proponuje. Na posiedzeniu Rady Najwyższej ZSSR Michaił Gorbaczow przyznał, że Aleksander Sołżenicyn jest wielkim pisarzem, choć poglądy jego są jemu, Gorbaczowowi, obce, ponieważ „cały tkwi w przeszłości”, a „dawna Rosja, monarchia, jest dla mnie nie do przyjęcia”. Powiem od razu, że niczego takiego w artykule Sołżenicyna nie ma, Sołżenicyn ani jedną linijką, ani jednym słowem nie wspomina o powrocie do monarchii. Skąd to wziął Gorbaczow, wiedzą zapewne tylko on i

osoba, która przygotowywała mu *dossier*. Na tym samym posiedzeniu zabrali głos posłowie B. Olejnik i J. Szczerbak, obaj oburzeni, że Sołżenicyn „dępcze ich poczucie godności narodowej” i pogardliwie odnosi się do języków ukraińskiego i białoruskiego. Z kolei kazachscy pisarze skarżyli się, że Sołżenicyn obraził ich naród. Tego też w tekście nie ma.

Co więc widnieje w artykule, opatrzonym skromnym podtytułem „rady na miarę moich sił”? Wypada chyba zacząć od tego, że Sołżenicyn zwraca się do narodu rosyjskiego, do Rosji. Tylko otwarci wrogowie mogą mu robić z tego zarzut. Sołżenicyn zaczyna od preambuły, która dotyczy nie tylko Rosjan: „Na zegarze komunizmu wybiła ostatnia godzina. Ale jego betonowe gmaszysko jeszcze nie runęło. Co zrobić, żeby zamiast wyzwolenia nie zginąć pod jego ruinami?” Przestroga ta wydaje mi się bardzo na czasie w związku z triumfalnymi krzykami o „końcu komunizmu”, „upadku imperium” i nadejściu niczym nieograniczonej wolności.

Już na pierwszych stronicach Sołżenicyn mówi coś, czego równie jasno i szczerze nie odważył się przed nim powiedzieć nikt: że trzeba zrezygnować z imperium. Trzy republiki nadbałtyckie, trzy zakaukaskie, cztery środkowoazjatyckie i Mołdawia mogą się odłączyć. Dwunasta republika to Kazachstan, i z nim sprawa jest trudniejsza — terytorium zostało przykrojone przez komunistów w zgodzie z ich koncepcją, ponad połowę ludności stanowią nie-Kazachowie. Sołżenicyn uważa, że w tym przypadku należy się zastanowić, rozważyć za i przeciw. Ale jeśli ta część, na której mieszkają głównie Kazachowie, zechce się odłączyć, to — powiada Sołżenicyn — z Bogiem!

Pozostaje Rosja, terytorium, zamieszkałe przez Rosjan, Ukraińców, Białorusinów. Sołżenicyn marzy o federacji rosyjskiej, stwierdza, że oddzielenie Ukrainy i Białorusi będzie niebawem trudne („kroić przez miliony rodzin i ludzi”). Przyznaje jednak prawo decyzji zainteresowanym narodom. Tylko Rosjanie nie mają wyjścia: „Nie mamy sił na okrainy, ani gospodarczych, ani duchowych. Nie mamy sił na imperium! I nie trzeba! Niechże ono spadnie z naszych bark: ono nas miażdży, wysysa z nas soki i przyspiesza naszą zgubę!”

Aleksander Sołżenicyn zaczyna od kwestii narodowej, bo uważa ją za niecierpiącą zwłoki. Następnie mówi o ustroju gospodarczym. Powtarzając wyklętą myśl słowianofilów, stwierdza, że „ustrój gospodarczy jest drugorzędny wobec klimatu stosunków między ludźmi... Życie polityczne wcale nie jest głównym celem życia człowieka, polityka wcale nie jest upragnionym zajęciem większości”. Wychodząc z tego założenia, Sołżenicyn analizuje najmłodniejsze dziś w Rosji pojęcie, „demokrację”. Mit Sołżenicyna-antydemokraty jest tak głęboko zakorzeniony, że niektórzy czytelnicy uznali jego krytyczne uwagi pod adresem ustroju demokratycznego za podważenie samej zasady. Nie jest to ściśle. Sołżenicyn pisze: „Z całego strumienia współczesności wybierzemy niewątpliwie demokrację”. Po

czym dodaje: „Z powyższych krytycznych uwag o współczesnej demokracji nie wynika bynajmniej, że przyszła Federacja Rosyjska nie potrzebuje demokracji. Bardzo jej potrzebuje”. Biorąc pod uwagę, że naród nie dojrzał do niej, przypominając rozmaite jej niedostatki (i powołując się na rozmaitych autorów, od Tocqueville'a do Jana Pawła II, od Gieorgija Fiodotowa po Ronalda Reagana), Sołżenicyn proponuje, aby wprowadzać demokrację od postaw, czy też, jak się wyraża, „demokrację małych obszarów” (niewielkie miasto, wieś, rejony). Sołżenicyn wierzy, że demokracja bezpośrednia „małych obszarów” nauczy ludzi życia w demokracji, w warunkach normalnych stosunków.

Artykuł Aleksandra Sołżenicyna proponuje program na dziś i na jutro. Jest to program szczegółowy (miejscami — moim zdaniem — zbyt szczegółowy) i utopijny: są to wyobrażenia Sołżenicyna, w jaki sposób można uratować naród, który trzy czwarte stulecia przeżył pod komunizmem i jak zbudować lepszy świat. Główna zaleta artykułu — jego umiarkowanie, pragnienie, aby znaleźć drogę centralną, bez odchylenia w prawo i w lewo — stanowi też główną przyczynę napaści na niego. Każdy może w nim znaleźć coś, co mu się spodoba, a zarazem każdy może znaleźć coś, z czym się nie zgadza. Jedni chwalią Sołżenicyna za to, że chce zrezygnować z ziem okupionych krwią rosyjską; jedni chwalią go za to, że uznaje demokrację za jedyną możliwą drogę, inni krytykują go za to, że nie dość ceni demokrację albo przeciwnie, że ją przecenia. Zarzucają mu szowinizm rosyjski i obrzucają obelgami za to, że śmiał napisać: „Pora przestać powtarzać jak papuga 'jesteśmy dumni z tego, że jesteśmy Rosjanami', 'jesteśmy dumni z naszej wielkiej ojczyzny'...”.

Tak samo — i za to samo — chwali albo gani Sołżenicyna Zachód. Jacques Julliard na przykład, człowiek o poglądach lewicowych, z zachwytem przyjął artykuł ze względu na jego opcję na rzecz demokracji i „samorządności” (Sołżenicyn używa tego słowa). „Nowy filozof” Bernard-Henri Levy, też lewicowiec, pisze: „Żegnaj, Sołżenicynie”, i zarzuca pisarzowi sympatie do „samorządności lokalnej”, „wypróbowanej przez carat”.

Czytając wypowiedzi na temat artykułu Sołżenicyna, trudno się oprzeć wrażeniu, że rozczarowanie, które pobrzmiwa nawet w najbardziej pochwalnych ocenach, wynika z faktu, iż pisarz nie zaproponował żadnego cudownego panaceum, które pozwoliłoby od razu wszystko naprawić. W Sołżenicynie widziano (i nadal widzi się) majstra Griszę. Tymczasem wielki pisarz udzielił tylko kilku rad, jak należy żyć, postawił pytania, na które każdy może odpowiedzieć jak zechce, i powinien odpowiedzieć. Pisarz zaleca, aby zacząć myśleć o duszy. Nie jest to proste, ludzie nie przywykli, nie dają to też natychmiastowych rezultatów...

14.10.1990

Adam KRUCZEK

Narodziny nowych Niemiec

OBRAZKI I REFLEKSJE Z BERLIŃSKICH DNI ZJEDNOCZENIOWYCH

Przez Bramę Brandenburską płynie rzeka ludzi. Przeważa młodzież. Większość to Berlińczycy. Ale słychać rozmaite dialekty. Saksoński, nadreński, nawet bawarski. Młodzi już dawno pokonali uprzedzenia dzielnicowe i nowa generacja Bawarczyków już się nie boczy na „przeklętych Prusaków”. Ale ich dziadkowie a nawet ojcowie wciąż jeszcze za Boga nie chcą, aby Berlin stał się znowu stolicą Niemiec. A potok tłumów wciąż płynie i płynie, od Aleksander-Platz, poprzez wciąż jeszcze istniejący plac Marksa i Engelsa, dawny Lustgarten, wlewa się na centralny bulwar Unter den Linden. Za chwilę przed starym wilhelminskim muzeum ku czci poległych żołnierzy i antyfaszystów — albo, jak od lat mówią złośliwie przybysze z Polski — „znanych żołnierzy i nieznanym antyfaszystów” odbędzie się po raz ostatni zmiana warty żołnierzy narodowej Armii Ludowej. Czwórka dryblasów w wysokich błyszczących butach i rajtuzach żegna się pruskim krokiem defiladowym, wyrzucając rytmicznie wyprostowane nogi w górę prawie aż do pasa. Wraz z NRD odchodzi w nicość również i ta próba omamiania społeczeństwa pseudo-pruską tradycją. Patrzy na tę scenę pożegnania z cokołu na koniu Fryderyk Wielki, wyciągnięty przed kilku laty przez reżym Honeckera z lamusa historii dla pokrzepienia chwiejącej się dyktatury partii. I nikt nie wie w falującym tłumie, czy stary król pruski roni łezkę nad tym, że już chyba nigdy nie zobaczy bliskiego widowiska, czy też się po cichu cieszy, że nareszcie skończono z tą imitacją. Zresztą Prus już dawno nie ma. Zlikwidowali je zwycięzcy z drugiej wojny światowej w 1947 roku i chyba nikt z dzisiejszych polityków niemieckich, poza garstką niepoprawnych zwolenników zniszczonego wiekiem następcy tronu Louisa Ferdynanda z dynastii Hohenzollernów, nie marzy o restauracji Prus.

Pod starym uniwersytetem spogląda z marmurowego postumentu uczonego i reformator Wilhelm von Humboldt, którego nazwiskiem obdarowano po wojnie tę uczelnię. Przedtem brzmiało trochę inaczej: „Uniwersytet imienia Fryderyka Wilhelma”. To tu przez wiele lat pracował i uczył wielki sławista polski, Aleksander Brückner. Wewnątrz w audytorium maximum w dzień

zjednoczenia toczy się w gronie intelektualistów zażarta dyskusja, czy to, co się stało w ubiegłym roku i w rezultacie doprowadziło do złączenia Niemców, było rewolucją czy nie. Dyskutanci w większości wywodzą się z wczorajszych dysydentów, z rozmaitych grup opozycyjnych. To oni przed rokiem wyszli na ulice Lipska, Drezna i Berlina, wołając „naród to my”. Zwyciężyli, ale po zwycięstwie historia obesła się z nimi niezbyt elegancko. Kiedy runęły mury i granice, potężne i bogate w doświadczenia i pieniądze partie polityczne z Niemiec Federalnych zepchnęły tych przeważnie młodocianych weteranów rewolucji na boczne tory polityki. Uchwalona przed zjednoczeniem ordynacja wyborcza miała na celu kompletne usunięcie w cień tych — niektórym partiom starego *establishment*'u niewygodnych — twórców i świadków historii w ogólnoniemieckich wyborach 2 grudnia 1990. Ale wczorajsi dysydenci zaprotestowali przeciwko niesprawiedliwości przed Konstytucyjnym Trybunałem w Karlsruhe i najwyższy sąd Republiki uznał skargę za uzasadnioną. Trzeba było w nagłym trybie zmienić ową ordynację.

Zebrałym w sali uniwersytetu intelektualistom wiele się w tym zjednoczeniu a raczej przyłączeniu biednej siostrzycy do włości bogatego wujka nie podoba.

Ale dla tych, rzecz pewna (?), którzy wędrują w słoneczny dzień 3 października wzdłuż alei Under den Linden, utyskiwania lewicujących pisarzy i artystów, którzy biadolą nad cofnięciem im zaliczek i subsydiów, nic nie znaczą. Zjadają kielbasę, piją piwo i cieszą się życiem bez granic, policji i propagandy. Idą wzdłuż tej obfitej w dobrą i złą tradycję pryncypalnej ulicy dawnej stolicy, obojętnie mijają olbrzymi gmach sowieckiej ambasady, zamkniętej w tym dniu. Nikt nie wyziera zza firanek i stor. Z szarego kolosa zionie pustką i ciszą. A przecież tam wewnątrz pracuje wiele dziesiątków urzędników. Co z nimi i z tym gmachem będzie, na razie nie wiadomo. Republiki pragną, by po nawiązaniu stosunków rozdzielić domostwo na dyplomatyczne i konsularne przedstawicielstwa poszczególnych krajów chylącego się ku upadkowi imperium. Ale Niemcy się do tego nie palą.

Nagle z radosnego niemieckiego zgieltku dochodzą strzępy rosyjskiej rozmowy. Jakiś zażywny cywil postępuje do młodszego partnera: „Patrz, oni się jednoczą, a my się dzielimy”. Drugi na to: „Może jednak uratujemy słowiańską jedność, tak jak proponuje Sołżenicyn”. Starszy macha ręką, „Ech, gdzie tam. Nic z tego nie wyjdzie, Ukraińcy na to nie pójda. A na Białorusi też rośnie niepokój. Może nas jeszcze jakaś ogólna konfederacja uratuje. Może, chociaż i to już teraz niepewne”. Zauważyli, że się im przysłuchują i przestali mówić. Posępnie obserwują rozdygotany z radości potok ludzki, czarno-czerwono-

złote proporce, koszulki z hasłem zaczerpniętym z obowiązującej trzeciej zwrotki starego hymnu narodowego, już nie „Niemcy, Niemcy ponad wszystkim”, lecz „Jedność, prawo i wolność”, i do tego napis: „Myśmy tu byli — 3 października 1990”.

Nad Bramą Brandenburską powiewa narodowy sztandar niemiecki. Zawieszono go o północy pod bicie dzwonów we wszystkich kościołach obydwu wyznań, ewangelickiego i katolickiego. W przemówieniach było trochę patosu, ale przeważały słowa dziękczynności pod adresem Zachodu i Wschodu. W ten sposób zakończyła się bezkrwawa rewolucja niemiecka z 1989 roku, jedyna zwycięska rewolucja w historii tego kraju. Obecny wariant narodzin nowych Niemiec jest odmienny od wszystkich poprzednich. Począwszy od pierwszej Rzeszy sprzed blisko stu dwudziestu lat, każda nowa wersja niemieckiej wspólnoty narodowo-państwowej wyrastała albo z ciągot mocarstwowych albo z żądy odwetu wobec bliższych czy dalszych sąsiadów, lub wreszcie z nieukrywanych planów terytorialno-militarnej ekspansji. Przedostatnia wersja w wydaniu hitlerowskiej Trzeciej Rzeszy otrzymała dodatkowo zbrodniczą ideologię rasistowską, dążącą do zagłady najpierw Żydów, a potem Słowian.

To, co się dzieje teraz na naszych oczach jest zupełnie inne. Jakaś mieszanina pomiędzy festynem a jarmarkiem, bez armatnich strzałów, bez marszów i przemarszów, dętych orkiestr i nadętych min dostojników. Narodziny nowych Niemiec odbywają się w cywilnej atmosferze. W tłumie nie widać mundurów oprócz policji, która w nocy z drugiego na trzeciego października przywdziała nowe zielone odzienie i została podporządkowana dowództwu z Zachodniego Berlina. Trzej alianccy generałowie złożyli wizytę pożegnalną na ratuszu i wraz z adiutantami opuścili na zawsze siedzibę powstałej w 1945 roku komendantury. Wojskowym komendantem Berlina został niemiecki admirał z Kilonii. Na capstrzykach pożegnalnych w koszarach enerdownskich ściągnięto wojskowe sztandary, zawijając je w czarne, żałobne pokrowce. Tylko część młodszych oficerów i podoficerów ma szansę pozostania w szeregach wspólnej Bundeswehry. Cała generalicja musi odejść na emeryturę. Z Zachodu przybywają nowi dowódcy z własnymi sztabami i przejmują władzę nad wojskiem.

Państwo wschodnio-niemieckie, które powstało nie z woli Niemców, lecz na polecenie Stalina i miało się stać bazą rewolucji społecznej i laboratorium ideologicznym dla całych Niemiec, rozplynęło się w ciągu jednego dnia jak jesienna mgła. „Pożegnaniem bez łez” nazwał to rozstanie z nielubianym państwem jego pierwszy i ostatni swobodnie wybrany premier, Lothar de Maizière. Ale co innego państwowe połączenie, a co innego zasypianie rowów w mentalności społeczeństwa, które przez bez mała

pół wieku żyło w dwóch odmiennych systemach ideologicznych, prawnych i ekonomicznych. Do ostatniego dnia swego istnienia NRD pogrążona była w moralnym trzęsawisku, jakie pozostawiła po sobie tzw. „Stasi”, czyli policja bezpieczeństwa. Z wyjątkiem Sowietów, nigdzie chyba nie istniała tajna policja równa temu monstrum. W państwie enerderskim zrealizowano apokaliptyczną orwellowską wizję powszechnej kontroli wszystkich nad wszystkimi. W samej tylko berlińskiej centrali stoi na półkach sześć milionów personalnych teczek, owoców denuncjacji, inwigilacji i podsłuchów. Co najmniej dwa razy tyle podobnych „dokumentów” zgromadzono na prowincji. Istnieją tysiące kilometrów taśm magnetofonowych z podsłuchanymi rozmowami telefonicznymi nie tylko mieszkańców NRD, ale też Bonn, Zachodniego Berlina, a nawet Monachium. Wyrosły na tradycji Gestapo potwór stał się po upadku reżymu komunistycznego źródłem niekończącej się serii oskarżeń, kompromitacji, szantażu. Stało się to na skutek przerwania czystki, zapoczątkowanej zrazu po rewolucji. Pierwsze rządy pod przewodnictwem komunistów-reformatorów Modrowa pozwoliły bezpiece odejść na inne dobrze zadekowane pozycje. Późniejsze rządy koalicyjne pod kierownictwem chadecji, czy to z fałszywie pojętej doktryny przebaczenia, czy ze strachu o własną kompromitację, wstrzymały operację samooczyszczania życia społecznego. Z takim balastem przeszłości Niemcy Wschodnie weszły do nowego państwa. Przypomina to trochę sprawę denazyfikacji w Niemczech Zachodnich po drugiej wojnie światowej, ale tam — mimo wszelkich pomyłek, sabotażu i niedoskonałości — odbyła się prawnie uregulowana akcja politycznej higieny antytotitarnej i antypolicyjnej. Tutaj akcja taka spudłowała.

Nie jest to jedyny element, ciężący nad przyszłością nowych Niemiec. Wiele innych spraw dzieli zachodnich Niemców, nazywanych potocznie „Wessi”, od ich wschodnich ziomków określanych jako „Ossi”. Wśród ostatnich jest wielu takich, którzy czują się przez Zachód oszukani ekonomicznie i społecznie. Uważają, że kapitalistyczny wujek traktuje ich jak kolonię dla zbytu swoich towarów. Zaś niektórzy „Wessi” patrzą z pogardą na niezaradność „wschodniaków”, ich wygórowane ambicje i żądania. Do pełnej asymilacji jeszcze długa droga. Może nawet dłuższa, niż perspektywa wyrównania różnic w gospodarczym poziomie życia. Nie wiadomo też, jaki wpływ wywrze na mentalność sześćdziesięciu z hakiem milionów Niemców na zachodzie kraju włączenie się do narodowego obwodu światopoglądowego szesnastu milionów ziomków ze wschodu. Egon Bahr, swego czasu socjaldemokratyczny architekt układów między Bonn a Moskwą, nazwał NRD nieodzownym Piemontem narodowego odrodzenia Niemiec. W międzyczasie wiadomo, że w

tym „Piemontcie” w ciągu dziesięcioleci izolacji zakonserwowały się mocno nacjonalistyczne i szowinistyczne nastroje wrogości wobec świata ościennego. Tak czy inaczej nastroje te na pewno się ujawnią w zjednoczonych Niemczech. Miejmy nadzieję, że będzie to tylko margines, a nie jądro przyszłych przemian.

Już wkrótce powróci na polityczną scenę przerwany chwilowo spór o przyszłą stolicę nowych Niemiec. Nadreńcy i Bawarczyści bronią dzielnie dotychczasowej siedziby władz federalnych — malowniczego miasteczka Bonn nad Renem. Berlińczycy zaś żądają kategorycznie wypełnienia przyrzeczeń, że po połączeniu stolicą będzie znowu Berlin. Saksończycy jeszcze się nie opowiedzieli. A tymczasem tu i ówdzie zaczyna kiełkować oportunistyczna idea salomonowego rozwiązania typu holenderskiego, gdzie stolicą jest Amsterdam, a siedzibą rządu Haga. Według tego wzorca rząd niemiecki pozostałby w Bonn, a Berlin stałby się siedzibą prezydenta i duchową stolicą poszerzonego państwa. Głowią się nad tym też wschodni i zachodni dyplomaci, akredytowani dotąd przy nieistniejącej już NRD lub misje wojskowe korzystające dotychczas z przywileju statusu alianckiego w Zachodnim Berlinie. Niektóre placówki na wschodzie miasta przedzierzgnęły się szybko w delegatury ambasad w Bonn, a misje wojskowe ubiegają się o status konsulatów.

BERLIŃCZYK

Kronika litewska, białoruska i ukraińska

9 osób rozpoczęło strajk głodowy przed budynkiem Rady Ministrów Republiki Litewskiej, żądając od posłów Rady Najwyższej szybkiego rozważenia wyników pracy Rady Ministrów, gdyż „interesy niepodległości Republiki Litewskiej wymagają jak najszybszej dymisji rządu kierowanego przez K. Prunskiene”.

Rada Litewskiej Partii Demokratycznej poparła tę głodówkę. Zdaniem LDP stary aparat kontroluje środki przekazu i podważa autorytet parlamentu po to, by doprowadzić do nowych wyborów, w których siły prosowieckie miałyby zdobyć większość mandatów. Starają się one poddać rewizji Akt z 11 marca. Podstawową przeszkodą dla niepodległości Litwy i ruchu wyzwolenia narodo-

wszystkimi instytucjami władzy, napaści na parlament słyszy się także ze strony części członków rządu, inni zaś otwarcie twierdzą, że bez Związku Sowieckiego nie wyobrażają sobie życia gospodarczego Litwy. Jak z tego widać, celem Kremla jest wciągnięcie Litwy za pomocą układów o współpracy ekonomicznej do nowego związku. Rząd prawie niczego nie robi w sprawie ochrony granic, kontroli celnej, wprowadzenia własnej waluty, prywatyzacji. Dotychczas nie oddzielono budżetu Litwy oraz systemów finansowego i bankowego od ogólnosowieckiego, nie przygotowano programu reform itp. Dzieje się tak, gdyż rząd zdominowany jest przez stary aparat, a zmiany ograniczyły się do fasady. LDP obarcza odpowiedzialnością za pracę całego rządu premiera K. Prunskiene i wzywa tych ministrów, którzy nie chcą lub nie mogą pracować na rzecz umocnienia państwowości litewskiej, by podali się do dymisji, zaś posłów, sabotujących prace parlamentu, by powstrzymali się od destruktywnej działalności.

Liga Wolności Litwy już 5 lipca oskarżyła premiera K. Prunskiene o forsowanie moratorium bez wiedzy prezydenta Landsbergisa. Zdaniem Ligi Prunskiene zastąpiła 16 czerwca Brazauskasa na czele sił prosowieckich i dlatego obowiązkiem posłów jest przeszkodzenie pani premier w pracy dla potrzeb imperium rosyjskiego. Liga Wolności Litwy jako pierwsza wezwała rząd Prunskiene do dymisji. A. Terleckas zaproponował, by doprowadzić do tego za pomocą masowych demonstracji i pikiet.

Całkowita dyskredytacja K. Prunskiene nastąpiła po opublikowaniu fotokopii karty agenta nr 1659, z której wynika, że obecna bezpartyjna premier, pseudonim Szatrija, od 1980 roku współpracowała z KGB. Znane są nazwiska kolejnych oficerów prowadzących. Pani premier twierdzi, że napisała memorandum zawierające propozycje reform dla Andropowa, gdyż uważała KGB za jedyną sprawną instytucję, która była zdolna do wprowadzenia zmian w gospodarce ZSSR. Przyznaje też, że rozmawiała z „kuratorem KGB” w swoim instytucie ekonomicznym, ale te kontakty nie miały charakteru agenturalnego. Sprawa wyplłynęła na forum publiczne w wyniku walk wewnętrznych między rywalizującymi grupami „starych” i „nowoczesnych” komunistów w litewskim KGB.

Liga Wolności Litwy zarzuciła wicepremierowi i I sekretarzowi KPL Brazauskasowi, iż jako szef sztabu antykrzyzowego nie odpowiedział sankcjami gospodarczymi na blokadę, a wprost przeciwnie, zwiększył eksport żywności do Rosji, świadomie zmniejszając ilość żywności na Litwie, by wywołać niezadowolenie mieszkańców. Podobnie całą produkcję cementu z zakładów Akmene (98%) Prunskiene i Brazauskas wysyłali i wysyłają do Rosji, gdy tymczasem mieszkańcy Litwy zmuszeni są kupować cement po cenach spekulacyjnych. Zapasy mazutu ukryto i straszono, iż z powodu jego braku może dojść do wybuchu reaktora atomowego w Ignalinie. Nie zamknięto zakładów związkowych produkujących na potrzeby Sowietów, lecz przeciwnie, dostarczano im surowców. Prunskiene i

II wicepremier Ozolas, członek Politbiura KPL, prowadzili tajną dyplomację telefoniczną z Moskwą w tajemnicy przed prezydentem Landsbergisem. Tego typu działania miały na celu wywołanie niezadowolenia ludności i zmuszenie parlamentu do anulowania Aktu 11 marca.

Sekretarz kowieńskiej „niezależnej” LPK Arbaciauskas zażądał ustąpienia prof. V. Landsbergisa ze stanowiska przewodniczącego Rady Najwyższej jako osoby niekompetentnej, pod której kierownictwem Litwa zmierza do katastrofy. Odpowiednim prezydentem, według KPL, byłby oczywiście A. Brazauskas.

We wrześniu organizacja „Młoda Litwa” rozpoczęła akcję na rzecz zniesienia przymusowej nauki języka rosyjskiego w szkołach, likwidacji grup rosyjskich na wyższych uczelniach i dubbingowania zagranicznych filmów tylko na język litewski.

Rada Najwyższa uchwaliła zakaz działalności partii politycznych, których kierownictwo znajduje się poza Litwą. Ustawa skierowana jest przeciwko partiom komunistycznym: KPZS, grupującej stary aparat i LKP, reprezentującej nowoczesną nomenklaturę gorbaczowowskiego chowu. Teoretycznie obie partie powinny zostać rozwiązane, ale w praktyce restrykcje, jeśli w ogóle zostaną wprowadzone, dotyczyć mają tylko KPZS Burokevicziusa. Nowy tygodnik Sajudisu *Vilniaus sajudis* porównuje obie partie do braci syjamskich o dwu głowach i jednym krwiobiegu. Różnica między KPZS i pozostającą u władzy LKP sprowadza się do taktyki stosowanej w obronie władzy komunistycznej.

Tygodnik kulturalny *Siaures Atenai* (Ateny Północy) opublikował wywiady z Jerzym Giedroyciem i Gustawem Herlingiem-Grudzińskim. Redakcja podkreśliła różnicę między kunktatorskim stanowiskiem rządu T. Mazowieckiego wobec kwestii litewskiej i staraniami *Kultury*, by doprowadzić do uznania Litwy przez tenże rząd.

W Radzie Najwyższej Białoruskiej SSR na 317 deputowanych wybranych do 10 maja (Sowieci liczy 360 posłów) Blok Demokratyczny reprezentuje 62 posłów, wahających się jest 48, zaś 133 należy do nomenklatury, 74 do aparatu gospodarczego i 28 do armii i KGB.

8 kwietnia powstał w Mińsku komitet organizacyjny Partii Ekologicznej Białorusi — EPB.

Pomniki Lenina rozebrano w Katuszy (Stanisławowskie), Kołomyi, Tarnopolu, Drohobyczu, Borysławiu, Brodach, Truskawcu, a zniszczono w Czerniowcach. W Kijowie członkowie kompartii na razie obronili Lenina.

Kijowska Rada Koordynacyjna Ukraińskiego Związku Studentów wezwała do przygotowania ogólnoukraińskiego strajku politycznego w celu wymuszenia reformy systemu oświaty i przeprowadzenia nowych, wielopartyjnych wyborów do Rady Najwyższej Ukraińskiej SSR.

Zgodnie z wcześniejszymi zapowiedziami 2 września doszło do pierwszej fali protestów przeciwko podpisaniu w przyszłości przez Ukrainę nowego układu związkowego. Ukraińska Partia Republikańska — URP i Ruch zorganizowały 20-tysięczny wiec na placu Troickim w Kijowie i 100-tysięczny we Lwowie. 30 września na wezwanie Ruchu, URP i Zgromadzenia Międzypartyjnego na Stadionie Republikańskim w Kijowie zebrało się 100 tys. osób, by zaprotestować przeciwko związkowi Ukrainy z ZSSR. W przemarszu od stadionu do centrum miasta wzięło już udział 200 tys. demonstrantów. Do incydentu doszło pod Muzeum Lenina, dokąd demonstranci chcieli wnieść trumnę z sierpem i młotem. Nie udało się też dojść do pomnika Lenina.

16 września w Łucku, a 17 we Lwowie i Stanisławowie odbyły się uroczystości żałobne i wiece w rocznicę okupowania Ukrainy Zachodniej przez Armię Czerwoną. 17 września ogłoszono dniem okupacji.

1 września we Lwowie członkinie Związku Matek Żołnierzy manifestowały pod hasłem „zawodowa armia narodowa dla Ukrainy”. Ruch, URP, Ukraińska Partia Chrześcijańsko-Demokratyczna — UChDP, Związek Niezależnej Młodzieży Ukraińskiej — SNUM i Ukraińska Partia Narodowa — UNP, wezwały do bojkotu jesienno-poborowego i pikietowania komend uzupełnień, jeśli Rada Najwyższa Ukraińskiej SSR nie podejmie decyzji zapewniających poborowym pełnienie służby wojskowej tylko na terenie Ukrainy, nie zacznie opracowywać ustawodawstwa dotyczącego utworzenia Narodowych Sił Zbrojnych podległych tylko Sowiетowi Ukrainy, nie zdepolityzuje armii, wojsk MSW i organów bezpieczeństwa, nie rozpocznie reformy szkół wojskowych w duchu narodowym i natychmiast nie załatwi sprawy odwołania żołnierzy ukraińskich odbywających służbę zasadniczą poza granicami Ukrainy.

Setki żołnierzy ukraińskich odmawia służby zasadniczej, mimo represji, opuszcza garnizony i powraca na Ukrainę. Powodem jest najczęściej terror żołnierzy muzułmańskich z Azji Środkowej i Azerbejdżanu wobec Słowian. Ucieczki przybrały na sile po uchwaleniu w lipcu deklaracji suwerenności przez Sowiет Ukrainy i decyzji o odbywaniu służby wojskowej przez poborowych na terenie republiki. 19 sierpnia 17-tu (później jeszcze 7-miu) żołnierzy ukraińskich opuściło jednostkę w *oblasti* moskiewskiej i przyjechało do Kijowa. 27-miu żołnierzy rozpoczęło głodówkę w budynku prokuratury w Kijowie, żądając dyslokacji na Ukrainę.

Rada *oblasti* lwowskiej nakazała rozwiązanie komisji poborowych (9.09.1990). Rada *oblasti* stanisławowskiej uchwaliła, że żołnierze ukraińscy opuszczający swe jednostki poza granicami republiki i

powracający do *oblasti* nie będą uważani za dezertersów i umożliwi im się odbycie reszty służby w Stanisławowskiem (6.09). Decyzje takie pozostają na papierze, gdyż komisje poborowe i komendy uzupełnień podlegają Moskwie i wykonują tylko jej polecenia.

URP prowadzi akcję na rzecz nowych, wielopartyjnych wyborów i wyrzucenia kompartii z zakładów pracy. W Winnicy na wiec zorganizowany przez URP pod tymi hasłami przybyło 20% ludności miasta.

5 września z inicjatywy Ruchu, URP i zielonych pikietowano budynek KGB Ukrainy w Kijowie, żądając rozwiązania policji politycznej.

Do końca 1990 roku KPU ma zwolnić 10 tys. etatowych pracowników, w tym około 4 tys. technicznych, w ramach redukcji personelu.

Na Ukrainie zachodniej powstała koncepcja ogłoszenia niepodległości w związku z uznaniem przez Moskwę paktu Mołotow-Ribbentrop za nieważny. Byłby to powrót do tradycji Zachodnio-Ukraińskiej Republiki Ludowej J. Petruszewycza i przedwojennych koncepcji OUN. Nowe państwo miałyby następnie rozszerzyć swe wpływy na całą Ukrainę i doprowadzić do utworzenia zjednoczonej i niepodległej Republiki Ukraińskiej.

W dniach 18-21 sierpnia w Białym Borze odbyło się I Forum Diaspory Ukraińskiej. Przedstawiciele „Ruchu”, emigracji i mniejszości ukraińskiej w Polsce spotkali się też z członkami Sejmu i rządu RP. Ukraińcy proponowali diasporze tworzenie wspólnych przedsiębiorstw, które miałyby, dzięki zachodnim kapitałom i technologii, podnieść gospodarkę Ukrainy.

Józef DARSKI

22 września 1990

Szanowny Panie Redaktorze

Będąc z zawodu informatykiem, jestem kompletnym laikiem w zakresie polityki międzynarodowej, choć śledzę tę dziedzinę z wielkim zainteresowaniem. Szczególnie wiele przynosi mi lektura pańskiego miesięcznika, jeśli chodzi o najbardziej mnie interesujące problemy dotyczące naszych bezpośrednich sąsiadów, Ukrainy, Białorusi i państw bałtyckich. Dotychczas, dzięki Bogu, udało mi się powstrzymać od zarzucania redakcji poważnych czasopism amatorskimi elaboratami politycznymi. Tych pewnie i bez mojej pomocy Panu nie brakuje. Jednakowoż, w związku z dogłębnymi przeobrażeniami wschodnioeuropejskiej sceny politycznej, na które — jak sądzę — kierownicy naszej polityki są słabo przygotowani, pojawia się problem braku we współczesnej Polsce placówki, jaką w międzywojniu był wileński Instytut Europy Wschodniej. Brak głębszej

wizji na najważniejszym dla Polski kierunku już zaczyna wydawać gorzkie owoce, o czym by się przekonać wystarczy przeczytać artykuł B. Osadczyka w ostatnim numerze *Kultury*.

Dnia 23 kwietnia tego roku na łamach *Libération* ukazał się szkodziwy dla stosunków polsko-ukraińskich artykuł niejakiego p. Kowzana pt. „Wilno, c'est a dire nulle part?”, gdzie mowa była o wiązaniu sprawy niepodległości Litwy z polską rewindykacją Wilna. Wydrukowany został przez redakcję z niewątpliwą intencją jątrzenia — pisano wówczas wiele o sowieckiej blokadzie Litwy, a ponadto żywa była we francuskiej prasie dyskusja na temat polityki Kohla wobec uznania linii Odry-Nysy. Wystąpienie Kowzana było w owej sytuacji bardzo niezręczne, na co chciałem zwrócić uwagę pewnemu wybitnemu znawcy polityki zagranicznej. Pan ów zbagatelizował tę sprawę — sprawa Litwy wyparta została przez inne bieżące wydarzenia, choć istnieć przez to nie przestała. Na pocieszenie zaserwował mi pewną anegdotę: otóż w czasie pierwszego spotkania premiera Mazowieckiego z panią K. Prunskiene, w związku ze staraniami Litwy o wyjście z dyplomatycznej izolacji, pierwsze pytanie litewskiej pani premier padło w języku francuskim: „Czy Polacy mają zamiar domagać się zwrotu Wilna?”. Po odpowiedzi, że oczywiście nie, p. Prunskiene odparła: „No, to teraz już możemy rozmawiać po polsku”. Litwini zatem okazują się w końcu dobrymi Polakami, skąd wniosek, że jakiegokolwiek wysiłki na ich rzecz są niepotrzebne.

Mój rozmówca od tej pory objął ważną zachodnią placówkę dyplomatyczną.

Polska polityka wschodnia zastygła w trwożnym oczekiwaniu, które skądinąd wyrzucamy Zachodowi w przypadku jego obojętności na problemy naszego kraju.

Polska nie jest przygotowana do odegrania roli, w którą wędzają ją, *nolens volens*, okoliczności historyczne. Niedawno opublikowany program Sołżenicyna daje tymczasem odczuć ogrom zmian, jakie szykują się jeszcze w tej części Europy. Do tych zmian należy się dobrze przygotować.

Ze wszystkich wyłuszczonej powyżej powodów, inicjatywa powołania organizmu spełniającego podobną rolę jak Instytut Europy Wschodniej, wydaje mi się pierwszorzędnej wagi.

Pańska działalność w sferze politycznej zdaje mi się opierać na podobnej idei, tyle że realizowanej z konieczności poza granicami kraju. Teraz chyba istnieją warunki, by stworzyć chociażby embrion takiej instytucji w Polsce, a Pan mógłby dać niezbędny ku temu impuls.

Nie chodzi bynajmniej o nawoływanie do drażnienia Rosji poprzez naruszanie jej odmiany doktryny Monroego w Europie Wschodniej. Nikt nie ma pretensji do Hiszpanii o ściste związki tego kraju z Ameryką Łacińską.

Mam nadzieję, że wybaczy mi Pan śmiałość zwrócenia się do Pana w sprawie, która wydaje mi się ważna.

Łączę wyrazy najgłębszego szacunku.

Lech K. POWICHROWSKI

O religii bez namaszczenia

Nauczanie religii w szkołach

AMERYKAŃSKI PUNKT WIDZENIA

Wiadomość o wprowadzeniu nauczania religii w szkołach państwowych poruszyła mnie do głębi głównie z powodu zastosowanej metody administracyjnej. Pominięto konsultacje z rodzicami i społeczeństwem, co ubliża podstawowym zasadom demokracji. Aczkolwiek osoby stojące za tą decyzją są już inne, sama metoda przypomina metody komunistyczne.

Przed wszystkim, kiedy w ubiegłym roku publicznie broniłem w prasie amerykańskiej pozycji Episkopatu polskiego w sprawie klasztoru karmelitanek w Oświęcimiu, nie przypuszczałem, że dzisiaj zajmę krytyczne stanowisko w stosunku do tej samej instytucji, dzielącej winę pół na pół z jakoby laickim rządem. Moje wypowiedzi na temat kontrowersji między Żydami a Episkopatem Polski ukazały się drukiem w wielu amerykańskich czasopiśmie, a nawet w wydawanym w Izraelu *Jerusalem Post*, gdzie skrytykowałem wręcz rasistowską wypowiedź premiera Izraela, Izaaka Shamira, o Polakach, którzy jakoby „wysiali antysemityzm z mlekiem matki...”.

Tu muszę dać kredyt i ukłonić się prasie Izraela, że mój zjadliwy komentarz, w którym porównywałem ideologię premiera Shamira z ideami Hitlera opisanymi w *Mein Kampf* — wydrukowali w *Jerusalem Post*.

Z pewnością w niektórych kołach amerykańskich i izraelskich kwitowano moje wypowiedzi jako antysemityczne, a mnie określano jako klerykała. Być może moja uprzednia pozycja obrońcy stanowiska polskiego kleru bardziej mnie dzisiaj kwalifikuje do roli obiektywnego, wartego posłuchu krytyka.

Kiedy Premier Mazowiecki odwiedzał Stany Zjednoczone, podkreślał wielokrotnie, że demokracja amerykańska jest wzorem dla Polski. Z całych tych amerykańskich lektur i obserwacji

jakos mało wysnuto wniosków. Jeśli chodzi o sprawy ekonomiczne, można zgodzić się (z trudem), że reforma wymaga czasu, ale sprawa nauczania religii zasadniczo nie wymagała zmiany. Cokolwiek byśmy mówili o komunistach, rozdzielili oni Kościół od państwa i stworzyli sytuację podobną do istniejącej w USA. Kościół polski skorzystał z tego rozdziału poprzez moralną odbudowę.

Waga i moralna pozycja Kościoła w okresie komunistycznej opresji wyraźnie się zwiększyły i Kościół razem ze społeczeństwem stworzył alternatywne metody nauczania religii. Pokolenie wychowane przez pozaszkolne nauczanie religii bardziej rozumie moralną wagę doktryny katolickiej i przyjmuje ją bardziej do serca, niż pokolenia przedwojenne, kiedy religii nauczano praktycznie przymusowo. Jakikolwiek tłumaczenia, że nauczanie religii będzie się odbywać w duchu ekumenicznym, nie wytrzymują krytyki i praktyki. Już w tej chwili pojawiają się w Polsce dowcipy przekraczające słowo ekumenizm na „e-khomeni-zm”, przyrównując rozwój sytuacji w Polsce do teokracji irańskiej. Ci z nas, którzy odwiedzali ostatnio Polskę, ze zdziwieniem zauważają, że ich znajomi, od czasu do czasu zdawkowo i niekoniecznie na temat, wtrącają do rozmowy aluzje do ich ostatniej wizyty na mszy świętej, zapewniając sobie prawdopodobnie bardziej uprzywilejowaną pozycję w na razie jeszcze pamięciowej kartotece „praktykujących” (a może już czas zacząć ich spisywać...?). Przypuszczam, że byli komuniści przodują w tej metodzie zamazywania życiorysów, jako że mają za sobą z górą 40 lat zaawansowanej praktyki w oportunizmie.

Demokrację amerykańską mimo jej wszystkich wad cechuje godna pozazdroszczenia zdolność przetrwania i odnowy. Od ponad 20 lat mego pobytu w USA zastanawiam się na czym polega ta siła przetrwania i doszedłem do wniosku, że na pięciu następujących zasadach:

1. Separacji Kościoła od państwa (włączając w to laicki system nauczania).
2. Separacji władzy konstytucyjnej od wykonawczej (czyli parlamentu od rządu).
3. Separacji i niezależności sądownictwa od rządu i parlamentu.
4. Wolnej prasy, radiu i telewizji, które publicznie demaskują rządową korupcję.
5. Prywatnej własności i kompletnym wykluczeniu rządu ze strefy produkcji, handlu i komunikacji.

Powszechne wprowadzenie nauczania religii w publicznych szkołach amerykańskich wymagałoby długiej dyskusji parlamentarnej i nawet zatwierdzenia przez Sąd Najwyższy, nadzorujący zgodność prawa z konstytucją. Ponadto lokalne społeczne komi-

tety szkolne, których obrady są otwarte dla szerokiej publiczności, musiałyby taką praktykę zatwierdzić.

W Polsce wprowadzono nauczanie religii w sposób, który bym porównał do decyzji „sądu kapturowego” i jak dotychczas szerokie rzesze społeczeństwa nie wiedzą o rzeczywistych zakulisowych powodach tej decyzji, a rodzice nie mieli na nią żadnego wpływu.

Z moich prywatnych pobytów w Polsce i sondażu opinii publicznej odniosłem wrażenie, że wielu ludzi uważa, że Polską rządzą „ONI”, niektórzy wręcz mówią „ŻYDZI”. O ile się zorientowałem, „ŻYDZI” w tych wypowiedziach niewiele mają wspólnego z wyznawcami religii żydowskiej, których większość Polaków nigdy nie widziała na oczy, a raczej są ogólną przenośnią dla grupy manipulantów, mających niewiele respektu dla przeciętnego Polaka, podejmujących decyzje wedle własnego widzi mi się we własnym, a niekoniecznie społecznym interesie. Fakt, że widać ich często na kłęczkach w kościele nie przeczy w oczach przeciętnego Polaka ich jakoby „żydowskiej afiliacji”.

Ostatnia decyzja rządu w sprawie nauczania religii w szkołach i sposób, w jaki została wprowadzona, utrwala tylko w oczach przeciętnego Polaka ksenofobiczne przekonania i odczucia, jakie opisałem powyżej.

Ja osobiście chciałbym wierzyć, że decyzja ta była podjęta przez oddanych sprawie, aczkolwiek nieco zaślepionych katolików, dążących do zaszczepienia zasad moralności chrześcijańskiej wśród maluczkich. Niestety mam przeczucie, że motywacją było zapewnienie sobie poparcia kół klerikalnych w celu politycznego manipulowania „z ambony” katolikami w czasie zbliżających się wyborów prezydenckich. Taka manipulacja już się odbywa kosztem zasad demokracji i za cenę zamazania różnicy między władzami rządowymi i klerem, tak jakby brakowało rzeczywistych konfliktów i problemów.

Dla autorów zarządzenia o nauce religii w szkołach zalecam pielgrzymkę do mego rodzinnego miasta Częstochowy, gdzie winni się zatrzymać na chwilę kontemplacji, w drodze na Jasną Górę, przy skrzyżowaniu trzech głównych ulic o wręcz proroczych jak na dzisiejsze czasy nazwach: Alei Najświętszej Marii Panny, Alei Wolności i Alei Kościuszki. Być może, że w jakimś częstochowskim antykwariacie wpadnie im w ręce unikalny „biały kruk”, Częstochowski Kalendarz dla Rolników z lat przedwojennych z przepowiedniami pogody na rok przyszły i zbiorem ludowych przysłów. Na jednej z powiastek z tego właśnie kalendarza mały wówczas Jaś Czekajewski uczył się kiedyś czytać. Temat powiastki utkwił mi w głowie do dzisiaj.

W powiastce ateista-agitator stara się przekonać gawiedź, że Boga nie ma, motywując że gdyby Bóg istniał, to by strzelił w

niego (czyli w ateistę) piorunem za takie bluźnierstwa. Na to *dictum* z tłumy wylania się młody muskularny robotnik, który mówi: „Pan Bóg nie ma czasu na zajmowanie się taką swoloczą jak ty, zesłał więc mnie w zastępstwie”, po tym strzela ateistę lewym sierpowym w głowę. Wnioskuje, że tego rodzaju metody ekumenicznej argumentacji z inowiercami były kiedyś powszechne, czytelnikom więc zostawiam do wyboru, czy winny być dzisiaj wskrzeszone, a opowiadki z „Kalendarza Częstochowskiego dla Rolników” przedrukowane dla szkolnego użytku, w chwili kiedy naród polski zatrzymał się jakby na skrzyżowaniu ulic: Najświętszej Marii Panny i Wolności i zaledwie o krok od Alei Kościuszki. Być może ta trzecia droga, imienia Tadeusza Kościuszki, symbolizująca model wypróbowanej i prosperującej demokracji amerykańskiej, jest obecnie najwłaściwszym wyborem dla rodzącej się niepodległej Polski.

Jan CZEKAJEWSKI

22 września 1990 r.

KOŚCIOŁY I ZWIĄZKI WYZNANIOWE W POLSCE

Głos Pomorza zamieścił 18.8.1990 wykaz Kościołów i związków wyznaniowych w Polsce. Kościół rzymskokatolicki posiada ponad 12 tys. kościołów parafialnych, 46 seminariów duchownych (diecezjalnych i zakonnych), 44 zakony i zgromadzenia męskie i 101 żeńskich, działalność duszpasterską prowadzi 23 tys. duchownych, w tym 5.600 księży zakonnych. Organizacyjnie Kościół dzieli się na 5 metropolii, 27 diecezji oraz 8.487 parafii. Obecnie jest w budowie 600 tys. obiektów kościelnych. Wśród rzeszy polskich katolików 400-500 tys. stanowią grekokatolicy, głównie pochodzenia ukraińskiego i białoruskiego. Inne Kościoły katolickie to: Kościół polskokatolicki — wspólnota liczy 39 tys. wiernych, 105 duchownych, posiada 99 kościołów i kaplic. Administracyjnie dzieli się na 3 diecezje i 93 parafie; Kościół starokatolicki Mariawitów ma około 24 tys. wyznawców, 29 duchownych, 56 kościołów i kaplic, dzieli się na 3 diecezje i 42 parafie; Kościół katolicki Mariawitów ma około 4 tys. wyznawców, 40 kapłanów (w tym 26 kobiet), 2 kościoły, 20 kaplic, a administracyjnie dzieli się na 2 kustodie i 23 parafie. Kościoły protestanckie: Kościół ewangelicko-augsburski, najliczniejszy Kościół protestancki w Polsce: ok. 75 tys. wiernych, 115 duchownych, 322 kościoły i kaplice, administracyjnie podzielony na 6 diecezji i 121 zborów; Kościół ewangelicko-reformowany ma około 4.500 wyznawców, 6 duchownych, 6 kościołów i 7 kaplic, a obejmuje 10 parafii; Kościół metodystyczny ma ok. 6 tys. wyznawców, 36 duchownych, 49 domów modlitwy, 1 ośrodek konferencyjny a obejmują 51 parafii; Polski Kościół chrześcijan baptystów ma ok. 6 tys. wyznawców, 69 duchownych, 64 kościoły, kaplice i domy mod-

litwy, administracyjnie obejmuje 59 zborów i 86 placówek; Kościół adwentystów dnia siódmego: ok. 8 tys. wyznawców, 94 duchownych, 123 kościoły i domy modlitwy, obejmuje 123 zbory i mniejsze placówki organizacyjne; Kościół chrześcijan dnia sobotniego: ok. 450 wyznawców, 21 duchownych i 7 domów modlitwy; Kościół Chrystusowy: ok. 6 tys. wyznawców, 26 duchownych i kilkunastu lektorów Pisma Świętego, 6 domów modlitwy, 20 zborów (parafii); Kościół wolnych chrześcijan: ok. 1.500 wyznawców, nie posiada duchownych, 30 domów modlitwy, 33 zbory (parafie) i mniejsze placówki; Kościół Jezusa Chrystusa świętych dni ostatnich (mormoni): 28 duchownych, 3 zbory — nie posiada domów modlitwy; Zrzeszenie Wolnych Badaczy Pisma Świętego: około 2.800 członków, 295 duchownych, 5 domów modlitwy, 91 zborów; Stowarzyszenie Badaczy Pisma Świętego: około 460 członków, 38 duchownych, 6 domów modlitwy, 28 zborów; Świecki ruch misyjny „Epifania”: ok. 2 tys. członków, 436 duchownych, 147 domów modlitwy (w tym prywatne mieszkania wykorzystywane w celach religijnych), 81 zborów; Jednota Braci Polskich liczy kilkudziesięciu wyznawców, 16 duchownych i ma jeden dom modlitwy, Protestantka wspólnota regionu bieszczadzkiego ma kilkuset wyznawców w Krośnieńskim, 7 duchownych, 1 dom modlitwy i 3 zbory; Nowoapostolski Kościół: ok. 1.300 wyznawców, 35 duchownych, 8 kaplic i 18 zborów; Chrześcijańska wspólnota zielonościwkowa: brak danych co do ilości wyznawców, ma 48 duchownych i 17 zborów; Związek Badaczy Biblii: 14 duchownych, 13 domów modlitwy (mieszkania prywatne), 13 zborów; Ewangeliczny związek braterski: 20 duchownych, 5 domów modlitwy, 20 zborów; Stowarzyszenie zborów chrześcijan: 5 domów modlitwy, 3 zbory; Kościół chrześcijan wiary ewangelicznej: 45 duchownych, 2 domy modlitwy, 13 zborów; Kościół zielonościwkowy: 133 duchownych, 101 domów modlitwy, 83 zbory; Kościół ewangelicznych chrześcijan: 38 duchownych, 55 domów modlitwy, 55 zborów; Kościół zborów chrystusowych: 42 duchownych, 46 domów modlitwy, 49 zborów. Kościoły prawosławne: Polski autokefaliczny Kościół prawosławny: ok. 700 tys. wiernych, 240 duchownych, 299 cerkwi i kaplic, 2 klasztory i 251 parafii; Wschodni Kościół staroobrzędowy: ok. 150 wyznawców zamieszkujących woj. suwalskie, nie mają duchownych, 4 domy modlitwy. Inne chrześcijańskie związki wyznaniowe: Lectorium rosicrucianum (Różokrzyżowcy): nie mają duchownych, 2 domy modlitwy; Stołica Apostolska w Jezusie Chrystusie: kilkunastu wyznawców, 7 duchownych; Kościół Boży w Chrystusie: 28 duchownych i 10 domów modlitwy. Związki wyznaniowe niechrześcijańskie: Związek religijny wyznania mojżeszowego: ok. 5 tys. wyznawców, 24 synagogi i domy modlitwy w 16 miastach, obejmuje 13 kongregacji, od 1989 r. posiada naczelnego rabina Polski; Muzułmański związek religijny: ok. 3 tys. wyznawców, 3 meczety, 1 dom modlitwy, 4 duchownych w 6 gminach wyznaniowych; Karaimski związek religijny: 200-300 wyznawców, 2 duchownych, 1 dom modlitwy, 4 gminy; Związek buddystów Zen-Sangha: działa od kilkunastu lat i ma ok. 250 wyznawców, 6 duchownych, 15 miejsc praktyki (zen); Stowarzyszenie buddyjskie Zen-Czogie: ok. 250 wyznawców, 65 duchownych, 21 ośrodków medytacji; Stowarzyszenie buddyjskie Karma Kagyu: ok. 350 członków, 1 ośrodek medytacji, nie posiada duchownych; Stowarzyszenie buddyjskie Kancheon: 2 duchownych i 3 ośrodki; Związek buddystów Zen-Rinzai: 3 ośrodki medytacji; Związek Adzapa Jogi: 1 duchowny, 1 ośrodek medytacji.

Kronika kulturalna

Drugi obieg: historia, sława, zmierzch

31 sierpnia 1990 roku, dziesięć lat po podpisaniu Porozumień Sierpniowych, na mocy zarządzenia Ministerstwa Finansów RP minął termin zalegalizowania bądź też rozwiązania wydawnictw tzw. drugiego obiegu. I choć zapewne wiele z nich nie podporządkuje się tej decyzji (niekoniecznie ze względów politycznych), a wiele zakończyło już dawno swoją działalność, powyższa data, choćby przez swoją symbolikę, może zostać uznana za punkt zamykający istnienie niezależnych wydawców. I staje się przy okazji dobrym momentem do przypomnienia dziejów tego ruchu, jego dorobku i aktualnego stanu prasy polskiej wywodzącej się z niego.

Bibuła, wydawnictwa niezależne i nieocenzurowane, publikacje drugiego obiegu, samizdat... Jeszcze niedawno były to mniej lub bardziej adekwatne określenia tego samego zjawiska: takiego wydawania książek i prasy, które spędzałoby sen z powiek władzy. Lub też, używając określenia bardziej rozbudowanego i ścisłego: — chodzi o takie pojmowanie edytorstwa (szczególnie prasowego), które doprowadzić miałyby do uczynienia zeń czwartej władzy (po ustawodawczej, wykonawczej i sądowniczej). Takiej, która kontrolować może życie społeczne i polityczne, zachowując niezbędną niezależność i obiektywność wobec wpływów zewnętrznych, a jeśli nie — to przynajmniej bezstronność.

Przez ponad dziesięć ostatnich lat znaczna część społeczeństwa polskiego przyzwyczaiła się uważać za taką siłę polityczną właśnie te wydawnictwa, które ukazywały się poza komunistycznym monopolem.

Określano to jednak różnymi — jak wspomniałem — terminami i różnie je rozumiano. Jedni myśleli o gazetkach i ulotkach, drudzy dodawali do tego książki wydane w „podziemiu”

w kraju, trzeci — łącznie z produkcją krajową traktowali wydawnictwa emigracyjne, uznając, że najważniejszym łącznikiem jest „bycie opozycją”.

W rzeczywistości żadne z tych określeń nie odpowiadało ściśle temu zjawisku.

Nazwa „bibuła” pojawiła się jeszcze w wieku XIX na określenie druków politycznych, zwykle ulotek i gazetek, rzadziej książek drukowanych poza granicami kraju na cieniutkim papierze (właśnie bibule) i przemyconych potem przez granice. Później termin ten przeszedł już na wydawnictwa krajowe, nadal korzystające z niezwykle cienkiego papieru. Znakomicie opisuje wydawanie takiej nielegalnej gazety w początkach XX wieku Józef Piłsudski w tekście zatytułowanym właśnie „Bibuła”.

„Samizdat” pochodzi z kolei od rosyjskiego terminu *samoizdatielstwo*. Oznacza on sytuację, w której czytelnik sam powiela (np. przepisując na maszynie) czytany przez siebie nielegalny tekst. Często ów tekst przeradzał się w całkiem pokaźnej objętości książkę — np. Solżenicyn we wspomnieniach zatytułowanych „Łbem o mur” pisze, jak to jeszcze na początku lat sześćdziesiątych czytał tak właśnie powstałe wydanie „Komu bije dzwon”...

Ostatni polski samizdat spełniający te zasady to „Komunikat Komitetu Obrony Robotników” z roku 1976, a także nieregularna i sporadyczna prasa pierwszych dni stanu wojennego.

Z kolei określenie „drugi obieg” powstało jeszcze w wieku XIX, kiedy to poza carskim *dozwoleno cenzuroju* zaczęły ukazywać się wydawnictwa kościelne. Kilkadziesiąt lat później, w latach stalinowskich, nabrało to szczególnego znaczenia, bowiem był to jedyny alternatywny obieg wobec państwowego. Niedawny nasz „drugi obieg” byłby więc co najwyżej trzecim, jeśli nie czwartym (po obiegu gospodarczym).

Niezależna, nieocenzurowana... Ponieważ ten temat pojawi się jeszcze w niniejszych rozważaniach, powiedzmy na razie, że: o ile banalnym jest stwierdzenie, że trudno mówić o niezależności tytułu, jeśli jest on finansowany przez silną grupę polityczną czy partię, o tyle ciekawym przypadkiem jest... zaznaczanie cięć cenzorskich w podziemnym piśmie. Mowa o jednym z tytułów wrocławskiej *Solidarności*, w którym to redakcja (w 1985 roku) została zmuszona do zostawienia białej plamy w miejscu, z którego przewodniczący regionalnej komisji związku (wydawca) usunął tekst, który, jak to określił w zamieszczonym obok uzasadnieniu, „był szkodliwy”.

Można mniemać, że był to jedynie wierzchołek góry lodowej prasy podziemnej tamtego okresu.

Paradoksalnie, najlepsze określenie stworzyła Służba Bezpieczeństwa, mówiąc o „wydawnictwach bezdebitowych”, czyli takich, które nie posiadają zgody władz na ukazywanie się.

Zostanemy jednak przy terminie „drugi obieg”, który choć nie nazbyt precyzyjny, przyjął się powszechnie.

Grzegorz Boruta, szef największej polskiej oficyny „drugiego obiegu”, tj. Niezależnej Oficyny Wydawniczej NOWA, powiedział kiedyś, że wszystko zaczęło się w połowie lat siedemdziesiątych, kiedy to pozazdrościliśmy Rosjanom samizdatu.

Nie jest to ściśle. Historię polskiej nielegalnej prasy politycznej można zacząć już w wieku XVIII, kiedy konfederaci barscy wydawali broszury polityczne i śpiewniki niepodległościowe. Później, przez 123 lata niewoli różne ugrupowania polityczne nieustannie wydawały nielegalne publikacje lub sprowadzały je z emigracji.

Jednak najważniejszym — jakościowo i ilościowo — okresem historii II obiegu są lata 1939-45. Tu najbardziej spektakularnym przykładem jest wydawany niemal bez przerwy podziemny dziennik *Biuletyn Informacyjny*.

Kolejny znaczący okres, którego jednak po dziś dzień nie udało się historykom rzetelnie opracować, to lata 1944-53, kiedy to ukazywała się podziemna, antykomunistyczna prasa, drukowana w większości na odziedziczonym po Polskim Państwie Podziemnym sprzęcie drukarskim. Wśród niej najpoważniejszą zapewne grupę stanowiła prasa WiNowska, której ostatni znany mi egzemplarz pochodzi z początków roku 1950.

Lata następne to samizdat i publikacje drugiego obiegu kościelnego oraz obiegu, nazwijmy go umownie „trzecim”, czyli literatury jarmarcznej. Powszechnie przepisywano więc np. homilie Prymasa Wyszyńskiego, a z drugiej strony senniki czy literaturę „burżuazyjno-dekadencją” (np. „Trędowatą”). Trzeba jednak pamiętać, że w ówczesnym kontekście politycznym takie postępowanie kwalifikowane było jako „zmierzające do obalenia ustroju” i odpowiadało się za nie niemal jak za zbrojne podziemie.

Wśród kolejnych podrozdziałów historii walki o wolne słowo w PRL wspomnieć należy jeszcze:

— odwilż roku 1956 i powielany masowo tajny referat Chruszczowa oraz pierwsze masowo docierające do Polski egzemplarze *Kultury*;

— okres przedmilenijny (1962-66) i falę wydawnictw kościelnych;

— marzec 1968 i samizdat studencki;

— koniec lat 60-tych i grupę „Ruch”, która na powielaczku wydała kilka numerów swojego pisma, a do więzienia została zamknięta za rzekomy terroryzm.

Gierek swoją epokę zaznaczył również sprowadzeniem pierwszych urządzeń kopiujących i poligraficznych. Coraz częściej zaczęły się więc pojawiać kserokopie emigracyjnych książek...

Jednak początki niezależnego ruchu wydawniczego, bezpośredniego poprzednika drugiego obiegu, sięgają wiosny 1976 roku, kiedy to środowisko lubelskich „Spotkań” sprowadziło do tego miasta powielacz z zamiarem uruchomienia podziemnego wydawnictwa. Jeszcze przed czerwcem 1976 ukazał się tu „Folwark zwierzęcy” Orwella. Następnie, po radomskich protestach robotniczych, powstał Komitet Obrony Robotników, a we wrześniu ukazał się pierwszy numer *Biuletynu Informacyjnego KOR*, początkowo przepisywanego w Warszawie na maszynie, a wkrótce potem już powielanego w Lublinie. W rok później powstała tam Nieocenzurowana Oficyna Wydawnicza, która wkrótce za sprawą Mirosława Chojeckiego przeniesiona została do Warszawy i tam przyjęła późniejszą nazwę.

Wkrótce zaczęły powstawać kolejne wydawnictwa: w Warszawie „Głos”, z którego później odłączył się „Krań”, następnie „Wydawnictwo 3 Maja” (później „Rytm”), w Krakowie — „Krakowska Oficyna Studentów” (dziś „Oficyna Literacka”). Pojawiły się też pierwsze pisma: *Res Publica* — dziś ukazująca się już legalnie, *Głos, Puls* (dziś w Londynie), studencki *Indeks* czy najgłośniejsze z nich — kwartalnik literacki *Zapis* z Andrzejewskim, Barańczakiem, Drawiczem, Nowakowskim, Michnikiem i wielu innymi. Szacuje się, że do sierpnia 1980 ukazywało się około 200 tytułów pism, wyszło ponad 300 tytułów książek i broszur, działało około 35 wydawnictw.

Cechy tamtego drugiego obiegu najlepiej oddaje tytuł *Zapis* — kojarzący się z kroniką czasów, ale przede wszystkim z zapisem cenzorskim. Bowiem wydawanie tekstów, które oficjalnie były zakazane przez cenzurę, było głównym podówczas zadaniem „bibuły”. Między innymi dzięki temu szerzej trafiły do krajowego czytelnika książki Orwella, Bölla, Solżenicyna, Miłosza, Gombrowicza, Andrzejewskiego. Nie można przy tym ani przez chwilę zapominać (choć to inny temat) o roli polskiej emigracji politycznej. To jednak przede wszystkim dzięki jej wieloletniemu dorobkowi i działalności kraj miał CO przedrukowywać, a pomoc materialna i finansowa stała u początków pracy niemal każdego podziemnego wydawcy. Jeśli więc dzisiaj większość wspomnianych tytułów znana jest nam z edycji „naziemnych”, to jest to zasługa właśnie emigracji i naszego drugiego obiegu. Ale kto wie, czy z perspektywy czasu najbardziej istotny jest nie tyle dorobek kulturalny, ile wybitcie pierwszych szczylin w ideologicznym monopolu państwowym.

Dzięki temu pierwszemu, pionierskiemu okresowi, następnym etap, czyli 16 miesięcy „Solidarności”, mógł zaowocować tak nie-

słuchanym rozkwitem niezależnego edytorstwa. Dość powiedzieć, że liczba tytułów pism wzrosła do 3,5 tys., wydawnictw do blisko 160, wydanych tytułów do 2,5 tys.

Tamten okres po raz pierwszy ukazał dobitnie, jak potężną siłą polityczną może być niezależne słowo: wspomagało samoorganizację społeczeństwa, unaoczniało siłę ruchu. Chociaż jego głównym zadaniem była nadal komplementarność wobec pierwszego obiegu, to pojawiły się również po raz pierwszy na większą skalę wydawnictwa, nazwijmy je „estetyzujące” oraz po prostu propagandowe.

Historia zmieniła się dosyć radykalnie 13 grudnia 1981. Zdecydowana większość wydawnictw została rozbita. Oczywiście na ich miejsce bardzo szybko zaczęły powstawać nowe, ale warto zauważyć, że nawet w szczytowym punkcie „wojennego” drugiego obiegu (przełom 1982/83) łączna liczba np. tytułów prasowych była ok. 3 razy mniejsza niż w roku 1981.

Oczywiście sytuacja stanu wojennego postawiła pytanie o istotę drugiego obiegu. Pierwsze miesiące to przede wszystkim wypełnianie luki informacyjnej oraz działania propagandowe.

Np. NOWA od pierwszych dni drukowała *Tygodnik Mazowsze*, najważniejszą gazetę drugiego obiegu ostatnich lat. A kiedy pojawiło się pierwsze poważniejsze pismo literackie (*Wezwanie*), spotkało się z silną krytyką niektórych środowisk, twierdzących, że wszystkie siły poligrafii powinny zostać oddane na potrzeby walki związku z komunistami.

Oczywistą konsekwencją takiej postawy był obecny niemal do końca w części prasy podziemnej agresywny ton wypowiedzi, wiara w sprawczą moc słowa drukowanego. Myślę np. o pismach niewielkich, ale dość krzykliwych partii (por. *Contra*, pismo Liberalno-Demokratycznej Partii „Niepodległość”).

Inny model, to uporczywe trzymanie się komplementarności wobec pierwszego obiegu — należy drukować tylko to, czego nie puszcza cenzura. Jak wkrótce się jednak okazało, przyjęcie takiej koncepcji prowadziło w ślepią uliczkę. Nie wystarczy bowiem zniesienie cenzury, by pojawiła się prasa niezależna i bezstronna. Ponadto, w miarę rozluźniania cenzury, drugi obieg paradoksalnie miał być emanacją wolnego słowa, był kształtowany przez urząd cenzury. Zresztą już władze stanu wojennego, znakomicie radząc sobie z propagandą, znosiły wiele zapisów na książki, które jeszcze niedawo były dziełem szatana. W ten sposób zapewne tylko powieści Józefa Mackiewicza mogłyby się ostać przy najbardziej liberalnych władzach, a i to dlatego, że za-

strzegł sobie w testamencie, by książek jego nie wydawano oficjalnie w PRL.

Inny, trzeci już model drugiego obiegu, nawiązywał do tak modnego w ostatnich czasach liberalizmu wolnorynkowego, co — w największym skrócie — sprowadzało się do twierdzenia, że tak długo jest dobrze, póki wydawnictwa i kolporterzy potrafią po prostu zarobić. Ale wolny rynek wydawnictw podziemnych był utopią, choćby dlatego, że musi on funkcjonować w oparciu o prawo, a jakież to prawo może funkcjonować w podziemiu, gdzie w dodatku większość wydawnictw działa w oparciu o dotacje?

Taki *quasi*-wolny rynek mógł oznaczać (i zwykle oznaczał) tylko podnoszenie cen. Oczywiście, niektórzy twierdzili, że książek nie trzeba kupować (wolny wybór), ale patrząc w ten sposób to niewiele rzeczy trzeba robić. Poza tym śrubowanie cen, a co za tym idzie rentowność wydawnictw nielegalnych, były w jakimś sensie wypadkową obrazu opozycji politycznej wśród potencjalnych klientów. A w końcu, jeśli dochód miał być najważniejszy, to czemu nie drukować senników lub po prostu pornografii?

Ostatnim, czwartym modelem, stała się tzw. „normalność”, tj. traktowanie drugiego obiegu jak obiegu normalnego, w którym wydajemy co chcemy i jak chcemy, nie patrząc na zyski, a tylko na dobro Kultury, Prawdy, Społeczeństwa (wszystko z dużej litery).

Abstrahując teraz od niepotrzebnego być może sarkazmu, byłby to może model najlepszy, gdyby nie to, że... każde podziemie było, jest i będzie z natury anormalne i pozbawione jakiegokolwiek kontroli. W rezultacie zdarzają się nadużycia edytorskie, finansowe (nikt się nie przejmuje pieniędzmi, bo te idą od sponsorów), czy po prostu literackie. Trzeba było dopiero, by swego czasu tygodnik *Polityka* „rozreklamował” kiczowatą powieść o Urbanie, aby dojrzeć ten wierzchołek góry lodowej.

Oczywiście żaden z tych modeli (propagandowy, komplementarny, wolnorynkowy czy też „normalny”) nie występował w formie czystej, lecz zwykle mieszał się z innymi. Faktem jednak jest, że żaden z nich nie był na tyle nośny, aby stanowić jakąś perspektywę dla budowanego normalnego społeczeństwa. Stać się musiało to, co się stało.

Nie pojawiły się wysokonakładowe, powszechnie dostępne publikacje o szczególnie wysokich walorach literackich czy też edukacyjnych, polityka wydawnicza była chaotyczna, ceny nieustannie rosły, ilość tytułów gwałtownie w ostatnich latach spa-

dała, a w wielu przypadkach nastąpiło po prostu zdeprecjonowanie działalności niezależnej.

Oczywiście, raz jeszcze należy podkreślić wszystkie zasługi drugiego obiegu — dla kultury polskiej, dla realnej polityki opozycji, dla walki o demokrację i wolne słowo. Zasługi te w końcu stały się jednak mitem, którego po dziś dzień nikt nie umie zdyskontować.

Jedynym rozsądnym rozwiązaniem wydawało się, szczególnie po upadku komunizmu, wyjście na powierzchnię i zalegalizowanie działalności. Przez długi czas było to niemożliwe ze względów politycznych, jednak po wygranych wyborach i objęciu rządu przez Mazowieckiego wielu było przekonanych, że sytuacja będzie znacznie prostsza i drugi obieg w końcu przestanie pożerać własny ogon, stając się szansą stworzenia właśnie owej czwartej władzy, bezstronnie kontrolującej życie polityczne.

Wydawało się, że niezbędne jest spełnienie trzech warunków: całkowite zniesienie cenzury, zlikwidowanie monopolu RSW-Prasy, a w zamian umożliwienie poszczególnym redakcjom korzystania z jej majątku, poligrafii i kolportażu oraz oderwanie pism od szeroko pojmowanego ruchu „Solidarność”, tak by móc go również kontrolować i nie doprowadzić do powstania nowego monopolu informacyjnego.

Cóż jednak się stało? Oto cenzura została zniesiona, RSW rozwiązane, a i monopolu, wbrew temu co niektórzy mówią, nie widać. Trudno bowiem za monopol uznać istnienie obok siebie pism o tak różnych orientacjach politycznych jak *Gazeta Wyborcza*, *Czas Krakowski*, *Młoda Polska*, *Tygodnik Solidarność*, *Tygodnik Powszechny*.

Zdarzyła się jednak rzecz, którą trudno nazwać inaczej jak „upartyjnieniem” prasy krajowej. Okazało się, że wielość stanowisk politycznych nie musi od razu oznaczać, że „prasa to potęga”, że istnieją jakiegokolwiek tytuły, które dzięki swej bezstronności byłyby wysoce wiarygodne, czy wreszcie takie, które istniałyby po to tylko, by zaspokajać najbardziej podstawowe potrzeby czytelnika: informację, odbicie codzienności, (która wcale nie jest tak upolityczniona), wypoczynek.

Jasne jest dla dzisiejszej prasy, że jeśli ktoś jest zwolennikiem Lecha Wałęsy i Porozumienia Centrum, to polemikę z przeciwnikami zacznie od oskarżenia ich o „lewicowość”, jeśli nie „kryptokomunizm”. Odwrotnie, zwolennicy Mazowieckiego (skrótowo rzecz biorąc), swym oponentom chętnie wytkną zaściankowość, populizm i ksenofobiczne ciągotki. Pleni się więc tendencyjność, manipulacja i traktowanie prasy jak śmiercionośnej broni. Nic więc dziwnego, że nie sposób sobie wyobrazić, by polemizował ktoś z poglądami, które — jak zasady dziennikarstwa nakazują — należałoby najpierw streścić. Trudno też li-

czyć na rzeczową analizę stanowisk. Oczywiście jest też, że nazwisko osoby z przeciwnego obozu, jeśli już pojawi się w piśmie, to tylko w kontekście negatywnym. Dochodzi do sytuacji, w której wybitny publicysta odmawia przyjęcia nagrody przyznanej mu przez niezależną i zasłużoną organizację, tylko dlatego, że podobną nagrodę otrzymała również osoba, z której poglądami się nie zgadza.

Jasne jest przy tym dla mnie, że i każdy dziennikarz ma swoje poglądy, które jakoś powinien przedstawiać, i jest przy tym miejsce w każdym państwie dla prasy partyjnej. Ale to nie może być jeden panujący model.

Tak więc rozbitcie komunizmu i demonopolizacja komunistycznego systemu prasowego nie oznaczają bynajmniej, że niezależność, podstawowa cecha, z myślą o której budowano kiedyś drugi obieg, stała się wrodzoną cechą nowej prasy.

Dlaczego tak się stało? Odpowiedzi jest wiele. Nierzetelność dziennikarska wynika często nie tyle z nastawienia, ile z braku umiejętności warsztatowych. Po wtóre — sytuacja gospodarcza kraju (pauperyzacja czytelników, stan przejściowy na rynku prasowym, brak kapitału, który tworzyłby nowe tytuły) nie sprzyja odrywaniu prasy od dominujących grup politycznych.

Po trzecie jednak — a to niestety jest element najistotniejszy — „partyjnością” skażeni są sami dziennikarze i redaktorzy, i to nawet najbardziej poważanych i cenionych tytułów. Wygląda na to, że nadal pokutuje tu wyniesiony jeszcze z podziemia czy też z czasów walki z „czerwonym” kompleks obłądzonej twierdzy: przekonanie o słuszności tylko swoich poglądów oraz wynikające z tego żądanie absolutnej ich akceptacji, a traktowanie poglądów odmiennych jako wrogich.

Taki małeńki spadek po komunizmie.

Witold BERES

Poezja jako przetrwanie

WASYL STUS — W PIĄTĄ ROCZNICĘ ŚMIERCI

Czwartego września 1990 roku minęło pięć lat od tragicznej śmierci jednego z największych poetów ukraińskich — Wasyla Stusa. Poeta zmarł w obozie pracy o zastrzonym rygorze Kuczino w obwodzie permskim. Spędził dwanaście lat w sowieckich

więzieniach, obozach koncentracyjnych, na zesłaniu.

Okoliczności polityczne sprawiły, że Stus debiutował książką poetycką jako dojrzały twórca dysponujący oryginalnym warsztatem, indywidualnym głosem, orientacją w tradycji. W sumie wydał trzy tomy wierszy i wszystkie na Zachodzie: *Zymowi derewa* (1970), *Swicza w swidaczi* (1977) i, pośmiertnie, *Palimpsesty* (1986). O Stusie i jego poezji napisano kilka prac krytycznoliterackich i wspomnień. Ciekawie sylwetkę poety przedstawił Michaił Chajfec w książce *Ukraińskie siluety*¹. Poezję Stusa zaczynają interesować się krytycy i tłumacze nie tylko ukraińscy².

Przez dwadzieścia ostatnich lat próbowano na Ukrainie i w Związku Sowieckim wymazać jego nazwisko, a twórczość skazać na banicję. Dziś poeta ten wraca na należne mu miejsce w obszarze kultury ukraińskiej, lecz nadal władze w Kijowie czynią w tej sprawie trudności. Kiedy Związek Pisarzy Ukrainy wystosował 12 stycznia tego roku list do Rady Najwyższej republiki i prokuratury kijowskiej w kwestii niezwłocznej rehabilitacji Stusa, bezprawnie oskarżonego i skazywanego, prokuratura odmówiła, decyzję uzasadniając brakiem podstaw do wszczęcia postępowania rehabilitującego. Wydaje się jednak, że ten symboliczny akt sprawiedliwości zostanie dokonany w nieodległym już czasie.

Urodził się w 1938 roku we wsi Rachniłka w obwodzie winnickim. Jak większość współczesnej ukraińskiej inteligencji pochodził z rodziny chłopskiej i kształcił się w szkołach sowieckich. Ukończył doniecki instytut pedagogiczny, był nauczycielem, dziennikarzem, górnikiem. W 1963 roku otrzymał stanowisko aspiranta w Instytucie Literatury Akademii Nauk USSR. Temat przygotowywanej przez niego dysertacji brzmiał — *Źródła emocjonalności utworu artystycznego (na materiale poezji współczesnej)*. Stus w tym czasie wiele pisze, zwłaszcza poezje, lecz stosunkowo mało drukuje. Nie uważa się jeszcze za twórcę o wyraźnie skryształizowanej osobowości. Jest to dla niego czas intensywnej pracy nad sobą, prób krytycznoliterackich, przekładów. Interesuje się Rilkiem, Goethem, Kiplingiem.

Jego wczesną twórczość charakteryzuje wyraźnie ujawniona potrzeba osiągnięcia możliwie wysokiego poziomu artystycznej samoświadomości. Króluje poetyckie „ja”. Przeważają zapisy wewnętrznych poruszeń świadomości, stanów emocjonalnych. Poszukuje harmonii doświadczeń intelektualnych i artystycznych emocji. Zewnętrzna faktura wierszy Stusa niczym szczególnym

1. M. Chajfec, *Ukraińskie siluety*, „Suczasnist” 1983.

2. Zob. np.: W. Odojewski, *Wasył Stus — polityczny mord*, „Archipelag” nr 11, 1985 r. Vasyl Stus, *Selected Poems*, transl. by Yaropolk Lassovsky, intr. by Y. Shevelov, ed. The Ukrainian Free University, Munich 1987.

się nie wyróżnia. Dominuje tu kanon poezji stroficznej, rymowanej, niekiedy przełamany dysonansem intonacyjnym, kontrastem obrazowym. Ale już wówczas zarysuje się ważny w tej poezji konflikt między tym, co wewnętrzne, emocjonalne a tym, co można nazwać przecuciem płynącego z zewnątrz zagrożenia, poczuciem samotności, a także niechęcią do obowiązujących form życia społecznego.

Stus był niesłuchanie wyczulony na sprawę wolności artysty, ale nie oddzielał tej kwestii od zagadnień wolności człowieka, obywatela. Reagował w sposób emocjonalny na dostrzegane coraz wyraźniej polityczne i społeczne upośledzenie zbiorowości ukraińskiej. Jak większość poetów rozpoczynających twórcze życie na Ukrainie w latach sześćdziesiątych widział heroiczne próby odrodzenia kultury narodowej i brutalne działania władzy, która za wszelką cenę pragnęła te dążenia zdławić. Sowieckie władze szybko wycyfały się z polityki ukrainizacji wprowadzonej przez Petro Szelesta. Rozpoczęto polowania na czarownice, pogromy ukraińskiej inteligencji. Stus włączył się spontanicznie w ruch społecznych protestów. Na zadawane ludziom krzywdy reagował coraz gwałtowniej. Momentem zwrotnym w jego życiu było wydarzenie z 4 września 1965 roku (dokładnie dwadzieścia lat później Stus zmarł w obozie) w kinoteatrze *Ukraina*, gdzie zorganizowano propagandową uroczystość z okazji premiery filmu *Cienie zapomnianych przodków*. Jak wiadomo, Stus wystąpił wówczas z ostrym publicznym protestem przeciwko fałszowaniu historii, zbrodniom i aresztowaniom dokonywanym wśród ukraińskiej inteligencji. Natychmiast po tym incydencie zwolniono go z pracy w Akademii Nauk.

Już wcześniej był ignorowany przez władze. Jego tom wierszy *Zymowi derewa* przetrzymywano bez wyjaśnień, a później zdecydowanie odrzucono. W tej sytuacji wyjściem był tylko samizdat. Jeden z egzemplarzy maszynopisu trafił za granicę i tam został wydrukowany. Od tej chwili Stus przestał istnieć w granicach oficjalnego życia kulturalnego. Podobnie zresztą jak wielu innych twórców literatury protestujących przeciwko złu, jak I. Dziuba, W. Czornowił, S. Karawansky. Bez pracy, środków utrzymania, w trudnej sytuacji rodzinnej, pomaga jeszcze innym, skrzywdzonym przez władze. Pisze podania, apele. Jego poezja w tym okresie charakteryzuje się narastającą konfliktowością, wiersze przepełnia hiperbolizowany dramatyzm. Poetę przygniata niepewność i niedookreśloność własnego losu, przyszłości najbliższych. Nie dąży jednak w stronę plakatowej poezji politycznej, choćby nawet miała to być poezja antysowiecka. Niekiedy wyganiana polityczność realizuje się w pewnym sensie automatycznie, wówczas gdy poeta pisze o sytuacji zagrożenia, o własnym życiu. Ta twórczość posłuży później jako dowód w rozprawie o działalność antypaństwową.

W 1968 roku Stus pisze *List otwarty do Związku Pisarzy Ukrainy*, zarzucając władzom tego stowarzyszenia milczenie wobec nagonki rozpętanej na Swiatosława Karawańskoho i Wiaczesława Czornowoła. Pisarzom drukującym za zgodą władz zarzucił zdradę narodowej kultury i znieczulenie moralne. W styczniu 1972 roku został aresztowany i po ośmiu miesiącach śledztwa skazany za to, że (tu wyciąg z sentencji wyroku): „(...) systematycznie przygotowywał, zbierał i rozpowszechniał antysowieckie oszczercze dokumenty, które opluwają sowiecki ład państwowy i społeczny, a także zajmował się antysowiecką agitacją w ustnej formie i czynił to na gruncie antysowieckich przekonań oraz niezadowolonia z istniejącego w ZSSR ładu państwowego i społecznego, w celu podważenia i osłabienia władzy sowieckiej³”. Wyrok brzmiał: 5 lat obozu o zaostrożnym reżimie w Mordowii i 3 lata zesłania na Syberię.

Aby uprawdopodobnić akt oskarżenia wobec Stusa, a także wobec innych przeciwników neostalinizmu, KGB zorganizował prowokację, którą prasa określiła mianem „sprawy Dobosza”. W istocie, dobrze wprowadzeni konfidenci organizowali i podburzali spotkania inteligencji, które później służyły jako dowód w oskarżeniu. Podłoże całej sprawy i jej własną ocenę Stus przedstawia w swoim dzienniku⁴.

Z obozu nadchodziły trwożne wieści o stanie zdrowia poety. W listopadzie 1976 roku przyjaciele poety zwrócili się o pomoc dla niego do Amnesty International, Pen-Clubu i ludzi dobrej woli. Interwencje opinii publicznej i licznych organizacji były jednak bez znaczenia dla breżniewowskiej władzy. Władza ta uznała, że Stus nie nadaje się do „resocjalizacji” i że trzeba go zniszczyć. Siła jego poetyckiego głosu nadal przebijała zwięź milczenia, świadczyła prawdę, była niebezpieczna.

Przyczynę nagłego pogorszenia zdrowia Stusa stanowiły represje, jakie spadły na niego po wysłaniu w 1975 roku listu otwartego pt. *Oskarżam*, w którym poeta obwiniał władze sowieckie i KGB o dokonanie licznych zbrodni na społeczeństwie ukraińskim. W lipcu 1975 został zaatakowany i raniony kilkanaście razy przez nazistowskiego kolaboranta Nidelnikowa. Była to, rzec można, zwykła procedura obozu karnego. Kryminaliści, mordercy, gwałciciele, kolaboranci mieli uprzywilejowaną pozycję w Gułagu, wykorzystywano ich do terroryzowania więźniów politycznych.

3. M. Żułyński, *Wasył Stus*, „Literaturna Ukraina” nr 3, 1990, s. 3.

4. Zob.: *The Tragic fate of Wasył Stus*, „ABN Correspondence” nr 1, 1988, s. 9.

Stus zapadł na chorobę serca i ciężką chorobę wrzodową żołądka. Podjęte w więziennych warunkach i zbyt późno operacje, w wyniku których utracił jedną trzecią żołądka, na pewno przyczyniły się do jego przedwczesnej śmierci. Nie zważając na stan zdrowia Stus nadal walczył z władzami obozowymi o poprawę warunków życia, godne traktowanie i zwrot skonfiskowanych utworów. Było ich około ośmiuset, cały wieloletni dorobek. Oprócz tego domagał się zniesienia zakazu korespondencji z rodziną i cofnięcia zakazu pisania. Ongiś taki sam zakaz ścigał Tarasa Szewczenkę. Kiedy te wysiłki nie przyniosły rezultatu, Stus wysłał 1 sierpnia 1976 roku list, w którym oficjalnie zrzekł się obywatelstwa sowieckiego, nie chcąc być poddanym państwa tak bezwzględnie łamiącego prawa człowieka. W 1977 roku emigracyjne wydawnictwo ukraińskie *Suczasnist* publikuje ocalały dorobek poety w zbiorze *Swicza w swidaczi* (*Świeca w zwierciadle*).

W odróżnieniu od swoich rówieśników Stus nie był zwolnikiem ani poezji dosłownie politycznej, ani też formalnych eksperymentów bliskich parnasistowskiemu awangardyzmowi. Jego liryka nie wyróżnia się efektywnym nowatorstwem, czy też szczególnym naciskiem na intelektualizm, tak modny wśród ukraińskich poetów w latach 60-tych i 70-tych. Łączy go z nimi niechęć do liryki zbyt opisowej, rozbudowanego epitetu, a skłonność do wyszukanej metafory. Z czasem uwyraźni się krąg literackich inspiracji najbliższych poecie. Będzie on próbował pogodzić w swojej twórczości nurt liryki neoromantycznej, biorącej rodowód z dokonań Tarasa Szewczenki, z tradycją imażynizmu, klasycyzmu i nowszych osiągnięć awangardowych. Ta różnorodność może stwarzać pokusę budowania całkiem odmiennych portretów artystycznych. Zwłaszcza wtedy, gdy poddaje się twórczość Stusa próbie przekładu. Wspaniałe tłumaczenia Łobodowskiego i Woroszyłskiego osadzają tę lirykę w tradycji romantycznej, w nurcie Szewczenki. Dotyczy to zwłaszcza przekładów Łobodowskiego. Ale przecież nie jest to obraz ostateczny, niepodważalny. Wypada zwrócić uwagę na pewien, być może zewnętrzny, wpływ poezji Mandelsztama i nowszego, posteliotowskiego klasycyzmu. Fascynacja twórczością Rilkego również znajdzie interesujące odbicie w liryce autora *Palimpsestów*.

Kręgi kultury narodowej i kultury uniwersalnej, romantyzm i klasycyzm, podmiot liryczny jako tragicznie rozdarta osobowość, wyobcowana, przekłeta, i jako aktywne medium zbiorowych doświadczeń. Tradycja artystyczna i dzika współczesność.

Ironia i gniew. Między skrajnymi doświadczeniami, emocjami, między klęską i wiarą — powstaje osobliwy kanon poezji.

Nie tylko Stus próbował pogodzić tak sprzeczne energie i doznania wynikające z obowiązków poety-podmiotu dzieła sztuki i poety-medium zbiorowości. W ówczesnej sytuacji literatury ukraińskiej taka postawa wydawała się oczywista, ba, niezbędna. Widać to w twórczości innych poetów: Czornowola, Dziuby, Osadczo, Kałyncia, Moroza. Nie była to poezja obywatelska, publicystyczna, jak w przypadku M. Chołodnoho, ale też nie artystowska.

W twórczości ostatnich lat życia Stus wychodzi szczęśliwie poza mielizny łatwego poezjowania w konwencji klasycystycznej jak i obywatelskiego romantyzmu. Kształtują go niezwykle trudne warunki egzystencji. Mówi o nich własnym głosem, z intensywną, poetycką przenikliwością. Wciąż szuka artystycznych granic dla swojej poezji. Poszukuje ekstremalnych tonów i wyrazistych form językowych. Widać to w pesymistyczno-ironiczno-tragicznym cyklu *Wesoły cwintar* (*Wesoły cmentarz*), w ciemnych wierszach obozowych, choć także w niezwykle intensywnie przeżytych obrazach kołymskiej przyrody.

Zsyłkę odbywa Stus na Magadanie, gdzie przymusowo zostaje skierowany do pracy w kopalni. W sierpniu 1979 roku poeta kończy zesłanie i wróciwszy do Kijowa natychmiast włącza się w działalność Ukraińskiej Grupy Helsińskiej. Grupa ta niedługo znajdzie się w łagrach. Nie bacząc na zagrożenia i katastrofalny stan zdrowia, Stus jest aktywny w pracach grupy helsińskiej, jak również próbuje uporządkować ocalały dorobek literacki, uzupełnia swój *Dziennik więzienny*, odtwarza skonfiskowane wiersze. Zdaje sobie sprawę, że wolność, ten bezcenny przywilej człowieka, będzie krótkotrwałą szansą, że następnego wyroku w obozie może już nie przeżyć.

W kwietniu 1980 roku zostaje ponownie aresztowany i skazany na 10 lat obozu i 5 lat zesłania. Przebywał w łagrze pod Perm. Za rozmaite przejawy nieposłuszeństwa, uczestniczenie w działaniach przeciwko władzom obozu otrzymuje karę roku izolacji i zmniejszoną rację żywnościową. Nieprawdopodobna jest siła woli i fizyczna odporność tego skrajnie wyniszczonego przez obozowy system człowieka. Hardość, duma i poczucie sprawiedliwości nie pozwalają mu godzić się z prawomocnością kar. Pozbawiony jednej trzeciej żołądka, chory na serce, zapadł jeszcze na ostrą niewydolność nerek. A władze pozbawiają go paczek żywnościowych, widzeń z rodziną, konfiskują nowy tom wierszy zatytułowany *Ptach duszy* (*Ptak duszy*), co głęboko prze-

żył. Stus uczył się swoich wierszy na pamięć, niektóre ofiarował przyjaciółom, wiedział że tylko w ten sposób może je ocalić, zachować. Przeczuwał, iż niewiele zostało mu życia. Chciał więc tworzyć, tego domagał się przede wszystkim, ale ściagał go dziki i nieubłagany zakaz pisania.

Od pierwszego tomu poprzez kolejne zbiory wierszy krąg powtarzanych tematów i motywów coraz bardziej się zwęża. W *Palimpsestach* jest to obsesyjny, wciąż ten sam, obraz kołymskich sosen, wygnania, oddalenia od źródeł, samotności. Ubogiej kołymskiej wiosnie lub niekończącej się zimie, kolczastym drutem, kratom, cieniom ludzi snujących się po bezkresnej przestrzeni przeciwstawia Stus żarliwą nadzieję na wieczne istnienie Ukrainy. Jej obraz, chociaż tragiczny, staje się jednak coraz bardziej odległy, przymglony. To roztrzaskany mit, raj splądrowany⁵.

W swojej poezji Stus nie poszukuje nowych tematów czy motywów, to one same go znajdują, wymuszają swoje poetyckie istnienie, nierządno wbrew jego woli, czemu daje wyraz w wierszach. Świat zewnętrzny jest jednak niezwykle ubogi, w tej mierze liryczne opisy są niemal realistyczne. Poeta rozbudowuje świat wewnętrzny. Jest to głos człowieka, który ma wprawdzie ręce skrępowane drutem kolczastym, ale potrafi myśleć, marzyć, buntować się. Poezję Stusa przenikają konflikty sprzecznych uczuć, miłości i nienawiści, pogardy i zachwytu, wiary i zwątpienia. Oscylowanie w sprzecznościach własnych nastrojów wydaje się poecie jedyną drogą do prawdy o samym sobie i otaczającym go świecie.

W poezji Stusa podmiot liryczny jest zawsze sam. Sam mierzy się z cierpieniem, zwątpieniem. Wiersz staje się swoistym lustrem, w którym Stus przegląda się z grymasem, autoironią, nierządno i sztyrdstwem. *Jesteśmy niczym odwrócone świece — jedyną własną duszę oświetlamy* — pisał w tomie *Swicza w swiadaci*. Samotność jest u Stusa nie tylko efektem konkretnych doświadczeń własnych, lecz także kategorią ogólnoludzką i filozoficzną. Motyw człowieka zamkniętego za murem, choć żyjącego w świecie pozornie rozległym, nieograniczonym wręcz, jest chyba jednym z najważniejszych. Można wskazać na kilka wariantów ograniczenia — od zwykłego lochu poczynając, a na

5. Piszą o tym: A. Szum, *Poezija Wasyla Stusa* (wstęp w:) W. Stus, *Zymowi derewa*, Bruksela 1970; M. Carynyk, *Powernennia Orfeja* (wstęp w:) W. Stus, *Swicza w swiadaci*, „Suczasnist” 1977; J. Szewielow, *Trunok i trutizna. Pro „Palimpsesty” Wasylia Stusa* (wstęp w:) W. Stus, *Palimpsesty*, „Suczasnist” 1986.

niewidzialnym murze zbudowanym z pustki, dosłownej pustki w przestrzeni i w czasie, której uprzedmiotowieniem stało się dla Stusa lodowate piekło Kołomy, kończąc. Wszelako idea człowieka zamkniętego w świecie przerastającym go swoją bezludzką miarą nie wyklucza oporu ciała i myśli. W jakimś sensie pobudza refleksję. Świadomość własnej kondycji i wszystkich jej konsekwencji wynosi poetę ponad trywialny, codzienny koszmarny.

Odnalezienie siebie w świecie kolczastych drutów, wielkiej pustki ludzkiej, ciągłego zagrożenia śmiercią oznacza dla Stusa nie tylko wzmoczone stany autorefleksji, śledzenia poruszeń własnej duszy i dawania im wyrazu w poetyckich obrazach cierpienia. Pozostaje jeszcze druga linia utożsamień, niezwykle ważna — świadomość przynależności do ukraińskiego losu. W *Zymowych derewach* Ukraina jest dla niego intensywnie przeżywaną zewnętrżnością, także częścią historii (np. *Kostomarow w Saratowi*) i jednocześnie światem pełnym surrealistycznych zdarzeń, surrealistycznego napięcia. W *Palimpsestach* identyfikacja stanie się silniejsza, nasycona emocjonalnie, konkretna, a zarazem zdradza pewne cechy abstrakcyjne. Ukraina będzie mglistym wspomnieniem (...za setką dali ojczyzna, ptaszyna wystraszona...) gorącym ideałem. Jest też i odwrotnie: zabita ojczyzna, mali ludzie, którzy liżą łapę oprawcom — to również jeden z dramatycznych wątków poezji Wasyla Stusa — *Dopala się świeca — a spróbuj, znajdź człowieka na całej wielkiej Ukrainie*, (*Palimpsesty*, s. 376).

Świat poezji Stusa bywa też mniej tragiczny, za to bardziej podporządkowany widzeniu poprzez groteskę, wisielczy humor, jak w cyklu *Weselyj cwintar*. Te tradycje świata na opak bliskie są niektórym nurtom poezji ukraińskiej, a nawet samemu Szewczence. Obu poetów łączy nieposkromiona żywiołowość, hardość, swoisty wisielczy, a jednocześnie tragiczny typ ironii, niebywała wiara w odrodzenie narodu i jego kultury. Szewczenko był w pewnym sensie rewolucjonistą ukraińskiej poezji, Stus jest twórcą pragnącym uchronić to, co już powstało. Istotą jego poezji, wcale nie konserwatywnej ani epigońskiej, jest kontrast o charakterze synestezyjnym, zderzenie barw, filozoficznych zapytań, retorycznych figur.

*I gdzie ty jesteś? I gdzie ty tylko jesteś?
Tutaj, w błocie spowolnionego świata?
Czy tam — skąd idziesz? Czy tam, skąd
nie ma dla ciebie więcej powrotu?*

(*Zymowi derewa*, s. 147)

W nocy z 3 na 4 września 1985 roku Wasyl Stus umiera. Dokonuje się rytuał Gułagu, pospieszny pochówek na przyobozowym cmentarzu, na grobie zamiast nazwiska tabliczka z numerem ewidencyjnym. Rodzinie Stusa nie pozwolono przemieścić jego prochów do Kijowa. Dopiero w 1989 roku spoczęły one na jednym z kijowskich cmentarzy. Ten powtórnym pogrzeb przerodził się w wielką manifestację uczuć narodowych. Wiosną 1990 roku „nieznani sprawcy” sprofanowali grób poety, niszcząc krzyż, paląc złożone pod nim kwiaty i wieńce. Ale czas w Kijowie biegnie coraz szybciej. Być może niedługo ci, którzy z takim uporem odmawiają pełnej rehabilitacji Stusa, sami staną przed trybunałem. Dla poezji jest to już bez znaczenia. Żyje ona w społecznym krwiobiegu coraz intensywniej, niezależnie od takich czy innych koniunktur.

Bogusław BAKUŁA

Poznań, 25 lipca 1990 r.

Stulecie Zofii Kozarynowej

Rzadko się zdarza, by spełniały się życzenia „stu lat”, optymistycznie, choć nie zawsze dla ich dobra, składane solenizantom. Spełniły się dla pisarki Zofii Kozarynowej, która 20 września obchodziła stulecie urodzin.

Nie była to jedyna wyjątkowa okoliczność. W Anglii była sporo stulatków, ale jeśli któregoś z nich jeszcze można pokazać w telewizji czy w pismach, wszystko do czego jest zdolny to trzymać w ręku gratulacyjny telegram od królowej. Zofia Kozarynowa nieustannie, do dzisiaj, pracuje, pisze i drukuje. I nie żadne drobniaczki, przyjmowane przez czytelników z taryfą ulgową, ale szkice oparte na poważnej wiedzy, nieustannej lekturze i wspomnieniach, wciąż żywych, łączących daleką przeszłość z dniem dzisiejszym. Przykładem mogą być dwa jej niedawne artykuły w londyńskim *Tygodniu Polskim*. Jeden był o pisarstwie — i osobie — Konopnickiej, którą pamiętała z czasów swego dzieciństwa we Lwowie, a drugi — szczegółową analizą ostatniej książki Stanisława Barańczaka „Tablica z Macondo”, w której ten młodszy o parę pokoleń i od Konopnickiej i od Kozarynowej pisarz mówi w wyrafinowanych esejach o najnowszej literaturze.

Żywość umysłu Kozarynowej, stojąca w sprzeczności ze słabością ciała — (już od dłuższego czasu nie wstaje z łóżka i widzi tylko

częścią jednego oka) — jest bez wątpienia darem Bożym, któremu jednak pomaga ona sama niebывałym hartem ducha i siłą charakteru.

Przyszła na świat obdarzona bogatym dziedzictwem rodzinnej tradycji kulturalnej. Jej dziadkiem był Zygmunt Miłkowski, niezwykle popularny pisarz XIX wieku, znany pod pseudonimem Teodor Tomasz (T.T.) Jeż. Powstaniec z 1848 i 1863 r., osiadł na emigracji w Szwajcarii i swoimi pismami i polityczną działalnością (był m.in. twórcą tajnej Ligi Polskiej) wywierał wielki wpływ na polską młodzież. Wśród tych, którzy przyjeżdżali do Zurychu, by go poznać, znalazł się ziemianin z Ukrainy, Franciszek Rawita Gawroński, sam płodny pisarz, historyk kozaczyzny i autor licznych powieści. Ożeniwszy się z córką Jeża, Antoniną — Antoinette — która jako jedna z pierwszych kobiet ukończyła Sorbonę, stał się przyszłym ojcem Zofii Kozarynowej.

Dzieci Miłkowskich i Gawrońskich wychowywały się w niezwykle patriotycznej atmosferze, w kulcie języka i literatury polskiej, będąc jednocześnie obywatelami Europy. Zofia Kozarynowa, tak jak dwa pokolenia jej przodków, a później również jej córka, większość życia spędziła poza Polską. Losy emigrantów rzucały ich po świecie, przyswajali sobie języki krajów, w których się rodzili, mieszkali i kształcili — i zachowali niezachwiane poczucie przynależności do Polski i nieskazitelny polski język.

Zofia Kozarynowa, jak matka, studiowała na Sorbonie, wyszła za mąż w Polsce i potem przez dziesięć lat do 1939 r. była lektorką języka polskiego na uniwersytecie w Turynie. Na wojnę wróciła do Polski i przeżyła ją w Warszawie. Potem znalazła się z córką i jej rodziną w Anglii i po krótkim pobycie w St. Zjedn., dokąd wyjechała córka z mężem, wróciła do Anglii i teraz od wielu lat mieszka pod serdeczną opieką polskich zakonnic w Laxton Hall, Domu Spokojnej Starości w środkowej Anglii, założonym przez niezapomnianego opiekuna emigracji, infułata Władysława Stanisławskiego.

Kozarynowa przed wojną wydała parę powieści, przeważnie pod pseudonimem Tadeusz Brudzewski, które zapadły w niepamięć. W jednej z nich, „Płomień na wietrze”, sięgnęła do wspomnień rodzinnych, wiążąc je ze — znowu dziś aktualnymi — przeżyciami bohaterki, wracającej do Polski z emigracji. W innej przedwojennej książce znalazła się opowieść o ukochanym bracie, wczesnie zmarłym Andrzeju Gawrońskim, genialnym lingwiście, znawcy sanskrytu. Po wojnie, już w Anglii, Kozarynowa pisała przeważnie do prasy, wydała też dwie książeczki dla dzieci, z której jedną ilustrowała Lela Pawlikowska z Medyki. Do poważniejszych jej prac należał wkład do „Literatury polskiej na Obczyźnie” pod redakcją Tymona Terleckiego, gdzie zamieściła rozdział o udziale Polaków w literaturach zachodnich. Dziełem życia była książka, proroczo nazwana „Sto lat”, która ukazała się w 1982 r. i w następnym roku otrzymała doroczną nagrodę *Wiadomości*. W obecnym roku londyński

Związek Polskich Pisarzy na Obczyźnie przyznał jej nagrodę za całokształt twórczości.

Pełny tytuł książki brzmi: „Sto lat. Gawęda o kulturze środowiska”. Gawęda — czyli swobodne prowadzenie wątków, powtórzenia, zwroty do słuchaczy (czytelników), lekceważenie chronologii i form kompozycji. To odwołanie się do dawnego gatunku prozy szlacheckiej, mającej swych licznych przodków, jak Chodźko czy Rzewuski, pozwoliło Kozarynowej na niczym nie skrepowane poruszanie się po przeszłości własnej i rodziny i na pozostawienie swej osoby na boku, w roli obserwatora i świadka. Ale narzucona sobie wstrzemięźliwość uczuciowa nie potrafiła ukryć jej osobistego zaangażowania. Dzięki temu nie tylko umiała patrzeć, widzieć i pamiętać, ale także rozumieć najsztudniej powiązania, które bez jej pomocy czytelnik mógłby przeoczyć.

Gdy Kozarynowa po długiej wojennej przerwie zaczęła znowu pisać, znalazłszy się w Anglii, od razu zauważono ją w *Wiadomościach*, w których głównie drukowała. „Cóż to za szczęśliwy nabytek — Kozarynowa!” — zachwycił się Józef Wittlin w liście do Grydzewskiego w 1951 r. A kilka lat później (1955) też w liście do niego pisał Wierzyński, że cieszy się jakimś komplementem Kozarynowej „...nie tylko dlatego, że to ulubiona moja pisarka, ale także mądra pani, wielka kultura i świetne pióro”.

Wśród licznych dowodów pamięci z okazji stulecia, życzenia dla solenizantki przysłało kilkunastu pisarzy, począwszy od seniora — tylko o rok młodszego od Kozarynowej — Edwarda Raczyńskiego. Wacław Iwaniuk z Kanady poświęcił jej wiersz; poza londyńczykami — Jerzym Pietrkiewiczem, Bogumilem Andrzejewskim, ks. Jerzym Mirewiczem, Tymonem Terleckim i Karolem Zbyszewskim, życzenia przychodziły ze świata: od Zofii Romanowiczowej z Paryża, Danuty Mostwin ze Stanów Zjedn., Marii Danilewiczowej z Portugalii. Jan Kott, pisząc też ze Stanów, powiedział za wszystkich: „Setna rocznica Pani urodzin jest wielkim świętem całej polskiej literatury, nas wszystkich, piszących w kraju i rozsypanych na szerokim świecie jak piasek. Rocznicą ta jest radosnym tryumfem wielkiego talentu i siły umysłu nad słabością ciała i przemijaniem...” Podobnie uczcił solenizantkę Tadeusz Nowakowski z Monachium, pisząc o niej, że jest „częścią legendy nadal żywej i nadziejonosnej, związanej z sagą swego rodu: nazwiska Miłkowski i Gawroński weszły do annałów narodowej przeszłości. Przyszły historyk emigracji oceni rolę, którą ta skromna, unikająca rozgłosu i laurów — dobra wróżka naszej wspólnoty — odgrywa w naszym pozapolskim życiu”. A Jerzy Pietrkiewicz westchnął: „Dobrze być pod skrzydłami takiego anioła stróża, który liczy lata biblijne po sto i po tysiąc”.

Stefania KOSSOWSKA

Kraków, 18.09.1990

W numerze 6 (513) z 1990 roku na stronie 45 (Kronika litewska...) pomieszczono informację, iż „w Krakowie powstał z inicjatywy 'Solidarności' UJ Komitet Pomocy Litwie”.

Pragniemy sprostować tę informację. Otóż w Krakowie powstał Społeczny Komitet Pomocy Litwie z inicjatywy *Czasu Krakowskiego* (gazety codziennej) i Komisji Uczelnianej NSZZ „Solidarność” Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Krakowie.

Komitet ten rozwinął szeroką akcję propagandową, zorganizował pomoc dla Litwy a także zainicjował powstanie Centrum Kultury i Informacji Litwy.

Z wyrazami głębokiego szacunku

Jan L. FRANCZYK
Jan FRÓG

CENTRUM KULTURY I INFORMACJI LITWY

Społeczny Komitet Pomocy Litwie powołał do istnienia Centrum Kultury i Informacji Litwy. Tymczasową siedzibą Centrum jest lokal „Solidarności” w Wyższej Szkole Pedagogicznej. Do chwili załatwienia wszystkich formalności związanych z powołaniem Centrum, jego tymczasowy społeczny zarząd stanowią: prof. Leszek Bednarczuk, prof. Zbigniew Chłap, Jan L. Franczyk, Jan W. Fróg, Bogdan Gancarz, Józefa Hennelowa, Piotr Kopiński, Jan Polkowski, Krystyna Ptak i Ryszard Terlecki.

Celem placówki jest prezentacja dorobku kulturalnego Litwinów i aktualnych problemów Litwy. Centrum nawiązało wstępne kontakty ze Stowarzyszeniem Polaków na Litwie i organizacją „Sajudis”.

Warto przypomnieć, że Społeczny Komitet Pomocy Litwie (konto: Narodowy Bank Polski I (rz) Oddział Kraków nr 35510-161903-132, dopisek „Pomoc dla Litwy”) przekazał już dary — głównie lekarstwa i odżywki dla dzieci — o łącznej wartości ponad 40 milionów złotych.

Jak informuje Jan Fróg z Wyższej Szkoły Pedagogicznej, na Litwę wyjechały także dary w postaci narzędzi i opatrunków chirurgicznych. Codziennie na adres Komitetu przekazywane są od osób prywatnych, instytucji i stowarzyszeń dary rzeczowe i wpłaty pieniężne. (pap)

FUNDACJA POMOCY BIBLIOTEKOM POLSKIM

18 września br. zarejestrowano w Warszawie FUNDACJĘ POMOCY BIBLIOTEKOM POLSKIM. Fundatorami są m.in.: Zyta Bartkowska-Oryszyn, Maciej Bednarkiewicz, Tomasz Cyngot, Jerzy Giedroyc (prezes Fundacji), Andrzej Kaczyński, Marek Krawczyk, Irena Lasota (wiceprezes), Andrzej Osęka, Anna Radziwiłł (przewodnicząca Rady Programowej).

Nadzór nad działalnością Fundacji sprawuje Minister Edukacji Narodowej. Fundacja powstała w wyniku prowadzonej od lutego do września akcji bezpłatnego przekazywania książek wydawnictw niezależnych do bibliotek w Polsce. Do 1.255 bibliotek (160 wojewódzkich i miejskich, 69 szkół wyższych, 39 PAN-u i naukowych, 79 wojewódzkich pedagogicznych, 908 szkół ogólnokształcących) przesłano prawie 35 tys. książek. Koszty akcji pokrył nowojorski Institute for Democracy in Eastern Europe IDEE (Instytut na Rzecz Demokracji w Europie Wschodniej). Organizatorem i wykonawcą, w porozumieniu z Ministerstwem Edukacji Narodowej, było niezależne Wydawnictwo PoMoST. W tysiącach listów z potwierdzeniami i podziękowaniami za książki biblioteki podkreślały trafność akcji, a jednocześnie opisywały dramatyczny brak funduszy na zakup książek.

FUNDACJA POMOCY BIBLIOTEKOM POLSKIM będzie wspomagać całkowicie lub częściowo publikowanie i przekazywanie bibliotekom książek, czasopism i innych druków.

FUNDACJA POMOCY BIBLIOTEKOM POLSKIM potwierdza i dziękuje za dary na rzecz bibliotek

- od Instytutu Literackiego w Paryżu — 3.800 książek,
- od Wydawnictwa CDN — 4.000 książek,
- od Wydawnictwa InPlus — 390 książek,
- od Wydawnictwa PoMost — 4.000 książek.

Dla tych, którzy zechcą wesprzeć finansowo Fundację, podajemy numer konta bankowego: FUNDACJA POMOCY BIBLIOTEKOM POLSKIM PBK III/ Oddział w Warszawie, 370015-975148-132-3.

TYDZIEŃ KULTURY CHRZEŚCIJAŃSKIEJ W PARYŻU

KIK i Polska Misja Katolicka we Francji organizują od 10-go do 14-go listopada 1990 roku pierwszy Tydzień Kultury Chrześcijańskiej w Paryżu. W programie:

I. KONFERENCJE:

1. Prof. dr. Józef M. BOCHEŃSKI OP, filozof i logik — „*Naród, kultura, religia — próba analizy*”.
2. Maciej ENGLERT, reżyser, dyrektor Teatru Współczesnego w Warszawie — „*Współczesny teatr w Polsce i w Europie — próba refleksji*”.
3. Dr Stefan FRANKIEWICZ, redaktor naczelny miesięcznika *Więź* — „*Uczestnictwo i dystans — o kulturze politycznej Polaków*”.
4. Ks. dr Stanisław MĘDALA, biblista z ATK w Warszawie — „*Rola Biblii w kulturze światowej*”.
5. Jarosław Marek RYMKIEWICZ — „*Nieco rozważań o istocie i przedmiotach ducha polskiego*” i *Wieczór autorski*.
6. Ks. prof. dr Alfons SKOWRONEK, kierownik katedry teologii ekumenicznej ATK — „*Ekumenia z perspektywy nadwiślańskiej*”.

II. SPEKTAKLE:

1. Olgierd Łukaszewicz, aktor — „*Psalmy Dawidowe*”.
2. Jadwiga Korzeniewska, aktorka i Jerzy Góralczyk, aktor — „*Pieśń nad Pieśniami*”.

III. DYSKUSJE PANELOWE:

1. „Zagrożenia i nadzieje kultury w Polsce doby dzisiejszej” — z udziałem Kazimierza Brandysa, Macieja Englerta, Jarosława M. Rymkiewicza, Bogusława Sonika (prowadzenie: Augustyn H. Draguła).

2. „Kościół wobec przemian społecznych w Polsce” — z udziałem dr. Stefana Frankiewicza, ks. rektora Stanisława Jeża, ks. dr. Stanisława Mędała, ks. prof. Alfonsa Skowronka (prowadzenie: Augustyn H. Draguła).

IV. KONFERENCJA DODATKOWA: Prof. dr Józef M. BOCHEŃSKI OP — „Réflexions sur la crise spirituelle”.

Augustyn Henryk DRAGUŁA
prezes KIK-u w Paryżu

LEKARSTWA

Przodujących fabryk Europy, Ameryki i Japonii
WYSYŁAMY BEZ ZWŁOKI

— Recepty i zamówienia realizujemy do wysokości \$ US 50,00 natychmiast — nie czekając na wpłatę. • Odczytywanie recept krajowych. • Wszelkie aparaty medyczne. • Okulary. •

Aparaty słuchowe. • Preparaty dentystyczne.

Cenniki i wyceny przesyłamy natychmiast.

Największy Polski Dom Wysyłkowy.

TAZAB LTD.

Tazab House, 273 Old Brompton Road,
London SW5 9JB, England.

Tel.: (01) 373 48 81

oraz informacje

Madame C. Piquard-Zabłocki,

12, rue Condorcet, 75009 Paris, France,

Tel.: 42 85 79 45

Książki

O kąpielach w Radzyminie

W sobotę 7 marca Maria Dąbrowska zapisała w „Dziennikach”: „Kiepskie usposobienie trwa mimo wiosennej pogody. Cały ranek siedzę nad przesadzaniem kwiatów. Wieczorem idziemy na 'Pana Geldhaba' z Jaraczem. Szkoda Jaracza na tę rolę. Cóż to za nędza artystyczna i moralna, ten Fredro. Taką sztukę mógłby napisać Sławoj-Składkowski, to jego poziom”. Trzeba dodać, że Dąbrowska od kilku dni była w złym humorze. W poniedziałek 2 marca znudziła ją szopka Karpińskiego i Minkiewicza. We wtorek rano była „w Urzędzie Skarbowym po blankiety do podatku dochodowego. Stopa blisko o 100% zwiększona. Zajmuje drugą po mieszkaniu pozycję w moich rocznych wydatkach”. W czwartek rano na poczcie płaciła podatki. W piątek nie podobała się jej powieść Herminii Naglerowej „Krauzowie i inni”: „Styl jedzie Kadenem, aż ha! Ludzie papierowi, niezindywidualizowani, nie mówiąc o takich rażących błędach językowych jak 'wątpić w coś' i nagminnie powtarzanych obrzydliwych słowach jak 'wybzdyczyło się’”.

Przedstawienie w Teatrze Ateneum w reżyserii Perzanowskiej było zresztą niedobre, co jasno wynika jedynie z recenzji Bohdana Korzeniewskiego. Boy i Wierzyński pisali o sztuce nie czyniąc rozróżnień między tekstem autora a tym co widzieli w teatrze. Opinia Marii Dąbrowskiej zasługuje na zakwestionowanie bardziej w tym co dotyczy Składkowskiego niż Fredry. Miała ona niestety uzasadniony powód do najgłębszej niechęci wobec Sławoja. Mąż pisarki, Marian Dąbrowski, zajmujący się oświatą w wojsku, redagował między innymi w r. 1920 Bibliotekę Żołnierza Polskiego. Były to 16-stronicowe broszurki stanowiące dodatek do pisma *Żołnierz Polski*. Sam Dąbrowski wydał tam „Prawdę o bolszewikach” i „Precz z carską i bolszewicką Rosją” — Drewnowski nie wspomina tych tytułów w nocie poświęconej D. w obecnym wydaniu „Dzienników” — a

Sławoj napisał w tej serii książeczkę „Szanuj zdrowie”. Zawiera ona rady dość rozsądne: „Mieszkanie powinno być czyste, widne i nie za ciasne... Wymiatać należy kurz i śmieci także spod łóżek... Jeżeli jest miejsce do kwaterowania w izbie i stodole, lepiej i zdrowiej jest kwaterować w stodole”. Gdy w roku 1925 Dąbrowski zaczął odczuwać zawroty głowy i mdłości, będąc w służbie czynnej zwrócił się do znajomego lekarza wojskowego, którym był właśnie Składkowski. Ponieważ te objawy nastąpiły podczas wielkich upałów, a Dąbrowski odbył właśnie wtedy podróż służbową statkiem wiślanym do Płocka, dr Składkowski uznał to za lekki udar słoneczny. Rozpoznanie było fałszywe; źle leczona choroba serca doprowadziła do śmierci D. po paru tygodniach. Takich rzeczy nie wybacza się i nie zapomina. Tyle, że Dąbrowska w r. 36 myśląc o Sławaju notuje opinię o autorze, nie o lekarzu. „Dzienniki” były w roku 1988 i w pierwszej połowie 1989 główną lekturą Polaków. Gdy dziś przegląda się wszystko, co napisano o tym dziele, uderza, że interesowano się głównie okresem powojennym. Głos zabierały przeważnie osoby młode i skłonne do kategorycznych sądów. W mniejszym stopniu potraktowano tę lekturę jako wyjątkową okazję, by dowiedzieć się, jakie było naprawdę zachowanie się ludzi. Młodzież mająca pisarce za złe, że była chwilami nie dość niezłomna, nie brała zupełnie pod uwagę znaczenia, jakie miała obecność „Nocy i Dni” w naszych lekturach szkolnych. Gdyby autorka była bardziej niepodatna na kuszenie ze strony władzy, a książka zakazana, przeciętny poziom duchowy w Polsce byłby oczywiście niższy, choć czytelnicy Gombrowicza i Miłosza znaliby ją pewnie lepiej i dokładniej. Po czerwcu 1989 zainteresowanie Dąbrowską gwałtownie opadło. Standard moralny jaki przedstawiała, może nie dość wysoki jako absolutny ideał, jest też niepraktyczny jako miara, którą można by stosować wobec wielu osób czynnych dziś w życiu publicznym. Dąbrowska została odesłana na półkę z klasyką jako pozycja niekwestionowana i niezbyt dziś zajmująca. Tymczasem właśnie świadectwo przeżyć osoby inteligentnej w świeżo odzyskanym państwie polskim zasługuje na uwagę. Używane pod jej adresem w dyskusjach po ukazaniu się „Dzienników” określenia mówiące o lewicowej mentalności czy etosie pepesowskim, nie będąc całkiem zmyślone, są jednak uproszczeniami. W r. 33 pisała w „Dzienniku” bez cienia sympatii o artykułach z prasy socjalistycznej: „jakby klasa robotnicza miała coś lepszego do uczynienia, jak unicestwić samą siebie w tej postaci, w jakiej stworzyła ją burżuazja — i w ogóle coś innego do zrobienia jak wszyscy inni ludzie, to znaczny godziwie przeżyć życie”. Była tylko na pewno gwałtownie antyendecka. Mąż Dąbrowskiej co najmniej od roku 1904 współdziałał z Piłsudskim. Ona sama poznała Komendanta w roku 1916

i było to dla niej wielkie przeżycie. Zamach majowy przeżyła z entuzjazmem i nadzieją. W r. 28 pisała: „Myślę też, że to bardzo pięknie być antymilitarystą, szlachetnym anarchistą albo surowym krytykiem wszystkiego co niesie z sobą państwo. Ale co byśmy też mówili gdybyśmy życia swego nie czuli opartego dosyć bezpiecznie o te wzgardzone rzeczy. To nasz przywilej myśleć o sobie, co chcemy, ale w zamian ktoś musiał wziąć ciężar urzędzenia tych spraw. Wziął go Piłsudski”. W kwietniu 1929 z bólem odnotowała artykuł Marszałka „Dno oka”. „Piłsudski jest jakby ucieleśnioną improwizacją Mickiewicza, ale najwięksi nawet ludzie mają chwile, kiedy strumień boskości cofa się i nie omywa ich. Mają pamięć i poczucie swego posłannictwa i nie orientują się, że w danej chwili nie ma w nich Bożej fali”. Parę tygodni później jeszcze przed sprawą brzeską zapisuje: „Dlaczegoż każdy krok obecny Piłsudskiego budzi taki sprzeciw wewnętrzny i takie uczucie wstydu, jakie budzi czasem brzydkie postępowanie kogoś bliskiego i kochanego. Aby pomyśleć o stronie przeciwnej, o tym sojuszu z Narodową Demokracją — brr...”. Od czasu procesu brzeskiego nie wspomina już Marszałka, a wzmianki o postaciach z obozu rządowego są niewiarygodne. Po zabójstwie ministra Pierackiego Dąbrowska powiada tylko, że była to postać wredna, klerykał, bigot, szkodnik publiczny i dodaje: „P. zawdzięczam jedną rzecz, nareszcie cały tydzień grają w radio poważną muzykę, jak się należy. Napawam się tym! — Trzeba aż, żeby ktoś zamordował ministra, żeby przez kilka dni nie potrzebować słuchać ohydy muzycznej”.

W niedzielę 12 maja 1935 podczas przyjęcia u Nałkowskiej przychodzi telefoniczna wiadomość o śmierci Piłsudskiego. „Wszyscy goście rozpierzchli się momentalnie jak kuropatwy. Pobieglam do domu. Na mieście jeszcze nie wiadano. W restauracjach grały muzyki. Chociaż bałam się o Stacha (Stempowskiego), ale powiedziałam mu. Do drugiej blisko słuchaliśmy komunikatów żałobnych przez radio. 13 maja 1935. Poniedziałek. Cały dzień jesteśmy trochę jak kołowaci. Jesteśmy tak przejęci, że nie tylko ja, ale i Stach zapłakał”. I jeszcze po kilkunastu dniach opisuje tydzień, który przeszedł jak w tragicznym śnie, eksportację, pogrzeb, rewiję na polu Mokotowskim. „Oboje ze Stachem płakaliśmy, na St. odbił się ten tydzień fatalnie”. W następnym roku czytając „Strzępy meldunków” Sławoja, Dąbrowska nazywa je koszmarną książką. Nieendecka inteligencja nie cierpiała Sławoja, ponieważ jego obiektywna relacja obrażała jej nigdy nie wygasłe — mimo politycznego rozstania — najgłębsze przywiązanie do Marszałka. Jeszcze w roku 1951, gdy dociera do niej numer *Kultury* z tekstem Sławoja, Dąbrowska denerwuje się, po co emigracja to drukuje, skoro mogłoby się to ukazać w

prasie krajowej jako paszkwil na Polskę przedwrześniową. Nie wybacza autorowi, chociaż parę lat wcześniej prawie ułaskawiła człowieka. „8 II 1948. W Turku jest ładny rynek. Bruki wszędzie w ładną kostkę i pięknie rozbudowana nowa część miasta ze wspaniałymi gmachami publicznymi, z których zwłaszcza się wyróżnia gimnazjum i liceum. Wszystko to Turek zwadzięcza... Sławojowi Składkowskiemu, który tu się urodził i wychował, i bardzo wiele dla tego miasta zrobił, zwłaszcza że był i posłem sejmowym z tych stron. Podobało mi się, że ludzie nie kryją się z tą tradycją Skład. i głośno o nim mówią. Tak to pamięć przeklinanego (ja sama jestem jak najgorszej opinii o S.) żyje jako błogosławiona w mieście Turku. Pomyślałam, jaką by mu to było pociechą w doli tułaczkiej, gdyby o tym wiedział”.

Już „Strzępy meldunków” ujawniają dwie cechy Sławoja — wielką prawdomówność i niemal całkowity brak ambicji osobistych. W „Mojej służbie w brygadzie” opowiada, jak na biwakach wspólnie ze Stanisławem Rouppertem (drugim lekarzem legionów), snuli marzenia o tym, co będą robić w wolnej Polsce. Szczytem kariery wydawało im się zostać ordynatorem Szpitala Ujazdowskiego w Warszawie. Pierwszego października 1926 Składkowski był na piątą wezwany do Belwederu. Był pełen obaw, że Komendant jest niezadowolony z jego działalności jako Komisarza Rządu na miasto stołeczne Warszawę. Piłsudski siedział pochylony nad stolikiem do pasjansa. „Komendant spojrzął na mnie przelotnie, wyciągnął rękę przez stół na powitanie, mówiąc powoli: — No, więc zostaniecie ministrem spraw wewnętrznych, bo Młodziankowski nie chce pracować z tym sejmem. — Na moją uwagę, że nie znam się na polityce, Komendant dodał już żywiej: — Żadnej polityki tu nie potrzeba. Wszyscy mówią, że jesteście administrator, więc zostaniecie ministrem. No do widzenia, zameldujcie się u pana Bartła. — Tu Komendant na chwilę spojrzął mi jasno, pogodnie, prawie łagodnie w oczy i wrócił do pasjansa. Wyszedłem cicho nie chcąc mu przeszkadzać”.

Wydaje mi się, że teksty ostatniego naszego premiera w kraju przed Mazowieckim bardziej dziś akurat zasługują na uwagę niż zapiski Marii Dąbrowskiej. Co niekoniecznie znaczy, że był lepszym od niej pisarzem. Na pewno, niezależnie od dzisiejszej aktualności, pisał lepiej od Melchiora Wańkowicza. Juliusz Mieroszewski z rozbawieniem zauważył, że w ankiecie czytelników londyńskich *Wiadomości* w r. 1959 Sławoj uzyskał równą liczbę głosów z Witoldem Gombrowiczem. „Dał pełną miarę siebie dopiero wówczas, gdy przestał być premierem. Co więcej — dokonał dziwnej operacji, albowiem jako pisarz rozbroił opozycję przeciw premierowi”. Podzielałam w pełni opinię Mieroszewskiego, że był to urodzony gawędziarz, piszący doskona-

łą, świeżą polszczyzną i pomysł Zygmunta Nowakowskiego z porównaniem opowieści Sławoja do „Pamiętników Soplicy”.

Istotne jest to, co opowiada. W okresie Sulejówka Piłsudski czasem przyjeżdżał do Warszawy spotykając się z grupą zaufanych oficerów, przeważnie w mieszkaniu majora Świtalskiego. „...doprawdy sama treść przemówienia odchodziła na dalszy plan. Sam fakt oglądania Wodza, patrzenia w Jego mądre, dobre oczy, słuchania Jego głosu... wszystko to stwarzało dla nas niezapomnianą, jedyną w życiu atmosferę dumy i szczęścia, przypominającą młodzieńcze czasy Pierwszej Brygady.

Nie wiedzieliśmy wcale, kiedy skończy się wygnanie Komendanta i w jakich warunkach zechce wrócić do władzy w Polsce, ale było to nam niepotrzebne, gdyż ufaliśmy Mu i wiedzieliśmy, że gdy nadejdzie czas, wyda nam rozkazy.

W czasie zebrań nie było żadnych dyskusji. Padały jedynie ścisłe i rzeczowe polecenia i rozkazy Komendanta, których słuchaliśmy jak wyroczni”.

Czasem P. nocował u generała Jakuba Krzemieńskiego. Krzemieński opowiedział Składkowskiemu, że kiedyś podczas takiej wizyty „zabrał rano obuwie Komendanta, by je razem ze starą, pochodzącą z Poznańskiego służącą, wyczyścić. Ta, ujrawszy znoszone trzewiki, które ostrożnie i starannie czyścił generał...”. Ja wyjątkowo lubię czyścić buty, myślę jednak, że generał mający do dyspozycji służącą i z pewnością ordynansa, czyszczący osobiście buty Naczelnika wart jest wspomnienia.

Podczas zamachu majowego generał Składkowski otrzymał rozkaz generała Dreszera, by zdobyć gmach ratusza i objąć obowiązki Komisarza Rządu na miasto Warszawę z nominacją wypisaną na świstku papieru. Wykonawszy dosyć łatwo i bezkrwawo to zadanie generał zażądał, by przyniesiono mu *Dziennik Ustaw* z prawami i obowiązkami prawdziwego Komisarza Rządu. Podczas lektury wnet jednak usnął. Następnego dnia „uspokojony co do sytuacji ogólnej zabrałem się ponownie do studiowania *Dziennika Ustaw* o mych obowiązkach i prawach. Nie szło tak dobrze jak z regulaminem służby polowej...”. Wtedy przystąpił do inspekcji terenu. Już jako szef służby sanitarnej wojska kilka dni w każdym miesiącu poświęcał na inspekcję szpitali i koszar. „Często zwiedzałem strychy, które nieraz były składem starych sienników, słomy i brudnych gałganów, a to stwarzało złe powietrze w koszarach i groziło niebezpieczeństwem pożaru. Otóż przy takiej inspekcji strychu koszar w Radomiu, kapral najbliższej kompanii zauważywszy drzwi na strych otwarte, a nie przypuszczając, by tam właśnie była komisja inspekcyjna, gorliwie zamknął drzwi na klucz i odszedł do izb kompanijnych”. Teraz Komisarz Rządu postanowił utrzymać ceny żywności na dotychczasowym poziomie. Urzędnicy-

ekonomiści uważali to za niemożliwe. Doktor Składkowski zaczął od objazdu hal targowych i badania jakości oraz cen produktów z ostentacyjnym zapisywaniem wszystkiego w notesie, co robiło wrażenie na kupcach, przekupniach i publiczności. Jakaś rozeźlona przekupka doradziła mu, by zamiast w południe dokonywał swych inspekcji o świcie. Zastosował się niezwłocznie do tej rady. „Koło trzeciej w nocy wyjeżdżałem na szosę w kierunku Błonia albo Raszyna i tam idąc razem ku miastu dowiadywałem się od wiozących długimi parokonnymi wozami 'bady-larzy' i 'świniarzy' o panujących cenach hurtowych i rozmiarach podaży ich towarów. Podjeżdżałem również pod hale targowe jeszcze przed ich otwarciem i obserwowałem handel hurtowy, który zaczynał się jeszcze przed świtem. Znudzeni stróże nocni przy halach radzi z mego towarzystwa opowiadali mi, między innymi, zajmujące rzeczy o zwyczajach szczyrów... w czasie największego obrotu, zwiedzałem sklepy spożywcze. Tu przede wszystkim porównywałem ceny wystawione w oknach. Nieraz zapraszałem właściciela sklepu o cenach wyższych do okna sąsiedniego sklepu tańszego i prosiłem go o wyjaśnienie różnicy cen. Kupcy bardzo nie lubili tych spacerków...”. Na krótką metę te prymitywne — jak sam powiada — zabiegi ekonomiczne dały rezultaty. Wkrótce angielski strajk generalny, zwłaszcza węglowy, spowodował poprawę warunków polskiego eksportu, stabilizację złotówki i cen artykułów pierwszej potrzeby. „Zwiedzałem i wymagałem czystości kuchon restauracyjnych, pokoi hotelowych, hal targowych i zajazdów... Rano życie Warszawy, w porównaniu z Paryżem, Berlinem, Londynem, Poznaniem i Krakowem zaczynało się późno i niemrawo na wzór północnej Semiramidy-Petersburga. Za to wieczory wydłużały się za północ. Restauracje, szczególnie 'po pierwszym' każdego miesiąca, samowolnie przedłużały przepisany czas spożywania posiłków i konsumpcji alkoholowej. Było to ze szkodą dla spokoju i porządku miasta oraz budżetu rodzin lekkomyślnych, beztriosko biesiadujących żywicieli. Miasto nie miało nawet ustalonego jednolitego czasu. Na każdej ulicy i w każdym magazynie zegarmistrzowskim wystawione na widok wielkie gustowne zegary pokazywały inną godzinę... Często osobiście objeżdżałem zapóźnione restauracje i zakłady oczywiście ku oburzeniu zarówno gości jak i właścicieli. Rano kazałem otwierać sklepy ściśle według przepisu, a urzędnikom pomagałem w sumiennym, punktualnym przychodzeniu do biura”. Zostawszy ministrem spraw wewnętrznych rozszerzył teren inspekcji na cały kraj. W r. 1936 obejmując urząd premiera przydzielił sobie również tekę ministra spraw wewnętrznych. W dniu zaprzysiężenia gabinetu po ceremonii odbył przejażdżkę automobilem do Łowicza. Nie zastał na miejscu starosty, a wicestarosta ani zaalarmowany telefonicznie wo-

woda nie umieli odpowiedzieć, dokąd i po co oddalił się poszukiwany urzędnik. W rezultacie nieobecny został zwolniony ze służby. Potem okazało się, że starosta udał się do Warszawy, by uroczyście świętować awans Sławoja — kolegi z Legionów, co mu jednak nie pomogło w odzyskaniu posady. Jeśli podczas objazdu powiatu starosta nie wiedział, jak się nazywa mijana wieś lub przysiółek, bywał wysadzany z samochodu premiera, szczególnie jeśli dookoła był śnieg lub błoto, z poleceniem zasięgnięcia wiadomości i przystania nazajutrz raportu.

W ciągu swego urzędowania przebył samotrzeć, z szoferem — chociaż najczęściej sam siał przy kierownicy — oraz niezmiennym przez całe dwudziestolecie szefem gabinetu ministra spraw wewnętrznych Stawickim milion kilometrów. Odwiedził wszystkie starostwa i większość posterunków policji, te ostatnie najchętniej po nocach. Podwoził spotkania na drodze samotnych wędrowców, wysłuchując ich monologów. Nocował w obskurnych hotelikach albo w samochodzie, gdy maszyna psuła się albo grzęzła na drodze, a naczelnik Stawicki wędrował pieszo w poszukiwaniu pomocy wójta.

Siła tej prozy bierze się z nieustannie obecnego w niej napięcia. Z jednej strony wszystkie podejmowane przez niego działania: wskazanie staroście gdzie ma ustawić znak ostrzegający o defekcie szosy, przekonanie wojewody, że nad jeziorem Narocz, gdzie miejscowi nie mogą uprawiać ziemi, od wieków utrzymują się jedynie z rybołówstwa, ustawa o dozwolonych wymiarach oczek sieci przy połowie ryb winna być zliberalizowana, wysłanie do miasteczka tajniaków przebranych za chłopów, w trafnym przypuszczeniu, że skoro miejscowi oszuści naciągnęli jednego rolnika to pewnie zechcą powtarzać swój proceder, wszystkie te posunięcia są sensowne i pożyteczne. Równocześnie wszystkie te przygody opowiadane piękną — zachodnią, jak ją określał Mieroszewski — polszczyzną osiągają metafizyczny wymiar jakby z Gogola. Nawet gdyby nie było Hitlera i Stalina i gdyby na dodatek wewnętrzna sytuacja polityczna nie zmieniała się, pełniąc swoje funkcje do końca życia czyli 23 lata dłużej, nie zdołałby polski premier uporządkować wszystkich strychów, doglądnąć wszystkich urzędów, pouczyć wszystkich przodowników policji państwowej, uregulować zegarów, i wreszcie nagrodzić wszystkich porządných i gorliwych obywateli krzyżami zasługi. Pisarz Sławoj Składkowski zdaje się być rozbawiony niezdecydowaniem czytelnika, nie do końca pewnego czy autor zdawał sobie sprawę z tego, co pisze. W znajomości polskiej prowincji, opisywanej z upodobaniem, mógłby z nim dziś konkurować tylko Józef Kuśmierek. Ale Kuśmierek chciałby zaraz wszystko reformować. Postawa Sławoja bardziej wychodzi na korzyść prozie. Oczywiście i dziś byłby pożyteczny ktoś o usposobieniu Sła-

woja. Nie wiem tylko, w jakim miałby być stopniu służbowym; czy może byłby to szef urzędu rady ministrów czy urzędnik niższej rangi ale o szczególnych uprawnieniach. A może zaczęliby go trochę, ale tylko trochę naśladować urzędnicy państwowi wyższych stopni.

Sławoj z pewną ironią traktował swe osiągnięcia. Burmistrz Radzymina prosił go o pomoc w budowie kąpieliska miejskiego. Premier pomógł i stanęło kilka wanien i kilkanaście natrysków. „Cóż, kiedy w kasie stwierdziłem wydawanie do kąpeli jedynie szkolnych biletów ulgowych; bilety normalne dla dorosłych zupełnie nie sły”.

Burmistrz stwierdził, że dorośli krępują się kąpać. Polecilem mu żądać od radnych miejskich biletów z kąpeli, przy wejściu na salę obrad. Brudasy nie będą wpuszczani na posiedzenie Rady Miejskiej.

W parę miesięcy później z satysfakcją stwierdziłem sprzedaż w kasie biletów również do kąpeli dorosłych. Burmistrz, nie dzieląc mej radości, pokiwał głową, mówiąc — Radni przed każdym posiedzeniem Rady płacą podwójną cenę za bilet, byle tylko się nie kąpać i otrzymać bilet do okazania przy wejściu na salę!”.

Andrzej DOBOSZ

Księga Powtórzonego Przejścia

I

Walter Benjamin zmarnował życie. Pragnął objawić, o czym marzyło poprzednie stulecie. Księgi nie napisał, więc nie można jej zrekonstruować. A jednak istnieje, niespełniona, dzięki pracownikowi Bibliothèque Nationale w Paryżu o nazwisku Georges Bataille, który ukrył sterty notatek, zanim rozpoczęła się defilada Wehrmachtu na Polach Elizejskich. Księga liczy 1000 stron drobnego druku. Niedokończone dzieło Waltera Benjamina: *Paryż, stolica XIX wieku. Księga pasaży* (wydanie niemieckie — Suhrkamp Verlag 1982, w opracowaniu Rolfa Tiedemanna; wydanie francuskie, szczególnie starannie — Editions du Cerf 1990, w przekładzie Jeana Lacoste'a). Księga — mit, Księga — legenda tegowiecznej humanistyki i literatury. Księga Powtórzonego Przejścia.

Rzecz o paryskich pasażach zaliczyć trzeba do najważniejszych i najbardziej tajemniczych utworów XX wieku. Walter Benjamin pracował nad nią z uporem graniczącym z zaciekłością od roku 1927. Od wiosny 1934 aż do jesieni 1939, kiedy władze francuskie internowały Niemców w obozie w Nevers, codziennie przesiadywał od świtu do nocy w paryskiej Bibliotece Narodowej przy rue Richelieu, załamując ręce z powodu corocznego zamykania czytelnicy w sierpniu. Wypisywał z tysięcy zakurzonych i przez nikogo nie oglądanych książek, broszur, czasopism, ulotek i rękopisów wszyskiego, co dotyczyło paryskich pasaży (i wszystko, co dotyczyło Paryża, czyli świata): przedziwnych konstrukcji ze szkła, żelaza i drewna, łączących poszczególne wysepki paryskich kamienic z bulwarami. Przejść, po których przechadzał się wiek XIX, dostrzegając w witrynach wytwornych sklepów, w trupioszarym świetle gazowych latarni, odbity uśmiech Baudelaire'a, szepczący: *Tout l'univers visible n'est qu'un magasin d'images et de signes*.

Najkrócej o pasażach: ich pierwowzorem stała się drewniana handlowa galeria w Palais-Royal, założona przez Filipa Egalité w roku 1786. W 1799 zbudowano pierwszy pasaż z prawdziwego zdarzenia — pasaż kairski, łączący plac o tej samej nazwie z ulicą Saint-Denis. Teraz na Place du Caire codziennie pełno Arabów i Hindusów czeka na werbunek do nielegalnych manufaktur w zakamarkach Sentier. Po drugiej stronie przejścia w pocie czoła na chleb zarabiają panienki.

W 1800 roku ukończono Passage des Panoramas. Ten układ handlowo-limfatyczny przeniknął w pierwszych dziesięcioleciach XIX wieku obecną I, II, III i X dzielnicę oraz całą zachodnią część miasta. Pasaże pozwalały na wafesanie się pod szklanym dachem ni to po ulicy, ni to po wystawie, ni po pokojach bogatej kuzynki. To, co zewnętrzne, stało się wewnętrzne, handel ocierał się o metafizykę, pieniądz o poezję. Na okładce francuskiego wydania dzieła Benjamina umieszczono fotografię zrobioną w pasażu Choiseul: pod szklanym dachem balkon i galeria podpierana doryckimi kolumnami. Kwiecisty tympanon obejmuje okrągłą tarczę zegarową zabita deskami jak dno beczki. Półotwarte okno wychodzi na mur. Jak we śnie.

Zmierzch pasaży nastąpił w latach czterdziestych zeszłego stulecia wraz z pojawieniem się pierwszych wielkich magazynów na bulwarach. Historia potrafi być ironiczna do granic nieprzyzwoitości: w roku 1844 Adam Mickiewicz został zawieszony w obowiązkach profesora tymczasowego literatur słowiańskich w Collège de France między innymi za szerzenie rewolucji „z ducha”, która nikomu — z wyjątkiem jego samego — nie mogła zaszkodzić, a Felix Potin założył w Paryżu pierwszą poważną sieć sklepów spożywczych, które wywołały prawdziwe bankructwa oraz wrzenie pośród piekarni i kupców.

II

Walter Benjamin pracował nad Księgą Pasaży lat trzynaście. Po raz pierwszy o istnieniu nieskończonego dzieła wspominał Adorno w roku 1950 w artykule *Charakteristik Walter Benjamins w „Die Neue Rundschau“*. Prace nad niemożliwą rekonstrukcją dzieła trwały trzydzieści dwa lata.

Początkowo księga miała nosić tytuł: *Pasaże paryskie. Feeria dialektyczna*. 23 kwietnia 1928 roku Benjamin pisał do Scholema: „Chciałbym pokazać do jakiego stopnia można być konkretnym w obrębie struktur ujawnianych przez filozofię historii”. W innym liście dodawał, że pragnie uchwycić najdalej posuniętą konkretność historii, charakterystyczną dla danej epoki esencję wydarzeń, manifestującą się na ulicy, w sposobach zachowania, w odmianach pracy i w formach próżnowania, w kształtach kapeluszy i kształtach budowli, modzie, zachowaniach, w teatrze, w galeriach sztuki i zabawach dziecięcych, przedmiotach zbytku, w prostytucji, w rodzajach oświatlenia, fotografiach, w automatach i manekinach, w lustrach, w wystawach światowych, w każdej życiowej sytuacji. Benjamin chciał skonstruować swe dzieło tak, by żadna teoria nie przesłaniała konkretna. Cytaty, cytaty — miały mówić same za siebie. Z lektury dzieła w opublikowanym kształcie wynika, jak bardzo Benjamin zaciera granicę między mową cudzą i mową odautorską. To miała być gigantyczna ekspozycja, na której przedmioty — teksty przemawiałyby same, współtworząc nieprzewidywalną symfonię. Benjamin wspominał też o kryształach osadzających się wokół jednej osi.

Podobnie jak Goethe, Benjamin był zwolennikiem „łagodnego empiryzmu”, czyli ostrożnego poszukiwania istoty rzeczy. Podejrzał, że istota ukrywać się może na wierzchu. Podobnie myślała Hannah Arendt, autorka eseju o Benjaminie, która w zupełnie innym tekście pisała: „...nasze zwykłe przeświadczenia, zakorzenione tak głęboko w metafizycznych założeniach i przesądach — wedle których istota leży poza powierzchnią, a powierzchnia jest 'powierzchniowa', są błędne: iluzją jest nasze zwykłe przeświadczenie że to, co wewnątrz nas, nasze 'wewnętrzne życie', jest ważniejsze z punktu widzenia tego, czym jesteśmy, niż to, co się pojawia na zewnątrz. Jednakże, gdy chcemy naprawić nasze błędy, okazuje się, że nasz język na to nie pozwala”.

III

Kusiły go jednak prawa historii, kryjące się jakoby pod powierzchnią rzeczy lub wprawiające je w obroty. I pokusa gno-

styczna: pragnienie wiedzy dostępnej wybranym. Przyrodzona kaźdemu ciągota do wspięcia się choć trochę wyżej po drabinie. Talmud, kompleks Sfinksa, pokusa mentora.

Konkret? Tak, ale po to, by przemówił nikomu innemu nieznanym językiem. Uchylił rąbka. Szczegół? Owszem, ale dla pokazania ogólnych zasad. Namysł nad każdym przedmiotem lub życiową sytuacją? Koniecznie, ale w celu odkrycia w osobliwym układzie uniwersalnego sensu.

Walter Benjamin nie skierował się w stronę Marksa, lecz w kierunku surrealistów. Podobnie jak oni traktował jawę w optyce snu, by opisać świat dziewiętnastowieczny, jakby chodziło o świat rzeczy śnionych i śniących swą własną historię. W papierach Benjamina, współczesnym pierwszym wypisom do Księgi Pasaży, znalazły się liczne notatki o własnych snach. Wtedy również, 35-letni, zaczął eksperymenty z narkotykami. Sen, narkotyki i pisanie Pasaży służyły jednemu celowi: odkryciu potencjału ułudy i marzenia tkwiących w stolicy XIX wieku — Paryżu. Benjamin dostrzegał w marzeniu sennym, podobnie jak w narkotycznym upojeniu, „uniwersum osobliwych zależności oraz szczególnych tajemnic, w którym rzeczy wchodzą ze sobą w najbardziej zaskakujące konstelacje, odsłaniając inaczej trudno uchwytnie powinowactwa”. Sen i narkotyki otwierały Benjaminowi obszar niemalże cielesnego i mimetycznego obcowania z rzeczami oraz stanami rzeczy, przez które chciał wydobywać prawdę o dziejach.

IV

Od kiedy zaczął interesować się filozofią, marzył o pełni doświadczenia znanego przedsokratykom. Dlatego obmyślał teorię świeckiego objawienia, by w nagłym olśnieniu pojąć wiek XIX w tym, co jawne i zakryte. By opowiedzieć najdokładniej własny sen przed język Paryża, czyli Nowego Babilonu.

Illuminatio profanum wymagało szczególnej teorii mimesis, którą Benjamin przedstawił w serii artykułów m.in. o *Teorii podobieństw* oraz *O mocy naśladowania*. Z dociekań tych wynika przede wszystkim, że fakty i wydarzenia nie są stałe, lecz zmieniają się w czasie. Nie ma faktów, są tylko interpretacje — mógłby powtórzyć Benjamin za Simmlem. Nie ma jednej teraźniejszości, są tylko różne stany wewnętrznej świadomości czasu — z taką diagnozą zgodziłby się Husserl. Każda nowość jest tylko drgnięciem w cyklu wiecznego powrotu — temu nie mógłby zaprzeczyć Nietzsche.

Może zatem świeckie objawienie podyktowało Benjaminowi następującą definicję kapitalizmu: „Jest to środek, za pomocą którego Europa zapadła w przepelniony marzeniami sen, wyrwyjący jednocześnie z uspienia całe pokłady sił mitotwórczych”.

Jesienią 1929 roku Benjamin pod wpływem korespondencji z

Adorno i Horkheimerem postanowił oczyścić projekt Pasaży z wszelkich naleciałości metafizycznych, przepuszczając je przez *Kapitał*. Runęła niedokończona budowla, by pozostać marzeniem o pasażach czyli przejściach. Przejściach sekretnych od jawy do snu, od tęsknoty za całością do piekła fragmentu, od pokusy systemu do pokuty chaosu. Przejściach, które stały się udziałem tylu europejskich intelektualistów.

V

W zgodzie odrzuconej przez profesorów germanistyki Hansa Corneliusa i Franza Schultza rozprawie habilitacyjnej pt. *O pochodzeniu niemieckiego dramatu barokowego* (podobno — za sprawą garbatego gнома przesładowcy — nie zrozumieli z niej ani słowa) Walter Benjamin napisał, że plan architektoniczny prawdziwie wielkich budowli łatwiej pojąć, obserwując ich ruiny.

Krzysztof RUTKOWSKI

Polacy w Australii

Historia pierwszych polskich osiedleńców w Australii jest mało znana, nawet wśród zawodowych historyków. Próba naprawienia tej sytuacji było opublikowanie przez Lecha Paszkowskiego w roku 1962 swojej pionierskiej pracy w języku polskim — książki pod tytułem „Polacy w Australii i Oceanii”*. Obecne wydanie w języku angielskim nie jest jedynie tłumaczeniem, ale poszerzeniem wcześniejszej książki w języku polskim.

We wstępie Paszkowski mówi, że książka została napisana, „by zachować dla przyszłych pokoleń mało znane stronicie australijskiej i polskiej historii, by przybliżyć Australijczykom zrozumienie problemów związanych z imigracją, a także, by pomóc polskim emigrantom zadomowić się w Australii”. Niestety, ta na wielką skalę, ambitna praca, będąca rezultatem trzydziestu lat dociekań jest zniekształcona licznymi niedokładnościami, błędami historycznymi i niczym nie popartymi konkluzjami.

Po wprowadzeniu, napisanym przez prof. Manninga Clarka, czy-

* Poles in Australia and Oceania — Lech Paszkowski, Australian University Press, Sydney 1987, str. 451, cena \$ 59.

telnik przechodzi do wstępu prof. Jerzego Zubrzyckiego, który między innymi pisze: „Według oceny Charles Price, w roku 1891 etniczna polska grupa liczyła 7.657 osób. To oświadczenie prof. Zubrzyckiego jest niestety wprowadzeniem czytelnika w błąd. Prof. Price wyraźnie stwierdza, że opierając się na spisie ludności z roku 1891, cytowana liczba 7.657 osób włącza wszystkich potomków emigrantów przybyłych z polskich terytoriów. W istocie Żydzi, a nie Polacy tworzyli przygniatającą większość wymienionej grupy. Dalej Zubrzycki ustala rok 1854 jako datę powstania Polish Hill River, pierwszego polskiego osiedla w Australii, jednak bez podania źródła informacji. Brian Polomka (potomek pierwszych polskich emigrantów w Płd. Australii) wykorzystując szczegółowe badania i analizę dostępnych dokumentów ustala powstanie tej osady na rok 1857. Szkoda, że we wstępie książki Paszkowski pomija poinformowanie czytelnika australijskiego o wielokulturowym, wieloreligijnym i wielojęzycznym charakterze starej, przedrozbiorowej Rzeczypospolitej obojga narodów.

Stąd stwarza na nie znajomym historii Polski czytelniku wrażenie, że Rzeczpospolita była monolitem narodowym. Treść książki idzie dalej, niż mówi tytuł. Paszkowski przedstawia osoby „o problematycznym pochodzeniu”. To stwarza poważne nieporozumienie, gdyż w dalszym toku książki łatwo jest przeoczyć uwagę autora i przyjmując, że wszystkie osoby, które opisuje, są Polakami. Na przykład J. Lhotsky, Wilhelm von Blandowski, Gustavus von Tempsky i dr Anton Sokolowsky. Pierwszy rozdział książki rozpoczyna się historią dwu gdańszczan, ojca i syna, Reinholda i Georga Forsterów, którzy towarzyszyli kapitanowi Cookowi w charakterze botaników w jego drugiej podróży dookoła świata. Paszkowski pisze: „z prawnego punktu widzenia Johan Reinhold i Johan Georg urodzili się niedaleko Gdańska i byli poddany króla polskiego, a więc tym samym byli Polakami z urodzenia”. Trudno zgodzić się z tą konkluzją. (N.B. według moich wiadomości Paszkowski jest jedynym pisarzem historycznym, który łączy drugą podróż Cooka i Forsterów z odkryciem wschodnich brzegów kontynentu Nowej Holandii, później nazwanego Australią. — L.G.) Forsterowie nie byli Polakami i należeli do niemieckiej kultury.

Rozdział drugi książki roi się od fundamentalnych błędów. Jest to część książki najbardziej rozczarowująca znającego przedmiot czytelnika. Szkoda, że przy przygotowaniu tego rozdziału Paszkowski nie skontaktował się z południowo-australijskimi historykami. Rozdział ten nosi tytuł „Polish Hill River”. Niestety opisane wydarzenia, wypadki i daty są pogmatwane, cytaty wybierane „wygodnie” i mylnie komentowane. Konkluzje autora odnośnie obecności Polaków w pierwszej luterancko-niemieckiej osadzie Klemzig, uwagi o etniczności emigrantów-pasażerów na żaglowcu „Catharina”, który przybył do Port Adelaide w roku 1839, domniemane przejścia luteranów na religię katolicką muszą być uznane jako historycznie bezpodstawne. Powołanie się na brzmienie nazwiska jako dowód przy-

należności do polskiej narodowości jest nie do przyjęcia, szczególnie w kontekście historii centralnej Europy.

W krótkim rozdziale, poświęconym dr Maxymilianowi Łukowiczowi (doktorowi medycyny, który mieszkał w Adelaidzie w latach 1891 do 1921), Paszkowski stwarza wrażenie, że pisze o polskim patriocie. W istocie, na podstawie dokumentów, znajdujących się w tutejszych archiwach, dr Maxymilian von Lukowitz był zdecydowanym i aktywnym Niemcem. Te niedokładne i wprowadzające w błąd informacje, łącznie z mylnie podaną etnicznością pierwszych emigrantów w Płd. Australii, są poważnym niedociągnięciem obszernej pracy, jaką jest książka Paszkowskiego.

Polska wersja została niestety zaakceptowana bezkrytycznie. Późniejsi komentatorzy rozdmuchiwali treść do rozmiarów nierealistycznych, a twierdzenia Paszkowskiego podali jako historycznie udowodnioną prawdę. Na przykład pierwsze osiedle luteriańsko-niemieckie w Płd. Australii, Klemzig, jest podawane przez różnych autorów w Australii i w Polsce jako pierwsza osada polska w Australii. Niewątpliwie jednak książka Paszkowskiego daje czytelnikowi angielskojęzycznemu szereg dobrze napisanych biografii Polaków w Australii i Oceanii.

Większość pierwszych polskich emigrantów to oficerowie wojska polskiego, którzy walczyli w powstaniu 1830-1831, lub bojownicy rewolucji 1848 roku. Gorączka złota przyciągnęła setki Polaków do Australii, głównie uchodźców politycznych, którzy po upadku powstania listopadowego przebywali we Francji i Anglii. Po latach większość z nich opuściła Austrię, jednak niektórzy pozostali tutaj na stałe. Wśród tych, którzy zadomowili się, była rodzina Broel-Plater, kapitan J.G. Mechosk (Mechowski) — poszukiwacz złota, kapitan Leopold Kabat, superintendent policji w Victorii, Władysław Kossak, inspektor policji w Victorii, Emeryk Boberski, prezydent miasta Arrarat, dr Ludwig Bernstein, prezydent miasta Lismore, Gracjan Broinowski — malarz i ornitolog, którego obrazy są dziś wysoko cenione. Także wielu innych. Paweł Edmund Strzelecki (potem Sir Paul) jest bezsprzecznie najlepiej znanym Polakiem w Australii. Fascynująca historia Józefa Conrada w czasie jego pobytu w Australii jest dobrze uchwycona przez Paszkowskiego. Mam nadzieję, że po dokonaniu koniecznych poprawek i zmian, książka „Poles in Australia and Oceania” w przyszłych wydaniach zostanie przyjęta jako poważna praca historyczna, rzucająca snop światła na mało znany aspekt historii Australii.

Leon J. GRABOWSKI

Bigos bez kapusty

Zacznijmy od statystyk: targi książki organizowane były we Frankfurcie już w XV wieku; do czasów Wojny Trzydziestoletniej były największym jarmarkiem wydawniczym ówczesnego świata. Katalogi targowe, po raz pierwszy wprowadzone właśnie we Frankfurcie, w ostatnich trzech dekadach XVI w. zawierały ponad 20 tysięcy tytułów, w tym blisko 3/4 druków niemieckich.

Targi „nowożytny” są nadal największą i najważniejszą imprezą tego typu na świecie. W tegorocznym 42-gim już spotkaniu wydawców, księgarzy, agentów literackich, drukarzy, autorów i czytelników wzięło udział 8.492 wystawców z 90 krajów, którzy na 131.171 m² pokazali 381.702 tytuły, obejrzałe przez 245 tysięcy zwiedzających. Tematem specjalnym była „Japonia wczoraj i dziś”, Japonia pojęta wszakże bardzo szeroko, nie tylko w odniesieniu do spraw wydawniczych. Festiwal japoński rozpoczął się już z początkiem września i obejmował sympozja literackie, spotkania autorskie, pokazy filmowe, przedstawienia klasycznego i współczesnego teatru japońskiego, koncerty, mini-kursy kaligrafii i ikebany, wystawy fotografii, grafiki reklamowej i książkowej, najnowszych technologii wydawniczych, prywatnych i państwowych kolekcji sztuki japońskiej, m.in. drzeworytów ze zbioru Muzeum Narodowego w Krakowie. Przyszły rok będzie rokiem hiszpańskim. A Polska? „Być może zaprezentujemy w przyszłości Europę Wschodnią, poszczególne kraje nie są jednak przewidywane”, powiedziano mi w biurze prasowym — co przestaje dziwić, gdy weźmie się pod uwagę, iż w Japonii ukazuje się rocznie blisko 44 tys. tytułów, w Hiszpanii 40 tys., w Polsce zaś, wedle ubiegłorocznych danych, wydano 8.399 tytułów. Można by oczywiście pochwalić się „Mazowszem” i paroma filmami, sprowadzić któryś z teatrów i pokazać nowe plakaty, ale trudno byłoby z podobnym dorobkiem wydawniczym zorganizować interesującą, przyciągającą widzów wystawę w specjalnie na ten cel przeznaczonym pawilonie o przytłaczającej powierzchni 2.317 m²...

Co zatem w tym roku cechowało polskie stoiska? Przede wszystkim ich fizyczny brak; częściowo wpływało to z wprowadzonego przez organizatorów podziału na „poziomy zainteresowania publiczności”, nie jak dotychczas hale. Komuś, kto wiedział, iż od lat stoiska wszystkich prawie (poza Ossolineum i PWN) polskojęzycznych wydawców znajdują się w jednej hali, szukanie ich po czterech pawilonach przysparzało jedynie nerwów i zmęczenia. „Fizyczny brak” miał również inne przyczyny: stoiska krajowe zajmowały zwykle powierzchnię 220 m², tym razem — 20 m (Ars Polona) 10 m (Interpress)... Powód: finanse. „Gdy okazało się w marcu, że wydawnictwa mają rzeczywiście na siebie zarobić, ludzie zaczęli się

wycyfywać z udziału w Targach, bo nie było czym płacić za uczestnictwo”, powiedziano mi na stoisku Ars Polony. Tytuły? „Połowa tego co w ubiegłym roku, a jakie to sam pan widzi...” Nieśmiertelne albumy fotograficzne, nowe edycje znanych już na emigracji książek, wznowienia pozycji dotąd oficjalnie zakazanych, trochę słowników i poradników, książki dla dzieci, reprints. Na czolowym miejscu oprawne w skórę wydanie *Trylogii*. „Kto na kupi? — Liczymy na odbiorcę specyficznego. — Snoba? — Może emigranta...” Interesy idą słabo, bo który z dotychczasowych zachodnich partnerów chciałby wiązać się z firmą od dłuższego już czasu podlegającą likwidatorowi, zwłaszcza gdy likwidacji nie widać końca? Obok Ars Polony stoisko wydawnictwa Tesco („Tesco-Verlag, Polen-Warschau”): stół z debatującą przy nim nieustannie grupą, ogromna tablica z nazwą firmy i tom *Księga jazdy polskiej*. „Zaczęliśmy dopiero parę miesięcy temu, idzie w zasadzie dobrze, sprzedajemy wszystko w Polsce. Wkrótce zaczniemy robić komiksy, *thrillery*, książki dla dzieci, bo to ludzie kupią...” Przez ścianę — ubożuchne stoisko Nowej, jedynej reprezentantki niegdysiejszego bogatego podziemia, z paroma tytułami: Bugajski, Raczyński, Kuroń, Korzeniewski, Simon, Stoppard... Zainteresowanie stoiskiem? Niewielkie, jak się zdaje, większość to goście szukający nieuchwytnego nadal szefa wydawnictwa. „Gdyby pan widział mister Boguta — zwróciła się do mnie, siedzącego przy pustym stoliku, jakaś Amerykanka — proszę mi powiedzieć, że próbowałam go spotkać parę razy, ale nigdzie nie można go złapać”. Poprosiłam ją o to samo, rozstaliśmy się w uśmiechach, ale bez nadziei.

Opisywać pozostałych kilku stoisk krajowych nie ma właściwie potrzeby, warto jednak wspomnieć o trzech wydawcach polskich działających na Zachodzie: szwajcarskie „Les Editions Noir sur Blanc” Very i Jana Michalskich, prezentujące w tym roku 18 tytułów, nienagannie opracowanych i wydanych, wśród nich przekład francuski *Rozmów z Józefem M. Bocheńskim*, powieści Piotra Szewca i Henryka Kurty, opowiadań Janusza Głowackiego i pierwszego tomu *Dzieł zebranych* Sławomira Mrożka. Drugie to istniejący już ponad 10 lat wiedeński IRSA Verlag, założony przez historyka sztuki Józefa Grabskiego, specjalizujący się w naukowych opracowaniach z dziedziny historii sztuki (np. *The message of images* Jana Białostockiego czy drobiazgowo przygotowany i wspaniale wydany tom *Opus Sacrum*, stanowiący katalog zorganizowanej na Zamku Królewskim w Warszawie wystawy zbiorów Barbary Piaseckiej-Johnson). IRSA Verlag publikuje również od dziesięciu lat „antologię sztuk” (jak głosi podtytuł), zatytułowaną *Artibus et historiae*. Mimo regularnego ukazywania się co pół roku nie jest to magazyn w potocznym rozumieniu, a właściwie antologia — bogato ilustrowana, o szerokim spectrum, rozpatrująca historię sztuki w odniesieniu do innych nauk humanistycznych: socjologii, lingwistyki, filozofii, przeznaczona dla profesjonalistów i wysoko przez nich ceniona. Trzecim wydawcą jest mieszkający w Belgii Włodzimierz Majewski,

rzeźbiarz, którego zabawna wizytówka („Monsieur Wodek — President/Concierge”) przez chwilę tylko nasuwać może myśl o epatującym dziwactwem artyście. Majewski od dekady prowadzi „Atelier 340”, centrum wystawiennictwa, którego specjalnością są kamienne obiekty plastyczne. Centrum organizuje sympozja, współpracuje z historykami sztuki, przygotowuje wystawy tematyczne i indywidualne, częstokroć objeżdżające inne kraje europejskie. Wystawom towarzyszą czterojęzyczne, bogato ilustrowane katalogi, opracowane przejrzysto i czytelnie, a przy tym zawierające doskonały materiał bio- i bibliograficzny (przykładem katalog Władysława Hasióra, niezaprzeczalnie najlepszy z bogatej już kolekcji katalogów tego twórcy, jakie zdarzyło mi się oglądać).

Obecność polska na Targach nie zamykała się jednakże w obrębie polskich wyłącznie stoisk. Co roku lokalny Stiftung Buchkunst organizuje wystawę 50 najlepiej wydanych książek niemieckich i przegląd zgłoszonych przez wydawców międzynarodowych najładniejszych ich tytułów. Polska reprezentowana jest na tej wystawie od lat (choć kryteria doboru pozostają dla mnie tajemnicą); w tym roku pokazywanych było 15 pozycji. Mimo iż odbiegały wyraźnie od standardowej produkcji krajowych wydawców, nie dorównywały niestety — tak opracowaniem graficznym, jak i technicznym — książkom węgierskim, czeskim, rosyjskim, by o Holendrach, Anglikach czy Amerykanach nawet nie wspomnieć. Wyróżniała się natomiast mała ekspozycja prac artystycznych, nieszczęśliwie usytuowana na drugim piętrze hali 6, oddanym „w pacht” drukarzom, introligatorom, papiernikom itp. W niewielkiej gablotce przykuwały oko dwie prace: artystyczna oprawa (skóra i srebrna koszulka) wykonana na zamówienie zurychskiego Belser Verlag, specjalizującego się w faksymilowych edycjach starodruków z Biblioteki Watykańskiej, i ogromny tom z poematem Craiga Raine wykonany w pracowni łódzkiej grupy Correspondance des Arts. Bodajże dziesięć lat temu oglądałem wydany przez nich tom wierszy Zdzisława Jaskuły — niewielka stosunkowo książka, ładnie wydrukowana i oprawiona, ale nie wybijająca się ponad tzw. przeciętny poziom europejski publikacji tego typu. Książka eksponowana na targach godna była najszerszego podziwu i takim podziwem darzyli ją zgromadzeni drukarze. Drobne zastrzeżenia wzbudzał nierówny druk kolumn tekstowych, ale dobór czcionki, papieru (ręcznie czerpany w oficynie!), projekt graficzny, ilustracje, oprawa wskazują na wyjątkowy talent twórców tej pracy, Jadwigi i Janusza Tryznów. Miło było podsłuchiwać zachwyty Wolfganga Tiessena, jednego z najlepszych prywatnych drukarzy niemieckich, potrafiącego — mimo całkowicie odmiennej koncepcji przyświecającej jego własnym publikacjom — właściwie ocenić dobrą książkę. Tiessen zaprezentował również sam dwa polonica: Leszka Kołakowskiego „opowieść biblijną” *Jael oder die Irrwege des Heldentums* (Jael czyli Bezdroża bohaterstwa) i ilustrowane linorytami Jana Uhrynowicza *Jossel Rackower spricht zu Gott* Zvi Koltiza. Gwoli dokładności: Arno Piechorowski przysto-

wał w swojej oficynie tom poezji Bolesława Leśmiana w tłumaczeniu Karla Dedeciusa.

Przekłady Dedeciusa spotkać można było na stoiskach wszystkich poważnych wydawnictw niemieckich: Suhrkamp, Insel, Hoffman & Campe, Hanser, Piper, Herder, Ullstein... Nie był to przypadek: w tym roku laureatem „niemieckiego Nobla”, czyli Nagrody Pokoju Księgarzy Niemieckich został właśnie Karl Dedecius. Była to nagroda ze wszech miar zasłużona — podkreślali to zgodnie wszyscy dziennikarze, krytycy, politycy. Volker Hauff, burmistrz Frankfurtu, zwrócił w swym wystąpieniu uwagę na ważność faktu, iż nagrodę otrzymał właśnie „pośrednik kultur”, tłumacz — nareszcie dostrzeżono i właściwie oceniono tę niezastąpioną, a jednocześnie często niewdzięczną (i niedochodową) pracę. Heinrich Olschowsky z Uniwersytetu Humboldta w niegdyś Wschodnim Berlinie, podobnie jak laureat urodzony i wychowany w Polsce, w swym *laudatio* podkreślił cechy Dedeciusa: tolerancję narodową, liberalizm, ideały humanistyczne, jak i konsekwentne dystansowanie się od politycznych frontów i frond, uparte za to dążenie do pośredniczenia w zbliżaniu kultur, zbliżaniu — zwłaszcza w tej chwili — narodów.

Służę temu niezaprzeczalnie prowadzony przez Dedeciusa Polen-Institut w Darmstacie, poza działalnością wydawniczą organizujący spotkania z naukowcami i twórcami z Polski, służy licząca już 34 tomy seria „Polnische Bibliothek”, zainicjowana przez niego w 1982 i ukazująca się w Suhrkamp Verlag, służy publikacji innych wydawców. Verlag Neue Kritik dla przykładu wypuścił już trzy powieści Hanny Krall (publikacja ostatniej, *Hipnozy* [tytuł niem. *Legoland*] połączona była z wieczorem autorskim pisarki) oraz zapowiadane od dawna wspomnienia Oli Watowej *Der zweite Schatten* (*Wszystko co najważniejsze...*). Inni wydawcy — nie tylko niemieccy — również coraz częściej sięgają do literatury z Europy Wschodniej, choć w znakomitej większości wypadków oznacza to tłumaczenia z rosyjskiego bądź pozycje „rozrachunkowe” (Oświęcim, obozy, getto).

Szkoda zatem, że zabrakło na tegorocznych Targach jednej grupy stałych ich uczestników — wydawców emigracyjnych. A także nieodżałowanego Andrzeja Chileckiego. Jego śmierć, bolesna dla wszystkich jego przyjaciół, spowodowała pustkę w stosunkach polsko-niemieckich — dotąd niezapełnioną. Nie robiliśmy nigdy milionowych interesów na wzór moźnych księgarskiego świata, ale naszą obecność zauważano i pamiętano. Podczas wędrówek po rozlicznych zaprzyjżnionych stoiskach pytano mnie niejednokrotnie: „A co to tak, sam? Nie przyjechała reszta? No nic, spotkamy się na stoisku... Nie ma w tym roku? Szkoda, takie dobre książki wydawaliście...” I trudno mi było wytłumaczyć, dlaczego teraz właśnie, gdy wreszcie zniknęły granice wolnego słowa, wraz z nimi przepadło barwne i żywe stoisko, od tyłu lat owo wolne słowo propagujące...

Grzegorz SOWULA

Nadesłane nowości wydawnicze

- ŁUKASIEWICZ (Małgorzata, opr.). *Literatura niemieckojęzyczna w tłumaczeniu polskim 1945-1989. Bibliografia do wystawy „Książka nie zna granic”*. Str. 230 i 2 nlb. (Wyd. Deutsches Polen-Institut, Darmstadt 1990).
- BEREŚ (Stanisław). *Już tylko sen*. Str. 141 i 1 nlb. (Wyd. Aneks, cena £6,50, \$13).
- CHRYPIŃSKI (Wincenty). *Kościół a rząd i społeczeństwo w powojennej Polsce*. Str. 45 i 3 nlb. (Wyd. Odnowa, Londyn 1989).
- Herby rodów polskich*. Opr. Mieczysław Paszkiewicz i Jerzy Kulczycki. Str. 480. (Wyd. Orbis Books, Londyn 1990).
- Akcenty* nr 1. Str. 128. (Wyd. grupa literacka „Akcenty”, Tel-Aviv 1990).
- SZUDEK (Przemysław A.). *W puszczy*. Str. 32. (Wyd. OPIM, Londyn 1990).
- MAREK (Zdzisław). *Przypływy i odpływy Europy*. Str. 160. (Wyd. OPIM, Londyn 1990).
- CZAPSKI (Józef). *Na nieludzkiej ziemi*. Str. 431 i 5 nlb. (Wyd. Czytelnik, Warszawa 1990).
- GRABSKA (Stanisława). *Człowiek wobec Trójcy Świętej*. Str. 144. (Wyd. Więź, Warszawa 1990).
- Rocznik podkowiński* nr 2/3, 1987/1988. Str. 145 i 1 nlb. (Wyd. Parafialny Komitet Pomocy Bliźniemu, Podkowa Leśna 1989).
- ZACZKOWSKI (Piotr). *Wiersze*. Str. 32. (Wyd. Wokół Nas, Gliwice 1990).
- MATUSZ (Sławomir). *Mistyka zimą*. Str. 48. (Wyd. Wokół Nas, Gliwice 1990).
- ANDERS (Zbigniew), OSTASZ (Gustaw), opr. *Poezja pokolenia wojennego. Studia, interpretacje i artykuły*. str. 298 i 2 nlb. (Wyd. Towarzystwo Naukowe w Rzeszowie).
- KEMPA (Tadeusz). *Emigrancki brulion*. Str. 190. (Wyd. autor, Tasmânia 1989).
- Oto Ameryka: Konfrontacje* nr 4 pod red. Ireny Lasoty. Str. 200. (Wyd. Res Publica, Warszawa 1990).
- Miscellanea łódzkie*. Str. 56. (Wyd. Muzeum Historii Miasta Łodzi, Łódź 1990).
- WIECHOWSKI (Jerzy). *Spór o Zaolzie. 1918-1920 i 1938*. Str. 64. (Wyd. Agencja Wydawnicza TOR, Warszawa 1990).
- GOMBROWICZ (Witold). *Testament*. Str. 106 i 6 nlb. (Wyd. Res Publica, Warszawa 1990).
- GOMBROWICZ (Witold). *Varia*. Str. 472 i 8 nlb. (Wyd. Res Publica, Warszawa 1990).
- KOZIK (Jacek). *Matka noc*. Str. 64. (Wyd. Res Publica, Warszawa 1990).
- Stosunki polsko-ukraińskie 1917-1947. Od tragedii do współpracy*. Str. 124. (Wyd. Wydawnictwo „Perturbancii”, 1990).
- OSSOWSKA (Wanda). *Przeżyłam... Lwów-Warszawa 1939-1946*. Str. 406 i 2 nlb. (Wyd. Oficyna Przeglądu Powszechnego, Warszawa 1990).
- DRUŻNIKOW (Jurij). *Zdrajca nr 1, czyli wniebowzięcie Pawlika Morozowa. Z rosyjskiego przełożyli Elżbieta Michałak i Franciszek Ociepka*. Str. 181 i 3 nlb. (Wyd. Wydawnictwo Zebra, Warszawa 1990).
- SIKORSKI (Jan). *Ziemiannin bez kompleksów. Wspomnienia*. Str. 180. (Wyd. Zrzeszenie Kaszubsko-Pomorskie, Gdańsk 1990).
- ZWOŹNIAK (Zdzisław). *Jak się rodziła Solidarność. Region Śląsko-*

- Dąbrowski 1980-81. Str. 274. (Wyd. Archiwum Solidarności, Wydawnictwo Pomost, Warszawa 1990).
- Wspomnienia Sybiraków, tom 3. Str. 182 i 2 nlb. (Wyd. Pomost, Warszawa 1990).
- NIWĘGŁOWSKI (Wiesław Al., ks.). *Podnoszę z ziemi mój głos*. Str. 405 i 3 nlb. (Wyd. Editions du Dialogue, Paryż 1990).
- PRZYBYLSKI (Ryszard). *Homilie na Ewangelię dzieciństwa. Szkice z teologii biblijnej malarzy i poetów*. Str. 224 i ilustracje. (Wyd. Editions du Dialogue, Paryż 1990).
- Polska bibliografia literacka za rok 1982, tomy I-II, Str. tom I — 576, tom II — 624. (Wyd. PWN, Warszawa-Lódź 1989).
- OKUNIEW (N.P.). *Dziennik moskwiczka (1917-1924)*. Str. 597 i 3 nlb. (Wyd. YMCA-Press w serii Wsjerossijskaja Memuarnaja Biblioteka, Paryż 1990).
- STIEPUN (Fiedor). *Bywszeje i niesbywszejesja*. Str. 429 i 5 nlb. (Wyd. OPI, Londyn 1990).
- ANDRIEJEW (Jekatierina). *General Własow i ruskoje oswoboditelnoje dżiżenje*. Str. 370 i 2 nlb. (Wyd. OPI, Londyn 1990).
- RAJEW (Mark). *Poniat' dorewolucjonnuju Rossiju. Gosudarstwo i obszczestwo w rossijskoj imperii*. Str. 304. (Wyd. OPI, Londyn 1990).
- TYRKOWA-WILLIAMS (Ariadna). *Na putiach k swobodzie*. Str. 437 i 3 nlb. (Wyd. OPI, Londyn 1990).
- CUNNINGHAM (James W.). *S nadziejoj na sobor*. Str. 353 i 7 nlb. (Wyd. OPI, Londyn 1990).
- ELLIS (Jane). *Russkaja prawostawnaia cerkow. Soglasije i inakomyśle*. Str. 307 i 1 nlb. (Wyd. OPI, Londyn 1990).
- Harvard Ukrainian Studies, special issue: Proceedings of the International Congress Commemorating the Millennium of Christianity in Rus'-Ukraine. Vol. XII/ XIII, 1988/1989. Str. 894. (Wyd. Ukrainian Research Institute, Harvard University, Cambridge MA, USA).
- Sikorski: *Soldier and Statesman. A Collection of Essays*. Opr. Keith Sword. Str. 224. (Wyd. ORBIS BOOKS, Londyn 1990).
- HALICZ (Emanuel). *Russian Policy Towards the Scandinavian Countries, 1856-1864*. (Nadbitka z *Imperial Power and Development: Papers on Pre-Revolutionary Russian History*, wyd. Slavica Publishers 1990).
- ROZENBAUM (Włodzimierz). *The Status of the Jews in Poland between the Wars 1918-1939: An Overview*. (Nadbitka z: *Poland between the Wars: 1918-1939*. Wyd. Indiana University Polish Studies Center, Bloomington In, 1989).
- Saint Catherine's Monastery, Mount Sinai. *An Orthodox Pomjanyk of the Seventeenth-Eighteenth Centuries*. Opr. Moshe Altbauer, Igor Szewczenko i Bohdan Struminsky. Str. 292 i 6 nlb. (Wyd. Harvard Ukrainian Research Institute, Cambridge MA, 1989).
- The Life of Paisij Velyckovskij*. Przeł. J.M.E. Featherstone. Str. 172. (Wyd. Harvard Library of Early Ukrainian Literature, Ukrainian Research Institute, Cambridge MA 1990).
- POTICHNYJ (Peter J.). *Elections in Ukraine*. Str. 44. (Wyd. Bundesinstitut für ostwissenschaftliche und internationale Studien, Köln 1990).
- DZIEWANOWSKI (M.K.). *A History of Soviet Russia*. Str. 414. (Wyd. Prentice Hall Inc., Englewood Cliffs, New Jersey USA, 1990).
- HERLING (Gustaw). *The Island. Three Tales*. Przeł. Ronald Strom. Str. 151 i 3 nlb. (Wyd. Peter Owen, London 1990).
- HERLING (Gustaw). *Due raconti. La torre. Il miracolo*. Str. 120 i 8 nlb. (Wyd. Libri Scheiwiller, Milano 1990).

Wolna trybuna

Jeszcze o Górnym Śląsku

Szanowny Panie Redaktorze

Bardzo proszę o zamieszczenie w *Kulturze* mojego listu do p. Józefa Grabki, polemizującego z artykułem Stanisława Bieniasza „Górny Śląsk”.

Nie znam osobiście p. Stanisława Bieniasza, autora eseju „Górny Śląsk” (*Kultura* nr 4/511, 1990), z którym Pan polemizuje w liście do *Kultury* (nr 9/516) i nie wiem, czy jest „niefrasobliwego młodego wieku” i czy też go cechuje „kosmopolityczna izolacja”, jak Pan przypuszcza. Dla mnie, bez względu na wiek, jest to człowiek odważny i chylę przed nim czoło.

Napisał Pan w swym liście wiele zdań, pod którymi też się mogę podpisać, lecz jako całość jest on przeze mnie nie do zaakceptowania. Z czym się nie zgadzam?

Pan zarzuca p. Bieniaszowi filogermanizm (cytat: „w szeregu przypadków zjawiają się wyraźnie przerosty germanofilskie”), co w dobie obecnej powinno się uznać za plus, a nie za minus. O to właśnie chodzi, aby naszych rodaków przeobrazić:

- z antysemitów w filosemitów,
- z antyukraińców w filoukraińców,
- z antygermanów w filogermanów,

i tak po kolei można by wymienić wszystkie graniczące z nami nacje. Bo którą z nich Polacy kochają? Kim nie pogardzają? Mówię naturalnie o przeciętnym Polaku.

Pan w tym artykule też demonstruje antygermanizm w klasycznym wydaniu: Pisze Pan: „...wotowy taniec Helmuta” (chodzą naturalnie o kanclerza Kohla), „...Ślązacy nie dojrżeli judaszowego pocałunku w Krzyżowej, natomiast zobaczyli srebrniki w jego dłoni”.

Pisze Pan w innym miejscu: „Pomimo uroczystych deklaracji w narodzie niemieckim nadal istnieje tradycyjna *Polenfeindlichkeit*; naj-

bardziej cierpią z tego powodu 'wysiedleńcy', którzy nazywani są pogardliwie *dreckige Pimoki*".

Ja tu żyję od czasu emigracji po internowaniu mnie w 1982 r., lecz nie słyszałem dotąd od nikogo z azylantów, czy „wysiedleńców”, aby ich kiedykolwiek jakimś pogardliwym przewżwiskiem nazwano. Abstrahując już od tego, że słowa *Pimoki* nawet w języku niemieckim nie ma i po prostu nic nie znaczy. Gdyby nacjonalista niemiecki (a takich się znajdzie, jak i w każdym innym narodzie) chciał Polakowi z jakiegoś powodu dokuczyć, to by chyba powiedział: *du dreckiger Polake*, tak jak np. Amerykanin, gdy się na Polaka „wkurzy”, to mu czasem powie: *you dumb Polak*. Lecz do takiego spięcia trzeba zawsze dwóch, tego co je sprowokuje i tego co niewłaściwie zareaguje.

W innym miejscu Pana listu czytam, że „nie można zapominać o niechlubnej roli, jaką ta organizacja odegrała na Śląsku przed 1939 rokiem, o funkcji *der fünften Kolonne*”. Co prawda nie wiem jaką konkretnie organizację ma Pan na myśli, bo mniejszość niemiecka na Górnym Śląsku przed 1939 rokiem zrzeszała się w wielu organizacjach, lecz sądzę, że chodzi Panu o mniejszość niemiecką jako taką.

Tak się po wojnie w propagandzie komunistycznej utarło, i czasem ktoś to jeszcze dziś powtarza, że „mniejszość niemiecka na Górnym Śląsku była piątą kolumną”, lecz jak dotąd nie doczytałem się konkretnych przykładów na taką działalność. Mówiło się, że prowadziła ona propagandę antypolską i miano jej to za złe. Na czym jednak ta propaganda polegała, co krytykowano? Wiadomo, że to, co się w Polsce przedwojennej działo, wielu Polakom się nie podobało. Przypisuje się też na jej konto ataki *Freikorps*'ów na niektóre kopalnie i huty śląskie w przeddzień wybuchu wojny. Lecz to też nieporozumienie. *Freikorps*'y nie przychodziły z Katowic czy Bielska, lecz z Gliwic, Zabrze, Bytomia, czyli z niemieckiej strony Górnego Śląska. Mogły więc stamtąd przyjść nawet wtedy, gdyby na polskim Górnym Śląsku nie było ani jednego Niemca.

Reasumując, proszę mi powiedzieć konkretnie, czym różniła się działalność mniejszości niemieckiej na polskim Górnym Śląsku od działalności mniejszości polskiej na Opolszczyźnie.

Pisze Pan poza tym: „Nieliczne zdolne jednostki Gminy Górnośląskiej po wykształceniu lądowały w Berlinie a dziś w Warszawie, pozostali — bierni, ociążali, społecznie niżej stojący...”. Ja się Panu nawet nie dziwię, bo i skąd Pan ma wiedzieć, że sam Górny Śląsk (nie wymieniam Dolnoślązaków) wydał czterech laureatów nagrody Nobla: Otto Sterna z Żor koło Rybnika — z fizyki w 1943 r., Kurta Adlera z Chorzowa — z chemii w 1950 r., Marię Göppert-Mayer z Katowic — z fizyki w 1963 r. i Konrada Blocha z Nysy — z medycyny w 1964 r. Skąd Pan ma np. wiedzieć, że prof. Bernhard Grzimek, który napisał 14 tomów *Tierleben* (o życiu zwierząt) był z Nysy. Przecież to wszystko w Polsce było i nadal jest „tajemnicą”.

Twierdzenie, że „najbardziej trafna jest charakterystyka posta E. Osmańczyka: 'nic tak nie zgermanizowało Ślązaków jak Polska Ludowa'” też nie jest zgodne z prawdą. Mówił on naturalnie o ludności Opolszczyzny, którą rzekomo reprezentował. Ta już była w 1944 r. w co najmniej 80-90% (jeśli nie więcej) zgermanizowana. Co prawda w niektórych powiatach jeszcze starsi ludzie używali gwary śląskiej, lecz byli przeważnie „niemieckiego ducha” (*deutschgesinnt*). Polska Ludowa miała jednak szansę tych „autochtonów”, co na Opolszczyźnie pozostali, zrepolonizować, lecz ją w minionym 45-leciu przegrała. Nie znaczy to, że kompletnie, bo część (poważna część) młodej generacji czuje się Polakami i to bez żadnego „ale”. Dotyczy to również tych, co wyjechali do RFN, bo gdzie indziej ich nie chciano. Gdyby ich np. przyjęła Ameryka, to by tam pojechali, lecz niestety, tam się trudno było dostać, a do Niemiec łatwo. Taką jest prawda.

I jeszcze parę zdań na temat powstań śląskich. Sugeruje Pan, że St. Bieniasz „czyni ponownie krzywdę tym bohaterskim Ślązakom, ofiara krwi już tylko z ludzkiego punktu widzenia zasługuje na najwyższy szacunek”. A cóż St. Bieniasz takiego napisał, co Pana tak zdziwiło i oburzyło? Że uważa, iż to była walka bratobójcza, że uważa, iż „powstania śląskie były lokalną wojną domową wspomaganą z jednej strony przez oddziały z Krakowa i ze Lwowa, a z drugiej, przez oddziały głównie z Bawarii, które odznaczały się w wielu wypadkach wielkim okrucieństwem”. Przecież to prawda. Ja Panu mogę nawet dać przykład, gdzie rodzeni bracia walczyli po przeciwnych stronach. A co do tej pomocy, to dodam jeszcze pomoc z Poznańskiego. Np. Tarnowskie Góry pomógł opanować pociąg pancerny, który przybył z Wielkopolski.

Gdy Pan pisze o tej ofierze krwi, która „z ludzkiego punktu widzenia zasługuje na najwyższy szacunek”, to Pan naturalnie myśli tylko o polskiej krwi, i to krwi przelanej w słusznej sprawie, to jest typowo po polsku. Czy widział Pan w Polsce szacunek dla krwi przelanej przez przeciwnika? Gdzie są te groby, te cmentarze przeciwników: „Ognia”, UPA, Wehrmachtu? Polska to nie Francja!

A słuszna, sprawiedliwa sprawa? Czyja, dla kogo? Dla Ukraińskiej Partyzanckiej Armii była ich walka słuszna, sprawiedliwa. Tak, lecz przecież Pan nie o tym. Pan o powstaniach śląskich. Wracam więc *ad rem*. Czym były powstania śląskie? Oficjalną odpowiedź znam. Lecz czym były w oczach bezstronnych?

Dziś tyle się mówi o prawie narodów i ludów do samostanowienia o sobie, o swym losie. Czym więc był plebiscyt przeprowadzony na Górnym Śląsku 20.III.1921 r., jeśli nie wcieleniem w życie tego prawa i to pod nadzorem trzech zwycięskich państw: Anglii, Francji i Włoch, które wprowadziły w tym celu na Górny Śląsk nawet swe wojska. A rezultat? Przegrana zwolenników włączenia do Polski (za Niemcami 706 tys., za Polską 479 tys.). W odpowiedzi na to Komisja Międzynarodowa postanowiła przyznać Polsce tylko małą część Górnego Śląska, że tak powiem „na otarcie też”. Równie

dobrze jednak mogła powiedzieć: Górny Śląsk przegłosował za Niemcami, więc będzie należał do Niemiec, lecz tego nie powiedziała.

A więc czym było III powstanie śląskie? Sprzeciwem, przekreśleniem woli ludności, zaprzeczeniem „prawa do samostanowienia”. Która strona walczyła więc o słuszną sprawę i przelewała krew za sprawiedliwą rzecz? Powstańcy śląscy myśleli, że oni, a obrońcy *status quo*, że to oni walczą o słuszną sprawę. A mnie obu stron żal, żal tej niepotrzebnie przelanej krwi w bratobójczej walce ludu śląskiego, której podobno nawet Piłsudski nie chciał i to mu niektórzy mieli za złe.

A szacunek dla przelanej krwi, którego się Pan domaga? Niemiecy nacjonałiści postawili pomnik na Górze św. Anny dla uczczenia tych z ich strony, którzy przelali krew przy jej zdobyciu. Polscy nacjonałiści go wysadzili w powietrze — bez szacunku dla krwi — i postawili swój pomnik dla uczczenia powstańców co tam polegli. Taki to jest szacunek.

Wie Pan, że po raz pierwszy spotkałem się z szacunkiem dla przelanej krwi po obu stronach u śląskiego pisarza o nazwisku Hans Lipinsky-Gottersdorf. Swą główną powieść *Die Prosna-Preussen* zadedykował on następująco: *Ich widme diesen Roman... den Toten des oberschlesischen Bruderkampfes*, czyli „Dedykuję tę powieść... poległym (zmarłym) w górnośląskiej wojnie (walce) bratobójczej”, i w dalszej kolejności Żydowi Saitzkemu (z Kluczborka) — ofierze hitlerowskiego antysemityzmu oraz w trzeciej kolejności swemu ojcu.

Cóż powiedzieć więcej? Chylę czoło przed H. Lipinsky-Gottersdorfem.

Wie Pan, co mi się w Pana liście podoba? Zakończenie. Pisze Pan w nim: „Ślązakom należy dać to, co im się należy... pozwolić im własny los wziąć we własne ręce. Podstawą współżycia winno być wypracowanie i przestrzeganie wspólnego... systemu reguł, aby pokój nie istniał tylko nad wspólnymi grobami... formułą górnośląską powinien być dalekowzroczny dialog oparty na cierpliwości i obliczalności, a siłą wyobraźni powinno się powiązać współczesność z nurtem 'ottowskim' — wtedy się będzie 'zrastać to, co razem należy'”.

Szkoda tylko, że cały Pański list nie jest w tym duchu napisany.

Z wyrazami szacunku

Henryk SPORON

Schweinfurt/Bayern, 18.09.1990

Jeśli nie zdarzy się cud...*

Instrukcja MEN o nauczaniu religii w szkole nie zaskoczyła nikogo, kto uważnie śledził rozwój sytuacji politycznej w Polsce podczas ostatniego roku. Już w pierwszych miesiącach stało się jasne, że Kościół katolicki szybko zdobywa (a może: przyjmuje w podarunku) dominującą pozycję w życiu publicznym kraju. Państwowe środki przekazu poświęcały coraz więcej miejsca wydarzeniom związanym z wewnętrznymi sprawami Kościoła, podrózom jego dostojników, ich wypowiedziom i modłom, ceremoniom, uroczystościom religijnym itp. Obchody rocznic historycznych zyskały oprawę świąt kościelnych, a symbole i obrzędy religii katolickiej stały się wkrótce składnikami niemal wszystkich wydarzeń życia publicznego, z obradami parlamentu włącznie. Interesy Kościoła i jego inicjatywy (nauka religii w szkołach, zakaz aborcji) łatwo awansowały do rangi problemów ogólnospołecznych, a chrześcijańska metafizyka i tzw. nauka społeczna Kościoła przejęły pełnią dotąd przez marksizm rolę filozofii oficjalnej.

Nietrudno wyjaśnić to zjawisko. Nowe władze polityczne kraju, od początku świadome ryzyka niedotrzymania obietnic przedwyborczych, a potem świadome także kolejnych własnych błędów i swej malejącej popularności, szukają w Kościele katolickim poparcia i obrony; wymaga to, oczywiście, stosownych świadczeń. Kościół zaś przyjmuje te świadczenia i związaną z nimi rolę tym chętniej, że alternatywą jest znaczny spadek jego znaczenia w życiu społecznym — także w porównaniu z miejscem, jakie zajmował w komunistycznej Polsce. Bo jeśli jednak uda się przywrócić w Polsce normalną, kapitalistyczną gospodarkę i jeśli ten kraj dołączy, kulturowo i cywilizacyjnie, do Pierwszego, nie zaś do Trzeciego Świata, pozycja Kościoła w państwie i jego autorytet w społeczeństwie nieuchronnie zmaleją. Zostaną zredukowane do rozmiarów właściwych już dziś instytucjom religijnym w krajach o wysokiej cywilizacji, gdzie wprowadzie język religii jest nadal kodem, w którym mówi się publicznie o sprawach moralnych, lecz ortodoksyjne doktryny religijne i instytucje z nimi związane nie mają żadnego wpływu na bieg spraw publicznych.

Wyjaśnić nie znaczy jednak usprawiedliwić. Bo jeśli nie zdarzy się cud — cud gospodarczy, który wymagałby geniuszu politycznego

* Tekst ten został napisany na zamówienie redakcji *Tygodnika Solidarność* i przyjęty do druku w nr. 41 tego pisma. W dniu 10 października br. zawiadomiono mnie, że na żądanie redaktora naczelnego, Jarosława Kaczyńskiego, zdjęto ten tekst z gotowej już kolumny; pan Kaczyński stwierdził, jak mi powtórzono, że nie można go opublikować „ze względów politycznych”.

od naszych władz i wspaniałomyślności od Zachodu — to zanim z mozołem, po wielu okrążeniach, wyjdziemy na prostą wodzącą ku liberalnej demokracji, grożą nam manowce państwa wyznaniowego ze wszystkimi klasycznymi jego atrybutami: nietolerancją światopoglądową i obyczajową, zaściankowością, ksenofobią i nieodłączną od nich stagnacją, a nawet regresem kulturowym.

Sądzę, że tego w istocie obawiają się ludzie, którzy protestują przeciwko wprowadzeniu nauczania religii do szkół państwowych. Jest wśród nich wielu wierzących, którzy jednak wyznaczają swym przekonaniom religijnym miejsce szczególne, w strefie przeżyć intymnych, mocno zabarwionych emocjonalnie, a dość neutralnych intelektualnie. I taką właśnie religijność chcą przekazać swoim dzieciom. Tymczasem triumfalny powrót religii do szkół, jako równorzędnego z fizyką, biologią czy matematyką przedmiotu nauczania, zapowiada próbę wychowania nowego pokolenia „bojowników świętej sprawy” — próbę, która jest, być może, skazana na niepowodzenie, ale na pewno nie obejdzie się bez ofiar: w najlepszym wypadku — tylko ofiar dysonansu poznawczego i hipokryzji, w najgorszym — także ofiar rozzuchwalonego fanatyzmu.

Komuniści od dawna już tolerowali wykłady uniwersyteckie, w których status poznawczy marksizmu przyrównywało się do statusu doktryn religijnych: w obu przypadkach nie mamy do czynienia z żadną zrozumiałą i sprawdzalną wiedzą, którą można by oceniać w kategoriach prawdy i fałszu, lecz z ideologiami, zamaskowanymi za pomocą sugestywnych metafor; różnica sprowadza się do rodowodu: marksizm jest ideologią wymyśloną w gabinecie przez nieodpowiedzialnego filozofa, religię zaś, jako dzieła folkloru, mają na ogół długą tradycję i mało znaną genezę.

Czy ktoś zaręczy, że w polskiej szkole lat dziewięćdziesiątych także będzie można to powiedzieć?

Barbara STANOSZ

— Nie jest to takie proste — powiada Machziński — ale...

Humor krajowy

W Mennicy Państwowej zaprojektowano nowy banknot: z jednej strony figuruje Wałęsa w koronie, a z drugiej Orzeł z wąsem.

Straszny sen Giermka: śniło mu się, że Najder ma bliźniaka.

Podobno jeden z braci Kaczyńskich jest Żydem, ale nie wiadomo który.

Telefon do Wałęsów. Odbiera Danuta i słyszy: — Lecha wzywają do Belwederu.

— Co się stało? Czy zepsuła się tam elektryczność?...

W rządzie jest tylko dwóch ministrów nieobrzezanych: Cywińska i Niezabitowska.

Wałęsa zastanawia się z żoną, gdzie powinien być pochowany. Zadzwoń do Franka — powiada i telefonuje do kardyna-

ła Macharskiego. Mówi mu o swoich problemach i dodaje — mam nadzieję, że znajdziesz tam dla mnie jakieś miejsce na Wawelu.

— Nie jest to takie proste — powiada Macharski — ale spróbuję.

Niezadowolony Wałęsa postanawia uderzyć wyżej i telefonuje do Papieża.

— Ojciec Święty — powiada — myśli o śmierci mnie nachodzą. W razie gdyby... czy znajdzie się dla mnie małe miejsce koło św. Piotra?

— To bardzo trudne mój synu i nie mogę ci tego obiecać.

Wałęsa drapie się w głowę, telefonuje do Izraela i prosi o połączenie z premierem. Przez chwilę wyjaśnia swoją kwestię i zapytuje:

— Czy mogę liczyć na to, że znajdzie się dla mnie małe miejsce przy Grobie Pańskim?

— To bardzo trudne — mówi premier — krypta jest bardzo mała i nikt się już tam nie zmieści.

— No, ale chyba można powiększyć kryptę?

— Może i można, ale Izrael to kraj biedny, ciągle w wojnie i nie mamy na to pieniędzy.

— A ile by to musiało kosztować? — pyta Wałęsa.

— Co najmniej 50 tysięcy dolarów.

— Co? — woła Wałęsa. — 50 tysięcy dolarów za trzy dni!!

Zebrała Zofia HERTZ

Sprzedam
z własnych zbiorów
oryginalny obraz (z ekspertyzą)
pędzla Januarego Suchodolskiego

ODSIECZ WIEDNIA

(koniec 18-go wieku)

M. DANCYGIER, FORTUNA IMMOBILIEN

6000 Frankfurt/Main

Kaiserstr. 61; Niemcy

tel. (48 69) 23 93 57

KRAJ — BLOK WSCHODNI

27.8.90

Polska nadal dostarcza broń krajom Bliskiego Wschodu. Statek pod iracką flagą wyładował w Tripolisie materiały wojenne pochodzenia polskiego. Materiały te zostały natychmiast przetransportowane samolotami do Iraku.

3.9.90

Zmarł w Warszawie w wieku 89 lat Mieczysław Fogg, znany śpiewak estradowy.

4.9.90

Od września br. rozpoczęły działalność trzy nowe szkoły ukraińskie w Polsce: w Górowie Hławieckim (woj. olsztyńskie), w Białym Borze (woj. koszalińskie) i w Bartoszycach (szkoła podstawowa).

10.9.90

Ofensywa Ciemnogrodu w Polsce: Rada Miejska w Radomiu uchwaliła zmianę nazwy ulicy Mieczysława Niedziałkowskiego na ulicę Bronisława Pierackiego.

13.9.90

Republika Ukraińska ogłosiła swoją niezależność od ZSSR. Ukraina liczy 51,4 mln mieszkańców, w tym 73,6% stanowią Ukraińcy, 21,1% Rosjanie, 1,3% Żydzi, 0,8% Białorusini, 0,6% Moldawianie, 0,5% Polacy, 0,5% Bułgarzy, 1,6% inne narodowości.

15.9.90

Coraz więcej obywateli sowieckich prosi o azyl w Polsce. Z niezrozumiałych względów napotyka to na wielkie trudności, w najlepszym wypadku zostaje przyznane prawo stałego pobytu. Jest jeszcze i inne zjawisko: mianowicie zwiększa się ilość dezertersów z armii sowieckiej, szukających azylu w Polsce, którzy są wyłapywani przez W.O.P. i wydawani sowieckim władzom wojskowym. Należy wątpić, czy tego rodzaju postępowanie ułatwia powrót Polski do grona cywilizowanych państw Europy.

20.9.90

Zmarła w Warszawie w wieku 76 lat Flora Bienkowska, pisarka i poetka.

23.9.90

Zmarł w Warszawie w wieku 56 lat prof. Włodzimierz Tadeusz Kowalski, popularny historyk, który niestety często jednostronnie oceniał wydarzenia najnowszej historii.

11.10.90

11 listopada br. zamyka się działalność Funduszu Daru Narodowego. Z Funduszu tego rozdysponowano do tej pory 13,8 mld złotych, w tym 200 tys. dolarów US, głównie na potrzeby oświaty (dokończenie remontu budynków szkolnych), ochrony zdrowia, pomocy społecznej, kultury i ochrony środowiska. ■ Zarząd główny Stowarzyszenia Dziennikarzy R.P. przyznał

nagrody za wyróżniającą się publicystykę w 1989 roku. Nagrodę I stopnia otrzymał red. Krzysztof Teodor Toeplitz z *Polityki*; nagrodę II stopnia — Karol Sawicki z telewizyjnej *Panoramy dnia*; nagrodę III stopnia — Marek Rymuszko z *Prawa i Życia*. Laureatem nagrody im. Juliana Bruna dla dziennikarzy, którzy nie ukończyli 40 lat, został Marek Zieleniewski z poznańskiego pisma *Wprost*.

13.10.90

Doroczne nagrody polskiego Pen-Clubu dostali: Gustaw Herling-Grudziński — nagroda im. Jana Parandowskiego; Klaus Staemmler — za przekłady literatury polskiej na niemiecki; Petar Vujičić — za przekłady literatury polskiej na serbski; Jarosław Marek Rymkiewicz — za przekłady poezji obcej, szczególnie angielskiej na polski; Jerzy Pomianowski — za przekłady literatury obcej na język polski, szczególnie za przekład „Archipelagu Gułag” Aleksandra Sołżenicyna; Zygmunt Kubiak — za przygotowanie wydania „Iliady” i „Odyssey”; Henryk Markiewicz i Andrzej Romanowski — za wydanie książki cytatów „Skrzydlate Słowa”.

ZACHÓD — EMIGRACJA

13.8.90

Artur Rymkiewicz został mianowany ministrem do spraw emigracji w rządzie R.P. na wygnaniu. Był wieloletnim działaczem Zjednoczenia Polskiego w W. Brytanii.

15.8.90

W miasteczku Gaming (Dolna Austria) odbył się VI Międzynarodowy Festiwal im. Fryderyka Chopina. Ze strony polskiej wzięli w nim udział pp. Piotr Paleczny i Adam Harasiewicz.

17.9.90

IX Uniwersytet Letni, organizowany przez Communauté Franco-Polonaise, przy współpracy Towarzystwa Historyczno-Literackiego w Paryżu, był poświęcony głównie omówieniu sytuacji w Europie Wschodniej, jak również zostało omówione 200-lecie rewolucji francuskiej pod kątem stosunków polsko-francuskich w tym okresie. ■ W Instytucie Polskim Uniwersytetu Nancy II (Francja) odbyła się międzynarodowa konferencja na temat kultur Europy Środkowej i wizji wspólnej Europy. Wzięło w niej udział około 30 naukowców z 7 krajów. Wydarzeniem był udział reprezentacji ukraińskiej i litewskiej.

19.9.90

Zmarł w Nowym Jorku w wieku 93 lat Wacław Solski, wybitny pisarz. Był on jakby kłamrą między Polską a Rosją. Jego książka „Moje wspomnienia”, wydana przez Instytut Literacki w 1977 r., jest dokumentem wyjątkowym. Może w dzisiejszej sytuacji mogłaby się ukazać w Rosji. Pozostanie On w literaturze polskiej jako wybitny nowelista, autor świetnych opowiadań, które ukazały się w tomie „Żółta trójka”, wydanym przez Aneks w 1988 r.

26.9.90

W Galerii Marek w Paryżu odbył się wernisaż wystawy *Ecole de Paris*.

28.9.90

W Lille odbył się wernisaż wystawy pt. *Les Aspects de la culture polonaise*, zorganizowanej przez *Stowarzyszenie Traditions Culturelles Polonaises*. ■ W Instytucie Polskim w Paryżu miało miejsce spotkanie z Jackiem Kuroniem, ministrem pracy i polityki socjalnej R.P.

1.10.90

Zmarł w Paryżu w wieku 89 lat Michel Leiris, pisarz i etnolog, ostatni świadek surrealizmu.

10.10.90

Imprezy w Instytucie Polskim w Paryżu: 14 września br. odczyt prof. Jana Błońskiego na temat „Jaka Europa i dla kogo?” (wygłoszony w języku francuskim); 4.10.br. wernisaż wystawy twórczości Jana Lebensteina, która trwać będzie do 31.10.br., połączony z wyświetleniem filmu „Lebenstein o życiu i dziele malarza”; 11.10.br. spotkanie z Tadeuszem Fredro-Bonieckim, autorem książki „Zwycięstwo księdza Popieluszki — rozmowy z mordercą”.

15.10.90

Pokojową Nagrodę Nobla w 1990 roku przyznano prezydentowi ZSSR, Michajłowi Gorbaczowowi. Wiadomość o przyznaniu tej nagrody została na Zachodzie przyjęta z ogromnym entuzjazmem, natomiast w Związku Sowieckim, a specjalnie w Republice Rosyjskiej, została przyjęta więcej niż niechętnie. ■ W Centre du Dialogue w Paryżu wystąpił gdański teatr „Wybrzeże” z inscenizacją „Hioba” w tłumaczeniu Czesława Miłosza. Spektakl reżyserował Krzysztof Babiński. W tymże Centre du Dialogue 19.10.br. Jan Kułakowski, ambasador Polski przy wspólnotach europejskich w Brukseli, wygłosił odczyt pt. „Powrót Polski do Europy”.

9.10.90

Prof. Jadwiga Puzynina wygłosiła w Polen-Institut w Darmstadt wykład pt. „Zmiana systemu a zmiana języka — zmierzch języka totalitarnego w prasie polskiej”.

11.10.90

Włoska Partia Komunistyczna w 70-tą rocznicę swego istnienia zmieniła nazwę na *Partito Democratico della Sinistra* (Demokratyczna Partia Lewicy).

26.10.90

W Rzymie odbyło się zebranie robocze przedstawicieli kraju i emigracji, mające na celu stworzenie formy organizacyjnej współdziałania Kraju i Polaków na całym świecie oraz zwołanie zjazdu w Polsce w 1991 roku.

KRONIKA AMERYKAŃSKA

W *Wall Street Journal* z 21 sierpnia ukazał się duży i uczciwy artykuł o polskim rządzie emigracyjnym w Londynie. Podkreślono jego rolę w utrzymywaniu ciągłości państwowej i legalności władzy. ■

Działająca w Polsce Agencja do Spraw Inwestycji Zagranicznych wydała 2000 zezwoleń na zakładanie spółek mieszanych (*joint-venture*) do końca lipca 1990 r. Około 40% spółek jest własnością obywateli Niemiec (duża część polskiego pochodzenia), ale Amerykanie zajmują pierwsze miejsce pod względem zaangażowanego kapitału. Tylko dwa najważniejsze kontrakty w przemyśle chemicznym mają wartość 2 mld dolarów; największe zainteresowanie Amerykanów wzbudza jednak budowa hoteli oraz przedsiębiorstw rolno-spożywczych. ■ Zgodnie z ubiegłoroczną obietnicą prezydenta Busha o wyasygnowaniu na ochronę środowiska Krakowa 30 mln dolarów, miasto to otrzyma system określający stopień zagrożenia ekologicznego czynny całą dobę. Amerykańska pomoc obejmuje również likwidację niskiej emisji zanieczyszczeń, która najbardziej niszczy Kraków. ■ PKO Trading Corporation, Polish American Enterprise Foundation i bliżej nieokreślone koła polonijne zdecydowały uczestniczyć w zakupieniu i montażu na Śląsku kompletnej linii produkcyjnej samochodu „Horizon” (bez silnika) wytwarzanego przez firmę Chrysler. ■ W dniach 1-3 września w Detroit odbył się zlot lotników polskich Ameryki Północnej, w którym uczestniczyły również delegacje podobnych polskich organizacji z całej diaspory. ■ Z inicjatywy kalifornijskich działaczy Kongresu Polonii Amerykańskiej powstała Komisja do Spraw Europy Środkowej i Wschodniej, w skład której wchodzi przedstawiciele emigracyjnych środowisk dziesięciu narodów zamieszkujących te tereny. Pracami Komisji kieruje Wojciech A. Winkler z San Mateo w Kalifornii, a jej zasadniczymi celami są pomoc w odzyskaniu pełnej niepodległości przez kraje środkowo i wschodnioeuropejskie oraz rozwijanie więzi międzyetnicznych w Stanach. Jeśli Komisji uda się pokonać wzajemne niechęci i uprzedzenia narodowe jej rola może być dość ważna szczególnie w życiu tych wspólnot w USA. ■ Podczas wrześniowego pobytu delegacji KPA w Polsce konsorcjum Związku Narodowego Polskiego (największej polskiej organizacji ubezpieczeniowej) wyraziło zainteresowanie założeniem przetwórnicy mięsa w Starachowicach. ■ Odwołana została wizyta Jaruzelskiego w USA. ■ 12 września przebywał w Nowym Jorku i Doylestown (tzw. amerykańska Częstochowa) prezydent Ryszard Kaczorowski. Ponownie ma on przybyć pod koniec października na zjazd Rady Narodowej do Boulden, Colorado. ■ W Harvard University Press ukazała się praca Barańczaka *Breathing under Water and Other East European Essays* poświęcona rozpadającemu się systemowi komunistycznemu oraz społeczeństwom w tym systemie myślącym i żyjącym. ■ Mająca ponad 50 lat Polish-Hungarian World Federation, zrzeszająca członków w USA, Kanadzie, Australii, Niemczech i Francji, postanowiła uaktywnić się w działaniach na rzecz budowy wspólnych więzi między Polską i Węgrami oraz między obiema emigracjami. ■ Nagonka przeciw nowemu konsulowi polskiemu w Nowym Jorku rozwija się, a jej główną przyczyną była pozytywna opinia Surdykowskiego o filmie „Ostatnie kuszenie Chrystusa”. Pol-

ski emigracyjny „ciemnogród” wykorzystuje do akcji sztyld niektórych oficjalnych organizacji, w tym lokalnych ogniw KPA, domagając się konsultacji i wpływu na decyzje rządu warszawskiego przy obsadzaniu stanowisk konsularnych. ■ Niektóre stacje telewizyjne pokazały b. prezydenta Ronalda Reagana symbolicznie niszczącego resztki muru berlińskiego oraz owacje tłumy Polaków podczas pobytu Reagana w Polsce, gdzie spotkał się z posłami i senatorami oraz Tadeuszem Mazowieckim, Wałęsą i Jaruzelskim. ■ Polskie Linie Oceaniczne otworzyły nowe połączenie między portami amerykańskimi (Nowy Orlean i Savannah) i portami europejskimi (Bremerhaven, Rotterdam, Le Havre). ■ Amerykański Urząd Imigracyjny wydał rozporządzenie o konieczności opuszczenia kraju przez azylantów politycznych z państw, w których w ostatnim czasie dokonały się procesy demokratyczne. Dotyczy to m.in. Polaków, którzy poprosili o azyl w USA przed 11 września 1989 i jeszcze nie otrzymali prawa stałego pobytu czyli tzw. zielonej karty. Szef KPA i ZNP, Edward Moskal, postanowił interweniować w Waszyngtonie, natomiast niektórzy zainteresowani Polacy — za przykładem Latynosów, którzy w takich wypadkach zaskarżają Urząd Imigracyjny do sądu — postanowili zwrócić się do prawników oraz organizacji broniących praw człowieka. ■ Dwie organizacje broniące imigrantów (najczęściej są one zdominowane przez Latynosów, którzy w przeciwieństwie do Polaków umieją bronić swych praw) — LULAC (League of United Latin American Citizen) i CSS (Catholic Social Service) wytoczyły sprawę sądową Urzędowi Imigracyjnemu. Chodzi o prawo do skorzystania z amnestii podpisanej przez prezydenta Reagana dla osób, które opuściły USA na krótki okres czasu i nie zdążyły złożyć podania o stały pobyt przed 5 maja 1987 r.; kategoria ta zawiera również osoby, których pobyt poza krajem przedłużył się z ważnych przyczyn. Do czasu orzeczenia sądu kalifornijskiego, przed którym toczy się postępowanie, składający spóźnione podania otrzymują prawo normalnego stałego rezydenta USA, w tym prawo do pracy. ■ Jednym z nielicznych Polaków mieszkających w USA, działających na rzecz zbliżenia polsko-murzyńskiego, jest Edward Marciniak, prezes *Chicago Newspaper Guild*, redaktor naczelny miesięcznika *Work*, wieloletni dyrektor chicagowskiej Komisji do Spraw Stosunków Międzynarodowych. We wrześniu przeznaczył dochód z bankietu zorganizowanego na swoją część na rozwój oświaty wśród dzieci z najuboższych murzyńskich osiedli. ■ Pracownik chicagowskiego Columbia College, dr Barbara Strassberg, postanowiła zbadać losy i stopień asymilacji polskich Żydów, którzy osiedlili się w USA i w Izraelu. Ciekawe są różnice między polskimi Żydami i Polakami pod względem stopnia asymilacji w społeczeństwie amerykańskim, stosunku do społeczeństwa i jego kultury oraz widzenia własnej pozycji w amerykańskim życiu. ■ W Chicago przebywał prezydent Warszawy, Stanisław Wyganowski z okazji przekazania polskiej stolicy w ramach programu „miast siostrzanych” ośmiu ambulansów dla tamtejszego pogotowia. Inicjatorem był R. Puciń-

ski, radny chicagoski i szef illinoiskiego KPA. ■ Powstały po wizycie G. Busha w Polsce Polish American Enterprise Fund zaczyna realizować siedem pierwszych — z trzydziestu pięciu — pozycji pomocy prywatnemu rolnictwu, bankowości i budownictwu oraz spółkom mieszanym.

Mariusz SZAJNERT

Chicago, 4.10.90

KRONIKA KANADYJSKA

Zliberalizowane postanowienia ustawy imigracyjnej, stosowanej wobec obywateli państw Europy wschodniej rządzonych przez komunistów, zostały zniesione z dniem 31 sierpnia br. Liberalizacja i zmiany dotyczyły przede wszystkim terminu „uchodźca”. Kanada z jednej strony zwiększyła liczbę wiz dla mieszkańców Europy wschodniej, a z drugiej uznała za uchodźców osoby, które same tak się określały — przyjęto termin *self-exile*. Do tej kategorii należeli obywatele państw Europy wschodniej, którzy znaleźli się na Zachodzie i postanowili nie wracać uważając, iż powrót zagraża ich bezpieczeństwu. Kanadyjskie konsulaty w państwach w których znaleźli się owi „uchodźcy” przyjmowały i załatwiały aplikacje wizowe na zasadach ulgowych. W ramach tego programu *self-exile* od 1983 r. do sierpnia 1989 r. Kanada przyjęła z państw Europy wschodniej 45.000 osób, w tym z polski około 30.000. Tylko w 1989 r. na ogólną liczbę 21.601 przybyszów z Europy wschodniej było 15.808 osób z Polski.

Barbara McDougall, minister Zatrudnienia i Imigracji, likwidując kategorię *self-exile* wskazuje, iż straciła ona sens, gdyż w wszystkich tych państwach można uzyskać legalnie paszporty, zniesiono różne restrykcje wyjazdowe, zlikwidowano totalitarną formę rządów. W tych warunkach logiczne jest, by wnioski o wize imigracyjne załatwiały urzędy konsularne w krajach zamieszkania aplikantów. Około 30.000 wniosków złożonych przed 1 września 1990 r. rozpatrzonych zostanie zgodnie z poprzednimi postanowieniami. Kanada przewiduje, że w okresie 1991-95 przybędzie rocznie z państw Europy wschodniej, łącznie z ZSSR, około 30.000 imigrantów.

Ministerstwo imigracji zapowiada pewne dalsze zasadnicze zmiany w ustawie imigracyjnej. Kategoria „członkowie rodzin” została ścieśniona do małżonków i dzieci do 18-go roku życia, czyli że nie korzystają z przywilejów: dzieci powyżej 18-tu lat, rodzice, rodzeństwo i dalsza rodzina. Restrykcje te uzasadnione mają być względami natury gospodarczej: członkowie rodzin mogą nie posiadać odpowiednich kwalifikacji. Nie jest jednak wykluczone, iż cho-

dzi m.in. o zmniejszenie ilości niepożądanych przybyszów wielkiej ilości rodzin afrykańsko-azjatyckich.

Zniesienie klasyfikacji *self-exile* uderza w emigrację polską; zarówno w tych, którzy znajdują się już na Zachodzie, ale nie rozpoczęli starań o wize, jak i pewnej liczby osób przybyłych do Kanady z wizytą, a pragnących pozostać. Zapowiedź węższego kryterium łączenia rodzin niewątpliwie zmniejszy imigrację. ■ Fundacja Charytatywna Kongresu Polonii Kanadyjskiej prowadzi akcję zbiorową m.in. na rzecz Centrum Dziecka w Borowej Wsi. Na budowę tego ośrodka wysłano \$5.000, wysłała się specjalne paczki wartości \$2.000 rocznie, a żywność za sumę \$1.000 posłano dla Domu Społecznego dla Dzieci w Warszawie. Komitet Okręgu Quebec przekazał poprzez komisję charytatywną Episkopatu kilkanaście pojemników różnych przedmiotów oraz \$15.000 na budowę Centrum Dziecka w Borowej Wsi. Komitet Lekarzy i Farmaceutów w okresie od 1.10.1988 do 30.9.1989 r. przesłał m.in. do szpitala w Środzie Śląskiej ultrasonograf, aparat diagnostyczny wartości \$65.000, a ponadto wysłano na ręce prof. A. Ziabickiego różne odczynniki, lekarstwa, aparaty medyczne itp. oraz aparaturę, sprzęt i leki do innych szpitali. Z funduszków uzyskanych ze zbiórek wśród lekarzy i zakładów farmaceutycznych wysłano transport pism fachowych i drobny sprzęt szpitalny wartości \$8.000. ■ W Montrealu zmarła po dłuższej chorobie na raka w wieku lat sześćdziesięciu Alicja Poznańska-Parizeau, autorka szeregu powieści w języku francuskim, w tym o tematyce polskiej. Urodzona w Krakowie, rodzice zginęli w obozie koncentracyjnym w Oświęcimiu w 1941 r. W dwa lata później młodziutka Alicja wypełniała jako kurierka różne zadania dla Podziemia. Po wojny znalazła się pod opieką rodziny w Paryżu, gdzie ukończyła studia na wydziale prawniczym. w 1952 r. przybyła do wuja do Montrealu z wizytą, która zamieniła się na stały pobyt. W 1954 r. wyszła za mąż za młodego ekonomistę Jacques Parizeau, późniejszego polityka i obecnego przywódcę separatystycznej Partii Quebecu. Alicja Parizeau pierwszą powieść o tematyce polskiej pt. „Un voyage en Pologne” opublikowała w 1962 r., po czym kolejno ukazały się: „Les solitudes humaines”, „Fuir”, „Survivre”, „Rue Sherbrooke Ouest”, „L'acte gratuit” i wreszcie najbardziej znana i wysoko oceniona „Les lilas fleurissent à Varsovie”. Powieść ta ukazała się również w Stanach Zjednoczonych i uzyskała w 1982 r. Prix de l'Europe. w 1987 r. Alicja Poznańska-Parizeau otrzymała najwyższe odznaczenie „Order of Canada”, wywołując burzę w obozie separatystów quebeckich.

Alicja Parizeau na łamach prasy oraz w radio często zabierała głos w sprawach polskich, utrzymywała kontakt z organizacjami polonijnymi, służyła też w razie potrzeby pomocą. Prem. Bourass powiedział, że ze śmiercią Alicji Parizeau Quebec stracił przyjaciela, który wiele wniósł do dziedzin sztuki i kultury. Osierociła dwoje dorosłych dzieci. Rodzina sugerowała, by zamiast kwiatów na trumnę złożyć ofiary na Centrum Dziecka w Borowej Wsi. ■ 29 września

przybył do Toronto z oficjalną wizytą prezydent Warszawy dr Stanisław Wyganowski, zaproszony przez Radę Miejską celem podpisania umowy bratnich miast z Warszawą. Podczas 5-dniowego pobytu prez. Wyganowski spotkał się również z przedstawicielami Polonii.

Ukraińskie fundacje naukowe w Kanadzie

Kanadyjski Instytut Ukrainoznawstwa (Uniwersytet Alberta-Edmonton) systematycznie rozszerza swoją działalność dzięki hojnym dotacjom i zapisom testamentowym członków ukraińskiej społeczności w Kanadzie. Niektóre z nich inicjują fundacje dla upamiętnienia fundatorów. Wysokość każdej dotacji na Instytut Ukrainoznawstwa podwaja wkład Uniw. Alberta w Edmontonie.

W czerwcu br. uruchomiony został Program Badań Współczesnej Ukrainy dzięki zapisowi testamentowemu Jewdochii Stasiuk zmarłej w 1987 r. i otrzymanym dodatkowo \$80.000. Kierować programem będzie dr Dawid Marples, autor szeregu prac o problemach ukraińskich, w tym monografii o katastrofie w Czarnobylu. Został on również redaktorem miesięcznego Biuletynu Instytutu Ukrainoznawstwa.

Odnotowujemy nowych fundatorów: Marusia i Michał Dorosz — \$100.000. On, urodzony w 1920 r. w Ustrzykach, w Kanadzie od 1948 r., żona ur. 1925 r. w Sorokach, Małopolska wsch.; małżeństwo Stelmach — on z Buczacza, ona z Żółkwi, w Kanadzie od 1948 r. — \$50.000; małżeństwo Iwanciw — \$59.000 — oboje lekarze, ona z Winnik, koło Lwowa, on ze wsi pod Żółkwią; małżeństwo Taborowskij — oboje z Galicji, prawosławni, w Kanadzie od 1951 r. — \$15.000. Skromniejszych fundacji jest wiele. Wszystkie służą na pokrycie wydatków na prace naukowe, zakup względnie publikację prac naukowych, stypendia dla studentów względnie pracowników naukowych — zawsze jednak związane z tematyką ukraińską lub ukraińsko-kanadyjską. Niezależnie od dotacji tworzących fundacje wpłynęło w ciągu wiosny do czerwca br. \$8.625 od 17 osób.

Utworzony został specjalny fundusz dla pokrycia wydatków związanych z ustanowioną wymianą z uniwersytetami w Czerniowcach, Lwowie i Kijowie. Kanadyjski Instytut Ukrainoznawstwa dostarczy m.in. wymienionym uczelniom fotokopiarek w zamian za przyjęcie studentów i pracowników naukowych Instytutu. Pierwsza lista donatorów (139 osób i 10 organizacji) złożyła \$29.277.

B.H.

Listy do Redakcji

20 września 1990

Wielmożny Panie Redaktorze!

Zwracam się z prośbą do W. Pana o zwrócenie uwagi p. Agacie Tuszyńskiej, że w języku polskim nie mówimy „ośmioklasista” i „pięcioklasista”, tylko „ośmoklasista” i „piątoklasista”. Na marginesie: niewłaściwym jest wytykanie dzieciom ich błędów ortograficznych przez osobę robiącą tak rażące błędy gramatyczne.

Na temat innych idiotyzmów, pomieszczonych w artykule „Nie jestem rasistką...”, nie będę się wypowiadał z trwogi przed posądzeniem o: antysemityzm, szowinizm, rasizm, ksenofobię, nietolerancję i Ciemnogród.

Łączę wyrazy szacunku,

Jakub KACHNIARZ

Pittsford, 5 października 1990

Droga Redakcjo,

Po raz pierwszy lektura *Kultury* sprawiła mi przykrość i wywołała sprzeciw. Aż trzy artykuły z n-ru 9/516 (wrzesień 1990) budzą wątpliwości tak co do racji jak i intencji autorów. Pierwszy (R. Kaczmarka) pełen konstatacji jednoznacznie negatywnych, próbuje dowiedzieć, że 12 miesięcy nowego, postkomunistycznego ładu w Polsce jest „straconym rokiem”. To chyba nieporozumienie. Zbigniew Romaszewski pisze wprawdzie powściągliwiej i mniej sarkastycznie, lecz w swej negatywnej ocenie tego okresu jest równie pryncypialny.

Czy doprawdy nie potrafimy zdobyć się na analizę pozytywną i bardziej optymistyczną ważnych wszak dokonań ostatniego roku? Czy rzeczywiście musimy zawsze i wszędzie widzieć „pasma błędów i pozornych zwycięstw”? Póki mieliśmy do czynienia z rzeczywistością komunistyczną, było to zrozumiałe, potrzebne i konstruktywne. Chciałbym wierzyć, iż dobór tekstów wrześniowego n-ru *Kultury*, łącznie z wręcz obraźliwym i antypolskim wyskokiem W. Osadczuka („Cóż dalej, Panowie Polacy”) jest zbiegiem okoliczności, a nie wykładnią filozofii publicystycznej Redakcji *Kultury*.

Z poważaniem

Dr Zbigniew K. ŁĘGIESKI

Dobór tekstów w nrze wrześniowym *Kultury* nie był przypadkowy. Jest to nasza ocena obecnej sytuacji w kraju. *Redakcja*.

30 września 1990

Szanowny Panie Redaktorze,

W „Kronice niemieckiej” w nr. 6/513 *Kultury*, który mogłem dopiero teraz przeczytać, znajduje się informacja na temat inicjatyw mieszkańców Görlitz, którzy „czują się Ślązakami” oraz przytoczona za Radiem Warszawa wiadomość o proteście MSZ RP przeciwko „przejawom rewizjonizmu”. Treść notatki, a zwłaszcza powtórzona za warszawskim radiem frazeologia („przejawy odwetu i militarystyki”), mogą wywołać różne nieuzasadnione skojarzenia, zwłaszcza u czytelników nie znających historii Śląska. Odnoszę wrażenie, że również wiedza autora „Kroniki niemieckiej” — przynajmniej w tej dziedzinie — nie jest kompletna, co zdradzają użyte przezeń sformułowania.

Görlitz i Zgorzelec — to niemiecka i polska nazwa miasta nad Nysą Łużycką, które zostało w 1945 r. w wyniku ustaleń jałtańskich w nienaturalny sposób podzielone między dwa państwa. To, że mieszkańcy Görlitz czują się Ślązakami, nie jest przejawem rewizjonizmu, lecz konsekwencją faktu, iż miasto w sensie historycznym, geograficznym i politycznym należało do Śląska. Zachodnia granica Dolnego Śląska przebiegała w formie trójkątnego klina na Zachód od Nysy Łużyckiej i sięgała nawet na zachód od Szprewy, gdzie leży miasto Hoyerswerda. Görlitz/Zgorzelec był głównym miastem tego najbardziej na Zachód wysuniętego cypla Dolnego Śląska. W 1945 r. rejon ten został włączony przez okupacyjne władze sowieckie w administracyjne granice Saksonii, natomiast w 1952 r. — w ramach „budowy socjalizmu”, czyli zrywania z historyczną przeszłością — podzielony między okręgi Drezno (Dresden) i Cottbus. Trudno się dziwić, że mieszkańcy niemieckiego Zgorzelca są przeciwni zaliczaniu ich do Saksonii, skoro — jako autochtoni — są Ślązakami.

Inicjatywy, o których mowa w „Kronice niemieckiej”, to prosty rezultat liberalizacji politycznej w NRD; po latach ucisku i surowej cenzury jest rzeczą naturalną podejmowanie obecnie problemów politycznych czy tematów historycznych, o których uprzednio nie wolno było mówić. Sądzę, że Polacy powinni unikać w tym wypadku reakcji alergicznych, bowiem stosunki polsko-niemieckie są już wystarczająco obciążone zarówno przeszłością jak i kompleksami, nierzadko opartymi na niewiedzy czy emocjonalnych odruchach. Jeśli Ślązacy z niemieckiego Zgorzelca zapraszają Herberta Hupkę — nie ma w tym nic alarmującego. Wprost przeciwnie — wydaje mi się to zupełnie zrozumiałe; mieszkańcy największego śląskiego miasta na terenie NRD zapraszają przewodniczącego głównej niemieckiej organizacji Ślązaków — Ziomkostwa Śląsk (*Landmannschaft Schlesien*). Tu jeszcze jedna korektura: H. Hupka nie jest — jak twierdzi autor „Kroniki niemieckiej” (albo Radio Warszawa) — przewodniczącym Związku Wypędzonych. I przy okazji dwie uwagi lingwistyczne:

Jak wiadomo, w systemie komunistycznym język jest jednym z instrumentów sprawowania władzy. Językowe manipulacje, jakie towarzyszyły propagandzie antyniemieckiej w PRL sięgały nierzadko absurdu. Na kursach języka niemieckiego wszystkich szczebli nie wolno było używać niemieckich nazw geograficznych, nawet jeśli istniały one od stuleci i z polityką nie miały nic wspólnego. W ten sposób redagowane były również podręczniki. Otóż kultura językowa, jak również komunikatywność (a często także względy fonetyczne) wymagają, aby używać nazw geograficznych właściwych danemu językowi, nawet w stosunku do innych krajów, o ile tylko nazwy te istnieją. Mówiąc po polsku powiem zatem: Kolonia (a nie: Köln), Akwizgran

(a nie Aachen), Zgorzelec (a nie: Görlitz), czy też Bratysława (a nie: Bratislava), Nowy Jork (a nie: New York) itd. Mówiąc czy pisząc po niemiecku użyję jednak nazw: Danzig, Warschau, Moskau a także Pressburg (a nie: Bratislava) i nie znaczy to wcale, że chcę wcielić te miasta do Niemiec. Gwałtowne reakcje na pojawienie się w RFNowskich publikacjach niemieckich nazw miast leżących obecnie w granicach państwa polskiego powodowane były głównie czynnikami polityczno-propagandowymi. Onomastyką powinni jednak zajmować się lingwiści, a nie politycy, zwłaszcza w czasach tak namiętnej krytyki dokonań Największego Językoznawcy Wszechczasów — Józefa Stalina.

Utrwaliło się w języku polskim tłumaczenie słowa *Vertreibung* jako „wypędzenie” i „wypędzonych” ujmowano z reguły w cudzysłowach, aby dać do zrozumienia odbiorcy, że termin jest nieadekwatny, przesadny czy też propagandowy. Teraz można już w Polsce mówić i pisać o tym, że chodzi tu o akcję bezprawną i okupioną ogromnymi ofiarami w ludziach (szkoda tylko, że katolicki premier nie zdobył się na gest podobny do oświadczenia Vaclava Havla w sprawie usunięcia Niemców z Czechosłowacji...) W języku niemieckim utrwaliło się pojęcie *Vertreibung*, które podkreśla nieludzki charakter operacji. Dosłowne tłumaczenie na polski — to w istocie „wypędzenie” (ewentualnie „wyrzucenie”). Ale „wypędzenie” to kalka językowa, sprzeczna z duchem języka polskiego i w tym sensie niepoprawna. Po polsku określamy podobne akcje jako „wysiedlenia” (np. wysiedlenie Kozaków przez Stalina, wysiedlenie Łemków czy Ukraińców); zabarwienie emocjonalne wyrazu jest już wystarczająco negatywne, tak że nie potrzeba wprowadzać sztucznych tworów.

Te przykłady pokazują, jak dalece stosunki polsko-niemieckie zdeterminowane są zarówno przez historię (zwłaszcza najnowszą), jak i przez propagandę polityczną. Napięcia w tej dziedzinie (a nie łudźmy się, że udział min. Skubiszewskiego w konferencji „2+4” przyniósł ostateczne rozwiązanie problemu) nie mają analogii w dzisiejszej Europie, bo wszak chodzi tu o dwa narody żyjące we własnych państwach, a nie o problem w rodzaju Basków czy Korsyki. Osobiście nie bardzo rozumiem, na jakich dalekosiężnych celach oparta jest prosowiecka i antyniemiecka polityka rządu, zwłaszcza w kontekście coraz bliższej współpracy między Bonn (a niebawem Berlinem) i Moskwą.

Tomasz MIANOWICZ

BIBLIOTEKA «KULTURY»

TOM 460 — ZBIGNIEW HERBERT

ELEGIA NA ODEJŚCIE

Nowy tom poezji

Str. 48.

Cena F. 50,00.

BIBLIOTEKA «KULTURY»

TOM 456 — ZBIGNIEW BRZEZIŃSKI

WIELKIE BANKRUCTWO

Narodziny i śmierć komunizmu w XX wieku

Nowa książka Zbigniewa Brzezińskiego składa się z jego *Wstępu*, sześciu części: *Wielkie bankructwo*. — *Rozpad*. — *Odrzut organizmu*. — *Komunizm handlowy*. — *Kompromitacja praktyki*. — *Agonia komunizmu oraz Poświęcia*.

Str. 276

Cena F. 145,00.

TOM 457

**POLSKA POLITYKA ZAGRANICZNA
W LATACH 1926-1939**

Na podstawie tekstów min. Józefa Becka
opracowała Anna M. Cieniela

Str. 448.

Cena F. 220,00.

TOM 459 — BERNARD NOWAK

CZTERY DNI ŁAZARZA

Opowiadanie o podziemiu wydawniczym

Str. 144.

Cena F. 75,00.

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE

91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.

Commission Paritaire N° 60789.

Dépôt légal: 4^e trimestre 1990.

Photocomposition: AKTIS S.A.R.L.

42, av. de Wagram, 75008 Paris

Imprimé en France

N° d'imprimeur 3370-1990

KULTURA

REDAKTOR: JERZY GIEDROYC
Adres Redakcji: 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 Maisons-Laffitte — Telefon: (1) 39-62-19-04
FAX: 33-1-39-62-57-52

PRZEDSTAWICIELSTWA

Egz. poj.	Prenumerata	
	1/2-roczna	roczna

Ceny na rok 1991

AFRYKA POŁUDNIOWA: Dr F. Kaluza, 214 Giovanetti Str. New Muckleneuk, Pretoria 0181	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00
ARGENTYNA: «Libreria Polaca», Serrano 2076, 1425 Buenos Aires	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00
AUSTRALIA: Księgarnia Polska VISTULA, King York House, 32, York St., 6 Floor, Suite 2, Sydney, NSW 2000. Tel.: 29 1248	\$ A. 12,00	\$ A. 70,00	\$ A. 130,00
AUSTRIA: Księgarnia Polska, 1070 Wien, Burggasse 22. Tel.: 0222/93 87 222	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00
BELGIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00
BRAZYLIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00
DANIA: O.T. Zalewski, Postboks 41, 2880 Bagsvaerd	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00
FRANCJA: do nabycia w redakcji «Kultury» i w księgarniach polskich w Paryżu	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00
HOLANDIA: Mrs. J. Minkiewicz, Wielingenlaan 6, 4382 BL Vlissingen. Tel.: (01 184) 14073. Postgiro 1379176.	Fl h 20,00	Fl h 100,00	Fl h 190,00
IZRAEL: Księgarnia Polska, E. Neustein, 94, Allenby Rd., Tel-Aviv, P.O.B. 29443. Tel.: 621311	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00
KANADA: Krystyna Krakowska, 770 Cr. Picard, Ville Brossard, P.Q. J4W 1S5, Tel.: (514) 465-2362; Baltazar Krasuski, 8, Neilor Crsc., Etobicoke, Ont., M9C 1K4; Very rev. D.M. Malinowski, P.O. Box 68, Royston, B.C., VOR 2V0. Tel.: (604) 338-80-40; Z. Micherdziński, 285-287 Ottawa St. N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8. Tel.: 545-2115; J. Korwin-Lopuszański, 90 Hilliard Ave., Ottawa K2E 6C2; «Police Voice Publishing» Co., 390 Roncesvalles Ave., Toronto, Ont. M6R 2M9; Polish Alliance Press, Ltd. («Związkowiec»), 1638 Bloor St. West, Toronto, Ont. M6P 4A8	\$ can. 12,00	\$ can. 65,00	\$ can. 122,00
NIEMCY: Renata Rosenbusch, Ludwig-Thoma-Str. 36, D-8025 Unterhaching. Tel.: (89) 611-36-57; Księgarnia Wawel, Stephanstr. 11, 5000 Köln, 1. Tel.: 0221/24-61-60	DM 15,00	DM 90,00	DM 170,00
NORWEGIA: Zh. Tyszkó, Toppenhaugberget 14, 1353 Baerums Verk. Tel.: 51-20-55	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00
SZWAJCARIA: Maria Wasung, 6, rue de Lilas, C.P. 74. 1211 Genève 7. Tel.: 44-32-51. Nr konta pocztow. 12.14431	F.S. 13,50	F.S. 75,00	F.S. 140,00
SZWECJA: Norbert Żaba, Kalskärgatan 3/IV, 11533 Stockholm. Tel.: (08) 660-15-70. Postgirokonto Nr 48 82 34 6	K.S. 56,00	K.S. 310,00	K.S. 600,00
U.S.A.: S. Dobczyński, Alma Shipping Co., 110 St. Marks Pl., New York, N.Y. 10009. Tel.: 475 8886; Ada Dzięwanowska, 3352 No Hackett Avenue, Milwaukee, Wis. 53211; St. Kwiatkowski, 4749 W. 11 St., Cleveland OH, 44109. Tel.: (216) 351-8219; Irena Kretowicz, 4254 - 34th St., San Diego, Cal. 92104; Halina Kościuch, 41963 Utica Road, Sterling HTS, MI 48078; POLONIA Bookstore, 2886 Milwaukee Avenue, Chicago, IL 60618. Tel.: (312) 489-2554; Jan Wójcik, 674, Farmington Avenue, New Britain, Conn. 06053; Księgarnia Ludowa, Peoples Book Store, 5347, Chene Street, Detroit, Mich. 48211; Szwede Slavic Books, 2233, El Camino Real, Palo Alto, Cal. 94302. Tel.: (415) 327-5590 & 851-0748; Księgarnia «Nowego Dziennika», 21, West 38th Street. New York, N.Y., 10018. Tel.: (212) 354-0492	\$ US 10,00	\$ US 55,00	\$ US 106,00
WIELKA BRYTANIA: Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd., London SW5. ORD. Tel.: (01) 370 2210	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00
WŁOCHY: Elżbieta Zahorska, 00183 Roma, via Gallia 60 Int. 27. Tel.: 75-67-241	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00

W krajach niewymienionych prenumerata roczna — F. 550; półroczna — F. 280.
Przesyłka pojedynczego numeru — F. 6,00.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe.
INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,
par 78600 MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18 228-56 W (z Francji)
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 B (z zagranicy).

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA «KULTURY»

TOM 462 — CZESŁAW MIŁOŚZ

ROK MYŚLIWEGO

Nowy tom prozy Czesława Miłosza ma zasadniczo konstrukcję dziennika, prowadzonego przez jeden rok: 1986/87. Są to jednak dość umowne ramy, ponieważ autor sięga pamięcią do różnych, niekiedy odległych wydarzeń swojego życia, przedstawiając zarazem pasjonujące portrety swoich współczesnych w formie zwięzłych esejów lub opowieści. Tym samym ten szczególnie dziennik zbliża się do formy autobiografii, a zarazem przenikliwego wizerunku epoki.

Osobisty w tonie, niekiedy polemiczny, czasami zaskakująco szczerzy, jest „Rok myśliwego” podaj najbardziej prywatną książką w dorobku poety, dostarczając wielu autokomentarzy do jego twórczości i życia.

Str. 288.

Cena F. 145,00.

TOM 463 — ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT DZIEWIĘDZIESIĄTY TRZECI

zawiera opracowania: Jerzy Polaczek: *Losy patrolu kpt. „Wani”*; W. Dworzynski: *„Sprawa prezydentury”*; Tadeusz Wyrwa: *Likwidacja ambasady RP przy Watykanie w latach 1958 i 1972*; Kajetan Bieniecki: *Frantic*; Jan Ciechanowski: *Notatki z rozmów z gen. Tadeuszem Pełczyńskim*; Andrzej Zahorski: *Tadeusz Łepkowski (21 I 1927 — 16 XII 1989)*; Z.S. Siemaszko: *Ks. prałat Stanisław Betch*; Gen. Izydor Modelski: *Wojskowe przyczyny klęski wrześniowej (cz. II)*; Tomasz Lenczewski: *Deklaracja płk. Jana Mazurkiewicza „Radosława” z 8 września 1945; Polska w końcu 1945 r. w ocenie podziemia niepodległościowego; UB a PSL po ucieczce Mikołajczyka — listopad 1947*; Benedykt Heydenkorn: *Etapy likwidacji ukraińskiej autonomii*; Z.S. Siemaszko: *Wilno 1939–41*; Jerzy Krzyżanowski: *Drugi brzeg Oki*; Jan Nowak: *Rozmowa z Władimirem Horbowym*; Andrzej Kempfi: *Śladami Rejtana*; Józef Kowalski: *Drobny przyczynek do polskiego antysemityzmu oraz bogaty dział LISTOW.*

Str. 240.

Cena F. 90,00.

TOM 464 — AGATA TUSZYŃSKA

ROSJANIE W WARSZAWIE

Migawki spod zaboru rosyjskiego
w okresie Powstania Styczniowego

Str. 128.

Cena F. 70,00.